PISMA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

816 819

PISMA

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

WYDANIE JUBILEUSZOWE

TOM IV

WANDA. — NOC LETNIA. — POKUSA. — HERBURT. — UŁAMEK Z POEMATU. — Z SYCYLIJSKIEJ PODRÓŻY KART KILKA. — TRZY MYŚLI. — FANTAZYA ŻYCIA. — PRZEDŚWIT.

l. 496 od

KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA, GEBETHNER I WOLFF
1912.

BIBLIOTEKA
Państwowej
Wyższej Szkoły Pedagogicznej
W KRAKOWIE

11284

WANDA.

(FRAGMENT).

Wanda leży w naszej ziemi,
bo nie chciała Niemca.

Pomiędzy rękopisami Z. Krasińskiego znalazły się luźne półarkusze, zatytułowane »Przypisy«; o nich to zapewne wspomina poeta w liście do ojca z dn. 11 kwietnia 1838: »Ważne mam wypisy z mitologii słowiańskiej i czasów przedchrześcijańskich, które chciałbym Papie pokazać«. Są to wypisy i notatki treści mitologicznej i starożytniczej, zaczerpnięte przeważnie z Naruszewicza, a nadto z Dytmara, Fabrycyusza i i. Znaczna część tych »przypisów« miała służyć za objaśnienia do »Wandy«; jakoż dwa z nich, »Drapa« i »Halele, Lele«, zostały istotnie przez samego autora użyte, jako przypiski do »Wandy«. Idąc śladem poety, umieściliśmy, gdzie zachodziła potrzeba, odpowiednie ustępy owych »przypisów« pod tekstem dosłownie, co zaznaczamy zawsze pojedyńczym cudzysłowem ,'.

Wydawca.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Sala w zamku Rytygiera. — Przy pochodniach siedzą rycerze u stołu. — Jeden Rytygier tylko leży. — Biskup na prawicy Rytygiera. — Wokoło koniuszowie, giermki, minstrele[1].

RYTYGIER. Przynieś mi czaszkę[2] Hakona, oprawną w stal, złoto i miedź — pić z niej będę dzisiaj zdrowie twoje, święty biskupie, zawdzięczając ci, żeś raczył zamek ten nawiedzić i zasiąść do naszej biesiady! — Kto z was tymczasem uderzy w struny? Kto opowie zgon siostry mojej i jakom wgniótł w piasek, zagrzebał pod kopcem trupów ciało wroga Hakona?... Do harfy! do harfy!

(*Wstają rycerze*).

PIERWSZY RYCERZ. Ja. —

DRUGI RYCERZ. Nie ty, nie ty. — Ja, książę!

---

[1] Minstrel (z angielsk.) — bard, śpiewak wędrowny.

[2] Był zwyczaj u starych Germanów, że czaszek nieprzyjaciół, »oprawnych w stal, złoto i miedź«, używali zamiast puharów.

HAGEN. Ja byłem przy boku twoim tej nocy. — Obryzg krwi z piersi Hakona oczy mi zaćmił, kiedyś uderzał!

RYTYGIER. Prawdę mówisz, Hagenie, głos twój mnie miłym będzie; podajcie mu harfę!

(*Przynosi giermek czaszkę*).

Zdrowie, ojcze biskupie! Zdrowie Kościoła, Cesarza i Rzymu![1]

BISKUP. Amen.

HAGEN. Trzej posłowie króla Danów, chytrego, jak morze, stanęli w progach wodza mężów — ojca Rytygiera i pięknej Gudruny. — »Hakon, pan wysp i morskich wybrzeży, słyszał — rzekli — o czarnobrewej Gudrunie. — Ona śliczna nad ślicznemi — on zamożny nad zamożnymi. — Oto kosztowne, bursztynowe przynosim jej dary — niech dziewica dom opuści, niechaj pójdzie za nami, swatami!« Król przyjął ich mile; trzy dni jedli i pili razem, a czwartego powierzył im córkę.

Hakon, czekając na oblubienicę, przechadzał się po żwirze morskiego brzegu — a gdy z statku wysiadła, on rzekł do niej wśród syczących wiatrów: »Gudruno, powiedz mi, gdzie leży sławny skarb ojca twego i brata — potem będziesz żoną Hakona!« Lecz dziewica spojrzała nań z pogardą: »Królu wiarołomny, prędzej morze wypowie ci przepaści swoje. — Jam córka Sigmunda, wodza bohaterów«.

---

[1] Cesarz — cesarz rzymski a król niemiecki; Rzym — papież rzymski.

Zatoczył się Hakon, wściekłym zdjęty gniewem: »Każę cię związać i rzucić pod kopyta klaczy dzikich na dziedzińcu pałacu mojego!« — A ona mu rzekła: »Stary!«

Król odszedł i zgromadził srogich wojowników — potem stanął z nimi na krużganku — związana Gudruna u stóp ich leżała.

Przybiegły trzy klacze, jak trzy wichry morskie, i stanęły, zarżały, zdeptać jej nie mogły — ona tak piękną była!

Król trzem posłom wsiąść każe, posłom, co przywiedli Gudrunę — pierwszy skoczył oklep sławny jeździec Eryk, drugi za nim rudobrody Hargaz i trzeci ponury Levenskiold o długim dżyrycie.

Znów od bram dziedzińca puścili się razem — i przybiegli, jak trzy wichry morskie, i przeszli, tratując po śnieżnej Gudrunie. —

Wszyscy, co tam stali, wrzasnęli, śmiejąc się z ojca i brata Gudruny — a u stóp Hakona kałuża krwi była i kosy rozplecione pływały w niej czarne.

CHÓR. O biedna, biedna!

RYTYGIER. Zemszczona. — Dalej, Hagenie! —

HAGEN. Zorza północna buchała po niebie, kiedyśmy na łodzie siadali w milczeniu. Dwudziestu nas było i koń Rytygiera był z nami, koń Snafner, czarny cały, z nastrzępioną grzywą, z iskrzącym u siodła toporem. — Trzy słońca i trzy księżyce chmurami powlekła nam burza — ale wicher nam sprzyjał i wył w stronę Hakona, jak psy dniem przed śmiercią pana. — Rankiem dnia czwartego wyspa Danów ukazała się nam!

Przed blizkim brzegiem nie dotrzymał na pokładzie pan wasalów, Rytygier o niechybnem cięciu.— Skoczył na konia i konia rzucił z sobą w fale — my wszyscy za nim, stąd, zowąd, wokoło płyniem, wytężając ramiona i podnosząc karki — okręt nasz za nami rozbijają skały!

Hakon w pałacu, otoczon rycerstwem, pił i szydził z zabitej Gudruny. — Usłyszał tętent Snafnera — pił dalej i rzekł: »Szczęśliwym, szczęśliwym! — Dziś książę Rytygier przybywa mi w goście — spętam go łuku cięciwą i strącę w podziemne lochy, wężom na pokarm«.

W pałacu walą się stoły, palą się kobierce, puhary toczą się we krwi — z jękiem bohaterów odlatują dusze. — Rytygier, syn Sigmunda, woła: »Szczęśliwym, szczęśliwym, Hakonie, bo dłonie ci obie uciąłem i rzucam w ogień twój domowy — szczęśliwym, że teraz mieczem długim przebijam ci piersi — a tobie, Eryku, niech służy ta strzała — tobie, Levenskiold, puginał mój w sercu zostawiam na wieki — Hargaz, deptam po tobie na pamiątkę Gudruny!«

I na stosach ciał, na gruzach i zgliszczach, przy bladym księżycu dzieliliśmy łupy. — Rytygier nam wszystkie odstąpił. — Wziął tylko sobie głowę króla Hakona i wrócił do domu.

CHÓR. Niech żyje Rytygier, pan śmiertelnego cięcia!

RYTYGIER. Dzięki wam, moi. — Teraz, Hagenie, odwilż usta w czarze pośmiertnej wroga i ten łańcuch złoty schwyć w powietrzu! — *(Rzuca mu łańcuch)*.

Co to za chrapliwe dźwięki — czy słyszycie?

HAGEN. Na takim rogu dąć musi upiór myśliwiec, kiedy nocą przelatuje bory. —

(Wchodzi wódz straży).

RYTYGIER. Co słychać?

WÓDZ STRAŻY. Rycerz nieznajomy stoi u bramy zamkowej z nielicznym pocztem, o ile się nam wydało przy świetle latarni — na hełmie smok obrzydliwy, a twarz jego z za przyłbicy pali się węglami dwoma. — Czy go wpuścić, książę i panie mój?

RYTYGIER. Niech wejdzie, niech zasiądzie do biesiady mężów.

(Wódz straży wychodzi).

BISKUP. Zważ, synu, noc bardzo czarna; w takowych nocach nieraz warowne zamki widziałem zdobywane zdradą — a wiem, że w tych okolicach teraz błąka się pełno dzikich barbarzyńców, nieochrzczonych Lachów. — Strzeżcie się zdrady!

RYTYGIER. Nie lękam się nikogo.

BISKUP. I ja też prócz Jezusa Chrystusa nie lękam się nikogo. — Radę tylko roztropną ci dałem.

CHÓR. Niechaj lis się zjawi, tu jest lwów czterdziestu!

(Każdy rycerz dobywa puginału i kładzie go na stole).

BISKUP (*dobywając puginału z pod szaty i kładąc go na stole*). Amen.

(Hamder wchodzi).

RYTYGIER. Czyś chrześcijanin, czyś poganin?

HAMDER. Wyznaję Chrystusa.

RYTYGIER. Jakiegoż rodu witam w tobie gościa? — Nie wiem, na jakiem posadzić cię miejscu.

HAMDER. Na miejscu bohaterów, a ród mój książęcy.

RYTYGIER. Imię?

HAMDER. Hamder od dni już wielu i nie wiem, na jak długo jeszcze.

RYTYGIER. A twarz twoja?

HAMDER *(podnosząc przyłbicę)*. Masz ją!

CHÓR. Jezus, Marya!

RYTYGIER. Siadaj przy mnie! — Wina, miodu, mięsiwa! — Przynieść roztruhan ojca mojego — choćbyś był złym duchem, ścisnę ci rękę. —

HAMDER. Spróbuj, czyja silniejsza!

RYTYGIER. Bramy zamków, kute żelazem, pękają, kiedy w nie uderzę. Ha! i od twojej dłoni wylecą — spróbujmy raz jeszcze!

HAMDER. A co?

RYTYGIER. Równi jesteśmy. Pierwszy raz śmiertelny człowiek dotrzymał mi w sile. Od tej chwili tyś bratem moim!

HAMDER. Zgoda — bo oddawna tej chwili pragnąłem. — Tak! Pragnąłem jej, od kiedy chwała twoich przewalczonych bojów opadła mnie zewsząd. — Szczęśliwy Rytygierze! gdziekolwiek szedłem, mówili o tobie pany, niewiasty, śpiewaki, rycerze — a dziś, gdym stanął u mostu zwodzonego, nim zatrąbiłem, doszły mnie odgłosy wrzawy zamkowej — wszak wy śpiewali o czarnobrewej Gudrunie?

RYTYGIER. Poznałeś pieśń — czyś kiedy pierwej ją słyszał?

HAMDER. O! wiele pieśni słyszałem i rozmów wiele.— Włosy od nich mi nie pobielały, ale zato twarz mi wyschła, jak u tych, co nasłuchali się przez życie całe, a teraz nic już nie słyszą!

Wszak prawda, lica moje podobne do czaszki, z której pijesz? Ale ja nie Hakon — ja brat, ja przyjaciel Rytygiera.

RYTYGIER. Owszem, ja twarz twoją lubię; taką mieli niegdyś w Walhalli towarzysze Odyna. — Zostań w zamku moim, Hamderze! — Będziemy razem ścigać niedźwiedzie na łowach, razem chrzcić pogan, lub dumne bić chrześcijańskie pany.

HAMDER. Zgoda! — O, znam nieprzejrzane morza traw i zbożów i bory, głucho szumiące, wielkie bory sosien. — Tam przechadzają się tury i żubry koło świątyń bogów starych, a na równinach lud czeka objawienia bohaterów, by się im poddać. —

Szlachetne rycerze! Widzę migi, słyszę szepty wasze — ale ja na pozór tylko chudy, niezdrowy, umarły — kiedy przyjdzie pora, poznacie mnie lepiej — waszemu panu zwycięstwo i sławę, wam skarby i hoże dziewoje rozdam może kiedyś. — I wy też na harfie wtedy zabrząkniecie o mnie.

A tobie, księże biskupie, tysiąc karków nagnę do chrzcielnicy. — Będziesz musiał stanąć ty i kapłani twoi nad rzeką szeroką, bo w kościele nie zmieszczą się przygnane trzody — dary moje! Ja wiem, księże biskupie, że i ty będziesz mnie kochał.

RYTYGIER. Nieraz śniło mi się o takiej nietkniętej ziemicy. — Ten, który mi ją zwiastuje, ze wszystkich u mnie jest najlepszy ludzi. — Hamder, zamieńmy się

na oręże! — Weź miecz Rytygiera! — Tę rękojeść wykuł mi Horwat Niger, najsławniejszy złotnik wśród plemion saksońskich — a sześciu wodzów, z koni zwalonych, kopią do ziemi przybitych, dałem mu na nią od piersi łańcuchy. —

HAGEN *(do biskupa)*. Taką klingę cudzoziemcowi!

HAMDER. Tę szablę sam papież błogosławił w Rzymie — niech ci służy, bracie!

BISKUP. Wracasz z Rzymu?

RYTYGIER. Byłeś w Rzymie?

HAMDER. Gdzież ja nie byłem? — Mowy wszystkich ludów drzemią w głowie mojej i kiedy mi potrzeba, budzę jaką z nich. — Naprzemian lądy i wody schodziły mi z drogi, jak znużone straże. Ja jeden szedłem nieznużony dalej. Ile barw na niebie dzieli jasność południa od ciemności nocy, tyle barw na ciałach ludzkich widziałem i znałem wreszcie takich, którzy, jak noc, czarni.

RYTYGIER. Wina, wina jeszcze! — Bierz, gościu mój, pij, jedz i opowiadaj dzieje dni twoich, bo kiedy mówisz, rozwidnia mi się w oczach!

CHÓR. O, mów, prosimy cię, gościu, i niech noc przeleci na słowach twoich!

HAMDER. Noc — nie, o, nie — połowa nocy do mnie należy, rycerze. Ślubem strasznym związałem się niegdyś i sam jeden być muszę, kiedy gwiazdom na niebie mdło być zaczyna. — Ale jeszcze czas, jeszcze mówić mogę — kiedy umilknę, wyjdziecie wszyscy, a ja modlić się zacznę. — Czy obiecujecie?

RYTYGIER. Co tylko zażądasz, czynić będą w zamku moim.

HAMDER. Dzięki ci, królewski Rytygierze. — Teraz przyjaciele, powiedzcie mi, skąd zacząć? W pamięci mojej zmartwychwstają widziane strony, oglądane twarze, stoczone walki i cisną się tłumem, jak w dzień sądu umarli. — Kogóż zatrzymam? Któremuż z nich ścisnę skrzepłą rękę? Oni przechodzą — mijają — a wy chcecie powieści. — Ach, dajcie mi harfę!

CHÓR. Nie spojrzał, tknął tylko, a rozpłakały się struny.

HAMDER. Na smutną pieśń się zanosi — spróbuję losu raz jeszcze. —

CHÓR. Teraz jak gdyby przekleństwo zagrzmiało.

HAMDER. Czy to ty się prosisz, jęcząc pod moimi palcami, okrutna Marzanno[1], śmiertelnymi uwieńczona maki, lub ty może, Ładо,[2] strojna w róże głogów, ty, co sypiesz na synów Lecha błędne ogniki miłości? Daremno — daremno. — Jak gwiazdy nocy letniej, tak wy spadniecie z niebios. — I nie kto inny was strąci, jedno syn wasz, jeno smutny wygnaniec.

Słuchajcie, rycerze! — Teraz wam ziemię wskażę obiecaną — rumianą jagodę, byście ją zgnietli żelaznemi stopy.

Kraków gród był wielki nad brzegami wartkiej i czystej bogini! — Polany czczą ją pod Wisły imieniem — niejeden z was dotarł aż tam, gdzie ona ginie w morzu, jak dusza w wieczności. —

CHÓR. Pogany, pogany! Jest u nas ogień i żelazo dla nich!

---

[1] ‚Marzanna, bogini piekieł i śmierci, także u Polaków, zarazem czczoną była za boginię rozkoszy'.

[2] ‚Łada to samo, co Siwa czyli Żywie, bogini miłości, rozkoszy, powodzeń'.

HAMDER. Tam Krakus, ojciec ludu, król Polan, dwóch miał synów z żony Świetlany i czarnobrewą jedną, wyrosłą wśród białogłowych rówieśnic, jak jodła nad blademi brzozy — urodziwą, hardą, w brzęku cięciw zakochaną Wandę!

Starszym był mu Ziemowit, młodszym Leszko synem — oba w potężnych wyuczeni czarach, jako przystało na synów książęcego rodu — ale każdy z nich inną w gwiazdach przyszłość czytał ludowi swojemu.— Ziemowit Boga Chrystusa widział cień już nadchodzący, Leszko kłaniał się bałwanom wraz z siostrą Wandą i z gniewu tupał lekkiemi nogi na wspomnienie Niemców.

Stąd waśń między braćmi się wszczęła. — Ziemowit był orłem, co odrazu gromi i zatapia szpony, potem znowu w pokoju kładzie się na błękitach — takim był, nim go długie przerobiły lata. Leszko nie ufał tyle swej śnieżnej prawicy i wlókł się cichym krokiem nakształt lisa, co uchodzi z kniei, gdyby lis zdołał być i żmiją razem.

Wtem lud jął uciekać — tysiące zbladły, jako jeden blednie. Padali wokoło króla, wołając: »Ratuj nas, ojcze!«, a skąd biegli, od strony zachodu, ciągnął nad wzgórzami smok, jak burza czarny, w paszczy trzymając ludzkie i bydlęce ciała za włosy i rogi — potem zapadł, grzmiąc łuskami skrzydeł, i legł nad rzeką w jaskini.

Lecz kiedy noc nadeszła, wzbił się na nowo w powietrze — naprzemian wił się z góry na dół i, podbiwszy się, krążył w górze.— Księżyc raz znika, to znów błyśnie z poza jego kłębów, a pożartych nie-

dojadłe kości spadają na głowę żyjącym. — Tętniące stada koni wlatują do grodu. Trzody walą się i ryczą — król milczał i siedział jeden, niewzruszony, wśród tłumów.

Nad rankiem powstał Ziemowit i rzekł: Jutro o świcie tak, jak dzisiaj, potwór zaśnie w nadwiślańskiej pieczarze. Ojcze, by lud zbawić, ja tam pójdę sam!« I lud usłyszał i krzyknął: »Za to kiedyś będziesz królem naszym«. I powstał Krakus i bogom ofiarę w świątyni zapalił — a Ziemowit wierne psy zwołał i draźnił i głodził dzień cały — sześć oszczepów wziął i obosieczny miecz — a matka, drąc włosy, żegnała go z płaczem.

RYTYGIER. Chwała lechickiemu Ziemowitowi — on był bohaterem!

CHÓR. On był bohaterem!

HAMDER. On był młody i nadludzkiej siły — on poszedł — on miał za to zostać królem kiedyś — a rankiem otoczyły go wyziewy i szedł w mgle, lud zostawiwszy na wzgórzach.

I rzuciły się psy do pieczary. — On chwilę stał jeszcze u wnijścia, lecz kiedy nie usłyszał ni szczekania ni skomlenia, sam wstąpił, w obu dłoniach trzęsąc śmiertelne żelaza. — On był pewnym zwycięstwa — on miał królem zostać!

Przekleństwo! Koło smoka bez życia pokładły się brytany i liżą ręce młodszego brata. On z jasną lampą w dłoni siedzi na grzbiecie potworu i śmieje się zwolna, posępnie, zwycięsko. Lecz krwi nigdzie nie widać i broni żadnej niema w ręku jego.

Ziemowit struchlał pierwszy raz w życiu. — Leszko

róg do ust przyłożył — mgła w tej chwili pęknie, słońce wschodzące hańbę bohatera oświeci.— Lud zewsząd zbiega się, wołając: »Niech żyje Ziemowit!«, a Leszko, stanąwszy na trupie: »Ja — krzyczy — ja zabiłem!« I zabrzękły pod jego stopą martwych skrzydeł łuski.

Potem prawi dalej: »Sztuką, bogom tylko znaną, ognistymi skórę byka wypchałem jadami.— Smok połknął drzemiące płomienie — chodźcie, — dotknijcie się, on się już nie ruszy!« A motłoch zawołał: »Tyś lud zbawił, ty będziesz królem naszym!« I porywają go i, hucząc, niosą przed starego ojca, a inni, padłszy na ziemię, czczą go, jak boga. — On śmiał się przedłużonem echem.

Ziemowit sam jeden został wśród psów skowyczących, — potem porwał się, jak błyskawica.— Gwizdnął oszczep i u stóp Krakusa wwiercił się w Leszkowe serce. — Ojciec, rozdzierając szaty, przeklął starszego syna i każe go chwytać. — Lecz Ziemowit tłum rozpierał na prawo i lewo, broniąc się, mordował ludzi, aż wszedł w gaje, poświęcone bogom.— Tam go już ścigać nie śmieli Polanie.

CHÓR. Czemu nie kończysz? Czemu jedną po drugiej zrywasz struny harfy?

HAMDER. Skończyłem — wam się reszty domyśleć, wam siąść na koń i leci[e]ć.—Ziemowit, ten, coby was odparł, daleko gdzieś na wygnaniu. — Starego Krakusa w popielnicy spoczywają prochy — niewiasta dziś panuje Polanom, siostra Leszka, Wanda, a więc...

HAGEN. Zważaj, księże biskupie, na tego człowieka!

BISKUP. Nie spuszczam go z oka.

RYTYGIER. Bracie, pokrzep siły! —

CHÓR. Zrzuć pancerz, nadgardlnik rozerwij żelazny!—

HAMDER. Nic mi nie jest, nic — jedno nadchodzi godzina modlitwy. — Dotrzymajcie przyrzeczenia, wstańcie i odejdźcie!

RYTYGIER. Lennicy, skończona biesiada! — Do jutra!

CHÓR. Dobrej nocy, gościu!

(wychodzą).

RYTYGIER. Oprzyj się na mnie, ledwo ustać możesz!

HAMDER. Precz — precz! Mnie nic nie jest — mnie tak zawsze w tym dniu, o tej porze. — Ha! ranek się zbliża i na bladych chmurach ciągnie nieprzyjaciel mój.

BISKUP. Krzyż ten z relikwiami weź w ręce, człowiecze!

HAMDER. I ty także się ociągasz? — Precz, precz ode mnie!

RYTYGIER. Twoja ręka, przed chwilą żelazna, teraz jak wosk topnieje zimnym potem w mojej! —

HAMDER. Daj, coś obiecał — daj mi spokój mój! —

BISKUP. Palec Boży na czole twojem pisze słowo zatracenia.— Tyś brata zabił! — Tyś Ziemowit książę!

HAMDER. Może myślisz, żeś mnie zdruzgotał tem słowem, może myślisz, żeś pierwszy mi je powiedział na ziemi?! — Śmieję się z ciebie, księże! *(pada na siedzenie Rytygiera).* Dniem i nocą to samo powtarzały mi wiatry — milczenie głuchych pustyń wołało na mnie: »Bratobójca!« i człowiek każden wyczytał to na licu mojem, a nic dotąd nie zdołało duszy z pod pancerza mi wyrwać. — Ja miałem być i ja będę królem!

GŁOS. Nigdy, nigdy, nigdy!

RYTYGIER. Czyś ty przemówił, ojcze biskupie?

BISKUP. Przez imię Boga wcielonego — to nie ja.—

HAMDER. Uciekajcie! *(porywa się)* Gdzie miecz, gdzie włócznia moja, zdrajcy?

RYTYGIER. Co ty widzisz, na kogo się zamierzasz?— Weź go za drugą rękę, ojcze biskupie!

GŁOS. Czemuś mnie strącił tak młodym do piekła? O bracie! o bracie!

RYTYGIER. Teraz ja ciebie wyzywam, duchu! — Objaw się i spróbuj się ze mną!

HAMDER. Dajcie mi go przebić! —

GŁOS. Dni twoje policzone.

HAMDER. Niecierpiany na ziemi i w grobie, poco mnie trapisz? Kto cię otoczył płomieniem i ranę, którąm ci zadał, tak świeżą po latach tylu zostawił na piersiach?

Ty, coś miecza nie dźwigał nigdy, ręce tylko śnieżne mył w krwi ofiar na ołtarzu Marzanny, tyś chciał królem zostać? Czyż nie byłem godniejszy od ciebie? Czyżbym ludu mojego nie był wyniósł nad wszystkie postronne plemiona? Wstrząsaj głową, groź rękoma — nie lękam się ciebie! — Tyś mnie wypchnął na bezdroża świata, rzuciłeś mnie w objęcia Niemców i krzyż niemiecki zatknę na bałwanach, któreś ty tak kochał niegdyś! Och! przeklinam ciebie — precz stąd! — Mija twoja godzina — precz!

GŁOS. Za rok o tej samej godzinie będę przy tobie!

HAMDER. Rozstąpcie się! (*odpycha Rytygiera i biskupa*).

RYTYGIER. Znów mi siłą dorównałeś, książę!

HAMDER *(zrzucając pancerz).* Bo jutrzenka świta, bo jej rumiane promienie spadły na pierś moją. — Witaj mi światło, w którem od lat dziesięciu po tej nocnej męczarni nowe piję życie! — Jak dobrze oddychać świeżem powietrzem! jak dobrze z piekła się wydzierać i wracać na ziemię!

BISKUP. Zniż czoło i módlmy się razem!

HAMDER. Nie — ku słońcu wschodzącemu wzniesioną trzymać muszę głowę — nie — my tylko Polanów chrzcić będziemy razem. — O księże, ja wracam z Rzymu, w Lateranu[1] kościele papież słuchał spowiedzi mojej. — Cóż ty możesz po nim?

BISKUP. Jakąż ci Ojciec święty pokutę naznaczył?

HAMDER. Przybyłem do was, bym jej dopełnił. — On mi kazał nie spocząć, aż dziesięciu tobie podobnych osadzę na Lechitów ziemi. Lecz teraz może opuścisz mnie, książę — ściganemu przez nadziemskie potęgi cofniesz dane imię brata?

RYTYGIER. Sam cofnij, coś wyrzekł, lub dobądź miecza, boś pierwszy na ziemi zwątpił o słowie Rytygiera. — Przez duszę Gudruny! gdybym ci wprzódy nie ślubował przyjaźni, terazbym cię do piersi przycisnął z sił wszystkich.

Przez starego Odyna! widziałem bohaterów, alem nigdy nie spotkał równego tobie — oni umieli tylko śmiertelnym ludziom kroku dotrzymać! Przez wszy-

[1] Lateran — pałac w Rzymie, tak nazwany od właściciela, senatora Plaucyusza Laterana, zamordowanego z rozkazu Nerona, siedziba papieży aż do przeniesienia papiestwa do Awinionu. Konstantyn W. zbudował obok kościół (bazylikę), »macierz i głowę wszystkich kościołów«.

stkich świętych! sam koronę włożę ci na czoło wśród miasta Krakowa.

HAMDER. Nie skłamały języki ludzi. — Jakim cię słyszałem, takim jesteś, Rytygierze. Każ więc flagi wojny z wież zamku rozpuścić — niech się zbiorą lennicy i poddani twoi!

RYTYGIER. Jutro puścim się w pole.

BISKUP. Książęta! niech pomiędzy waszemi skwapliwemi rady zostanie dość miejsca dla głosu mojego!

HAMDER. Czego żądasz?

BISKUP. Posłuszeństwa Kościołowi.

RYTYGIER. Co znaczą te słowa?

BISKUP. Książęta! odebrałem zlecenia papieskie i cesarskie względem bałwochwalców.

RYTYGIER. Cóż dalej?

BISKUP. Dobrze i roztropnie mówił gość twój, kiedy ci radził zgromadzić lenników. — Wybierzmy się z licznem i świetnem rycerstwem, ale przybywszy do pogan, stańmy obozem i zacznijmy od słów łagodnych. — Jeśli odrzucą nasze przełożenia, wtedy dopiero miecz twój świecki dokona wyroku Matki duchownej.

HAMDER. Marna strata czasu, księże biskupie! Bo któryż lud wam się kiedy poddał, waszą rozczulon wymową? —

By starych bogów wydrzeć z serca ludzi, trzeba tych serc tysiące przeorać bojów lemieszem. Czy pamiętasz Saksonów? O Witykindzie[1] czyś zapo-

[1] Witykind, Widukind, książę pogańskich Sasów czyli Saksonów, walczył długo z Karolem W. w obronie pogaństwa i niepodległości

mniał, ojcze? — Ale dwa, trzy dni odstąpić możemy obrzędom kościoła rzymskiego.—Po tych dniach kilku, tak pewno, jak, że to słońce świeci, tak pewno, jak, że mnie losy przeklęły, przysięgam, że nam wojnę wypowiedzą pogany. Znam Lechitów!

RYTYGIER. Ułóż się z biskupem! —

Wojna mnie pali — wojnę czuję w powietrzu — w uszach mi się przemykają chrzęsty, boskie chrzęsty bitew. (*zdejmuje róg z muru i znak daje*).

HAMDER. Przystaję, ojcze biskupie — pamiętaj, żeś mi dłużny teraz!

(Wpadają rycerze).

RYTYGIER. Wojna! wojna! — Ten człowiek, to Ziemowit, syn Krakusa — kto mi służy i lęka się mnie, niech mu służy i lęka się jego! Ślubowałem Bogu i sobie wydarte państwo mu przywrócić. Jutro pod noc zamek opuścimy. —

Teraz uczcijcie króla Polanów, a potem za mną do wieży północnej po nietknięte zbroje!

CHÓR. Niech wyskoczą z naszych pochew ostrza,
Jak błyskawice lecące do burzy!
Wszystkie, jak piorun, co wpada w jezioro,
Niech po rękojeść w morzu krwi utoną!—
Szczęścia i chwały życzymy ci, królu!

HAMDER. Och! po długich latach przywitali mnie nareszcie króla imieniem. Naprzód, naprzód, rycerze!

---

swego ludu, w końcu jednak poddał się i przyjął wiarę chrześcijańską 785 r.

II.

Kopiec graniczny — po jednej stronie szopa, w jej głębi ołtarz, przed ołtarzem kapłani i rycerze. Biskup w ornacie na stopniach. — Naokoło szopy zbrojni Niemcy, konno i pieszo — po drugiej stronie równina i wzgórza, okryte ludem — z boku las sosnowy.

BISKUP. *Introibo ad altare Dei.*

CHÓR NIEMCÓW. *Ad Deum, qui laetificat iuventutem meam.*

PIERWSZY Z LUDU. Jakże dobra ziemia stęknęła od ich żelaznych, padających kolan!

DRUGI. Druhu, cóż to za człowiek przybity do krzyża w chmurze tak wonnego dymu, że aż tu go słychać?

PIERWSZY. A toć Bóg ich być musi fałszywy, niemiecki.

INNY. Mówcie lepiej, gospodarze, poco nas zwołały, gdyby na żertwę[1] jaką, wojewody nasze!

PIERWSZY. A Strzeżka zapytaj; alboć my wiemy?

---

1 ‚Dobre bogi — Białobogi, złe bogi — Czarnobogi. Pierwszych siedliskiem gaje, dąbrowy, wzgórza, łąki, ogrody — drugich błota, jeziora, rozpadliny, jamy, skały, spustoszałe domy; pierwszym obietowano gry, śpiewy, pląsy — drugim przynoszono krwawe żertwy z śpiewem żałośnym i płaczem'.

GÓRAL. Ja wam powiem. — Cudzoziemcy rozhowor chcą mieć z nimi. — Oto właśnie idę z boru, a w gęstwinie, pasując się z gałęziami, w prawo i w lewo machałem toporem. — Wtem, gdy ciąłem z sił wszystkich, ujrzałem jedną razą tam daleko, daleko na karczach[1] spalonych siedzące wojewody, a pośrodku nich stała królowa w białych szatach, Wanda.

KILKA GŁOSÓW. Wanda tak blizko?

GÓRAL. Ona sama. — Przez Ogniany i Wiatrany![2] znam ci ją dobrze — przecież już jeden syn mojego wojewody zapatrzył się na nią i odtąd skacze i śpiewa, jakby mu słonko w sam upał żniw czaszkę przepaliło — a drugi Hardymir, dzielny wódz nasz, znać tego samego pragnie, bo i teraz jeszcze, przechodząc, spojrzę, aż tu on siedzi, cały ku niej podany, z wytężonemi oczyma, z wyciągniętą szyją. Nie mówię, gdyby przynajmniej twarz jej mógł był widzieć — ale nie — bo ona pod długą zasłoną się kryła i głos jej tylko z daleka powiewał. —

INNY Z LUDU. Mało ludzi twarz jej oglądało.

BISKUP. *Dominus vobiscum!*

CHÓR RYCERZY. *Et cum spiritu tuo!*

(Rytygier i Hamder z spuszczonemi przyłbicami wychodzą z szopy).

RYTYGIER. Niecierpliwość na czarny węgiel spali krew moją — tyś taki spokojny, Hamderze?

---

[1] Karcz — korzenie i odziemek, pozostały po ściętem drzewie; tu karcze tyle, co karczowisko, polana wykarczowana.

[2] Ogniany i Wiatrany — bóstwa, duchy ognia i wiatru.

HAMDER. Skończyło się długie tułactwo, stoję wobec ludu mego.— Kiedy koronę włożę na skronie, jak ptak, lekkim się stanę — a gdy wprzódy śmierć, gdyby... to jeszcze lekszym, bracie. — Zatem dobrze mi jest.

RYTYGIER. Jak się ruszają tysiące i ciekawie spoglądają na nas! — Jak myślisz? Czyżbym takich kos dwadzieścia odrazu nie skruszył cięciem długiego miecza na odlew?

HAMDER. Wzrostem i rynsztunkiem przenosimy ich, ale zważ na ich gibkie ciała, na ogień, co im pryska z oczu! — Oni umieją rozbiedz się i skupić nazad, pod konia się rzucić i rozkrajać mu wnętrzności, kamieniem wybić oko jeźdźca, toporem, którym na wyżynach mordują niedźwiedzi, głowę rycerzowi zdjąć z karku, lub najchyższego rumaka zbić z nóg wszystkich czterech. — Rozpędzisz ich pod wieczór, a o świcie nazajutrz, nucąc pieśń zasiewu lub dożynków, oni ci wrócą do boju!

RYTYGIER. Tem lepiej, bo po łatwych zwycięstwach niema czem obudzić zaspanych strun harfy. — Patrz, oto mi rysy, jakby z nieba wzięte — to jakiś bohater być musi — orzeł takiemi w słońce spoziera oczyma. — Czemuż żadnej broni nie nosi? Wszyscy się rozstępują i kłaniają się — on zwiesił głowę, jakby szyszak mu ciężał, a tylko włosy jasne spływają mu na barki. — Czy to wódz jaki?

HAMDER. Urodził się na wodza, ale nim nigdy nie będzie.

LUDGARD.

Ja detynka malenkaja,
Moja nóżka bosenkaja,
Wyneste koladnik!

RYTYGIER. Głos smutny z tak ogromnych piersi! — Wszyscy odwrócili głowy teraz.

HAMDER. Nie śmią w oczy mu spojrzeć, bo wierzą, że on w zmowie z potężnymi bogi, a on tylko oszalał, urzeknięty Wandy spojrzeniem.

RYTYGIER. Jak to? — Mów prędko! — On tu się zbliża.

HAMDER. Ojciec jego, Żelisław, wojewoda gór, niegdyś Czechy z ludem swoim zrabował i, pyszny z powodzeń, chciał zrzucić Krakusa — mój rodzic zgniótł go u bram Krakowa. — Kiedy Wandę obrano, przysłał stary wojewoda starszego syna z hołdem i podarunkami. — Ludgard odtąd, jakem słyszał, do gór swoich nie zajrzał ni razu i znikczemniał z rozpaczy, bo Wanda śmieje się z bogini miłości.—

RYTYGIER. Chciałbym ujrzeć niewiastę, która tak męskie przechyliła czoło. — Ha! spętać ją w łańcuchy z bławatów i kazać jej prząść na kądzieli! —

LUDGARD.

Ja detynka malenkaja,
Moja nóżka bosenkaja,
Wyneste koladnik!

HAMDER. Prosi o upominek.

RYTYGIER *(kilka srebrnych pierścieni kolczugi ucina sztyletem).* Masz, nieboże!

LUDGARD. Znam was.

HAMDER. Mnie?

LUDGARD. Obu was widziałem.

RYTYGIER. Gdzie?

LUDGARD. Na kolanach u boga Pogwizda,[1] nim

[1] ‚Pochwist, Pogwizd — bóg wichrów i deszczów'.

przyleciał powiew z dolnych jarów i zaniósł was na ziemię, gdyby ziaren dwoje — wtedy i mnie lepiej działo się, niż teraz. — Lecz nie troszczcie się — wkrótce znów będziemy razem.

HAMDER. Gdzie?

LUDGARD. Zrzuć rękawicę, a powiem ci przyszłość twoją!

HAMDER. A co?

LUDGARD. I ten drugi niech da rękę!

RYTYGIER. Nuż, przepowiadaj!

LUDGARD. Ciebie pierwszego i ciebie drugiego śmierć zawczesna, gdyby sama chciała, minąć nie potrafi.

RYTYGIER. Kawko!

LUDGARD. Mój wojewodo, mój kniaziu, jeszcze się tobie coś w naddatku przed zgonem należy.

RYTYGIER. Cóż, puszczyku?

LUDGARD. Dłoń twoja goreje, jako moja niegdyś.— Szaleństwo! *(odchodzi)*.

BISKUP. *Ite, missa est!*

CHÓR RYCERZY. *Amen.*

HAMDER. Co tak za nim ciągniesz oczyma? — Teraz spojrzyj lepiej w tę stronę, bracie! — Czy widzisz pomiędzy ostatnimi jałowcami boru tych dwunastu idących powoli — a przed każdym pług i dwa woły białe, jak mleko? — To wojewody!

RYTYGIER. A Wanda, gdzie Wanda?

HAMDER. Niema jej dotąd. — Boże! nic się nie odmienił potężny Żelisław, do dziś dnia tenże sam chód pyszny i twardy, ta sama czerwona przepaska na białych włosach — ale czemuż wiodą go pod

ręce? Wszak starzec, który idzie przodem ich wszystkich, sam nie prowadzi pługu?

RYTYGIER. Młodzieniec jakiś, z kołczanem na plecach i toporem u boku, woły starca pogania.

HAMDER. Oślepł, oślepł wojewoda gór, a Hardymirowi oddał oręż dni dawnych. Ach! dobrze się stało, bo wzrok jego byłby się wwiercił pod przyłbicę i poznał rysy moje. — Ot! Brzetysław z szramą na czole, co mnie w nocy żegnał na tej samej granicy i ślubował wiernym mi być, jeśli wrócę kiedy. Kołpak gnieźnieńskiego Barnima, jak dawniej, strusiemi powiewa pióry, zdartemi gdzieś z Niemców.— Patrz! oto wróg mój, dawny przyjaciel Leszka, z tymi bursztynami na piersiach, Herdza o słodkim głosie, o roztropnych radach. — Stań przedemną, bracie!

RYTYGIER. Żaden z nich nie patrzy na nas — wszystkich oczy obróciły się ku biskupowi i kapłanom jego. —

(*Wojewodowie nadchodzą i każden siada pod kopcem na pługu swoim, miecz wetknąwszy w ziemię*).

CHÓR LUDU. Witajcie, witajcie, hospodyny[1] miłe, a jeśli się godzi, prosim was, poważnych i mężnych, zapytajcie tych ludzi, poco przybyli i czego żądają?

ŻELISŁAW. Na to zesłała nas córa Krakusa, miła bogom Wanda, bądźcie spokojni!

HARDYMIR. Uciszcie się! Alboż nie widzicie, że sta-

[1] Hospodyn (z czesk.) — gospodzin, pan.

rzec, kapiący od złota, wzniósł krzyż oburącz i o posłuchanie prosi?

RYTYGIER. Gdyby człowiekjeden, umilkli na równinie, po widnokrąg umilkli na wzgórzach.

HAMDER. Jak tysiące, ozwą się od widnokręgu, kiedy biskup skończy.

BISKUP. Męże słowiańskiego plemienia, wybrane wojewody z narodu Polanów, słuchajcie słów moich, jako przystało na was, głośnych między postronnymi z mądrej rady i opatrznej myśli nad ludem waszym!

Przybyliśmy od zachodu, by wam przynieść dobrą nowinę,[1] by wam opowiedzieć słowo miłości i zbawienia.

ŻELISŁAW. Starcowi ja, starzec starców narodu mojego, odpowiem. Twarzy twojej widzieć nie mogę, bo od dni już wielu słońce mi nie weszło i księżyc wiecznym stał się dla mnie nowiem — ale każde drganie głosu twojego rozważam, siedząc w ciemnościach. Jeśli prawdę wyrzeczesz, ktokolwiek jesteś, obsypiem cię najbujniejszymi kłosami żniw polańskich. Lecz jeśli pod lśniącą pajęczyną słów twoich kryje się jama zdrady, biada ci, cudzoziemcze, bo naprzód kalasz siebie samego, i powtóre biada ci, cudzoziemcze, bo mój lud się zemści!

BISKUP. Na świadka czystych chęci wzywam Boga, który mnie przysłał, bym wam imię Jego obwieścił. Wszystko, na coś patrzał dawniej, ziemię, gwiazdy,

---

1 Dobra nowina (tłómaczenie greck. wyrazu εὐαγγελιον, łać. *evangelium)* — ewangelia.

wody, zwierzęta, nikt inny, jedno Bóg ten jeden stworzył dla chwały swojej i człowieka z prochu ziemi stworzył, a natchnął w jego oblicze dech żywota. — Nasadził też był Pan Bóg sad rozkoszny w Eden, na wschód słońca, i postawił tam człowieka, któremu przydał niewiastę za wspólniczkę szczęścia. — Oboje mieli być nieśmiertelni — ale duch kłamstwa i złości, któremu kłaniacie się dotąd pod postacią fałszywych bogów waszych, wczołgał się, przybrawszy kształt węża, do rozkosznych gajów i podmówił niewiastę, by zerwała jabłko z drzewa wiadomości, które Bóg jeść był zakazał — posłuchała i wraz z mężem jedli oboje, a Bóg ich przeklął i ich i dzieci śmiertelnymi uczynił.

ŻELISŁAW. Nasze litościwsze!

BISKUP. Nie bluźń, boś zrodzon w niewiadomości prawdy, a my przyszli ci ją objawić!

ŻELISŁAW. Któryż człowiek na szerokiej ziemi może takie słowo wyrzec do drugiego człowieka? Czy ty nieśmiertelny? czy nie łakniesz, jak ja, napoju i jadła? czy lata, przechodząc nad twoją głową, nie przyprószyły jej śniegiem?

Hardy język i czcze myśli twoje — chyba zwiedli mnie towarzysze, kiedy rzekli: »Starzec siwy stoi przed tobą«. — Ty młodym być musisz!

BISKUP. Obłąkany! ty mi raczej odpowiedz, czy wiesz, skąd i dokąd idziesz dniem po dniu, jak skrzydłami niesiony do śmierci? kto duszę twoją, której ni płomień stosu spalić, ni skorupa popielnicy zamknąć nie zdoła, sądzi za grobem?

ŻELISŁAW. Pamiętam, nieraz, kiedy siedzimy we-

spół, ja i towarzysze, porą zimową przy dzbanach, opowiadając sobie łowy i boje, otoczeni miłym sercu smolnych łuczyw trzaskiem, a na dworze za drżącemi ściany czarno i wietrzno — pamiętam, nieraz wleci ptaszek obumarły w koszulce ze szronu i padnie na stoły — lecz go wraz ciepło i światło ożywią, otrząśnie piórka i, ponad głowami wojowników krążąc, zaśpiewa o wiośnie; potem zmylony, myśląc, że to już wiosna na zawsze, znów wylatuje drugą stroną szopy. Takci i człowiek każdy wśród dwóch ciemności kilka dni na ziemi, ocieplonej słońcem, zbożami umajonej, przeżywa, a potem, gdzie znika, tego nikt nie dociekł, tego nikt nie powie.

BISKUP. Mylisz się, wojewodo słowiański! — Bo Bóg wszechmocny w miłosierdziu swojem zesłał Syna jednorodnego, Jezusa Chrystusa, który oblekł się w ciało ludzkie i słowem żywota te ciemności rozgarnął, a potem do Ojca powrócił i króluje w niebiesiech, aż znów zstąpi w dzień ostatni świata, by sądzić nas wszystkich.

ŻELISŁAW. Co ty chcesz wmówić we mnie? Gdyby jeden był wszystko stworzył i gdyby Syn tego jednego raz tylko stąpnął na ziemi, czyżby nie była się rozpadła od wschodu na zachód? czyżby gwiazdy, jak rój pszczelny, nie były same zleciały zatknąć się w koronie nad Jego czołem? — I dotądbyśmy niebo porysowane widzieli!

BISKUP. Na świecie był i świat jest uczynion przezeń, a świat go nie poznał. — I na to był przyszedł, by wszystkie zbrodnie ludzkie wziąwszy na siebie, na tym krzyżu skonał. — Nie był on królem ni wo-

dzem — on tylko słowem nauczał o chwale Ojca swego — kazał ufać wiarą, spodziewać się nadzieją i kochać miłością — przebaczył wszystkim, byleby w skrusze żałowali za winy swoje. — Jeśli pomiędzy wami jest zabójca, darowano mu, gdy uwierzy w Chrystusa — niechaj się nie lęka, niechaj przyjdzie do mnie! — Jeśli między wami jest taki, coby ojca lub matki dźwigał przekleństwo, darowano mu będzie, jeśli uwierzy w Chrystusa. — Jeśli jest niewiasta cudzołożna, darowano jej; niechaj przystąpi! Jeśli jest pogardzony przez braci za podstęp lub zdradę, niech się zbliży i dotknie się ustami tych nóg, gwoździami przebitych, a odpuszczę jemu i on czystym się stanie i żyć będzie na wieki.

ŻELISŁAW. Gdyby znalazł się taki, nimby złożył pocałunek na krzyżu twoim, synby go mój, syn ostatni, Hardymir, przeszył starą włócznią ojca!

BISKUP. Nie tobie jednemu przyniosłem dobrą nowinę, ale wszystkim — nie do ciebie przemawiam, ale do ludu całego — w imieniu namiestnika Chrystusa i w imieniu potężnego cesarza zachodu nową wiarę wam ogłaszam. — Kapłanów, którzy mię otaczają, rozeszlę po kraju waszym, a łaska Boża was przez nich oświeci.

ŻELISŁAW. Ni ciebie, ni cesarza, ni Boga twego nie wzywaliśmy nigdy. — Obcy jesteście — Niemcy jesteście. — Droga, którąście przybyli, niech was odprowadzi nazad!

BISKUP. Ludu się pytam, niech mi lud odpowie!

HARDYMIR *(zrywając się)*. Zaraz lud ci odpowie!...

HERDZA. Stój! — prócz królowej nikt nie może

stanąć na tym kopcu świętym i zapytać się całego ludu.

ŻELISŁAW. Zwyczaj ten wzięliśmy od przodków. — Synu, prawdę rzekł wojewoda.

HARDYMIR. Królowa czeka na nas w borze — zatem wązkie te smugi przebiegnę i opowiem jej, co się na równinie stało.

CHÓR LUDU. Śpieszaj, Hardymirze, synu gór, lotny orle skał!

BISKUP. Tymczasem klęknijcie koło mnie, kapłani — proście Ducha św. za tymi tysiącami!

HAMDER (*do Rytygiera*). Teraz blizka już wojny godzina!

LUDGARD (*śpiewa pomiędzy ludem*). O tym Bogu, co na krzyżu, krótkie słowo powiem wam.

Czy widzicie, jak się męczy?
Czy słyszycie, jak on jęczy?
A za co tak krwawy?
A za co tak łzawy?
Za to, że Niemców Bóg!
Za to, że Lachów wróg!

KILKA GŁOSÓW. Wie, co mówi — on z duchami rozmawiał dziś nocą. —

LUDGARD. Kto z nas tu wszystkich Ładę kiedy widział na modrym obłoczku?

GŁOSÓW KILKA. Nikt — nikt!

LUDGARD. Kłamstwo — bo ja!

GŁOS JEDEN. Jakże to było, wojewódzki synu?

LUDGARD. Tęczą miała obwiązane skronie, a końce puściła z tyłu w powietrze i one ku mnie spadały, igrając z wiatrami — podmuchy wieczoru gnały ją

ku wschodzącym gwiazdom. — Krzyknął Ludgard — ona się zatrzyma — ona się odwróci i ukaże lica!

KILKA GŁOSÓW. I cóż? — i cóż?

LUDGARD. Ot, niech piorun rozbije na miazgę Ludgarda! Przysięgam, że Wanda piękniejsza. Lecz nie dajcie jej Niemcom, bo zbrzydnieje wtedy!

GŁOSÓW KILKA. Dobrze mówi, dobrze!

LUDGARD. Holla! Hurra! Cztery konie czarne buchnęły z boru na zieloną łąkę. — To ona! jak słup mgły srebrnej stoi na wozie! To ona! —

RYTYGIER. Hamderze, czy to królowa?

HAMDER. Królowa? Nie — to tylko siostra moja, Wanda.

RYTYGIER. Gibka i śmiała jej ręka! Jakżeż lejce puszcza na karki rumakom! — Ominęła teraz głaz ten na polu — znów chyżej pchnęła się ku nam — to potok to wicher, to piorun, to nie kobieta!

HAMDER. Ha! pod tą śnieżną zasłoną wrą śmiertelne gniewy. — Hardymir jej doniósł słowa biskupa. — Patrz, jak dumnie skinęła głową na okrzyki ludu, jak teraz wyciągnęła ramię i dłonią rozprowadza milczenie nad nimi! — Ani słucha wojewodów, ani odpowiada im, prosto na kopiec wstępuję — widzisz? — zatrzymała się — patrzy na nas. Zgaduje jej pyszny uśmiech, jeśli oczyma krzyż wasz napotkała. — To krew ojca mego, książę!

RYTYGIER. O wietrze, stu zamków zdobytych na igraszkę rzucę ci popioły, bylebyś teraz z jej głowy zasłonę tę zerwał! — Stanęła już na szczycie, wzniosła ręce ku niebu, przynajmniej głos jej usłyszemy.

WANDA. Dobre i nieśmiertelne bogi! Wy, coście ni-

gdy nic nie odmawiały córze Krakusa, wysłuchajcie jej i dzisiaj jeszcze! Wszak nie skąpiłam wam najpełniejszych kłosów i najwonniejszego kwiecia — wszak postawiłam wam świątynie w głębi głuchych lasów i na wyspach jezior — wszak tobie, matko Wisło, święty zapaliłam ogień w jaskini smoka, przy brata mogile?

Rzućcie, o rzućcie postrach na cudzych ludzi, którzy stanęli na naszej granicy w jasnych zbroicach, a od ich namowy zachowajcie tych, których kocham, tych, którym panuję, tych moich wszystkich! Słońce zachodzące, niech twój ostatni promień roztoczy się nademną, jak opieka bogów! — nim zejdziesz w złotą przepaść, niech wyrok ludu zagrzmi w powietrzu! *(Obraca się ku ludowi)* Syny Słowian, czy chcecie być chrześcijanami?

CHÓR LUDU. Nie — nie! —

WANDA. Syny Słowian, czy chcecie być Niemcami?

RYTYGIER. Lud cały jednem gardłem się rozśmiał. Przez św. Huberta! samo powietrze się śmieje i bór i wzgórza. — Będę ja deptał wasze śmiechy moją kutą stopą! Czyś osłabł pod tymi rykami, że się na mnie opierasz? Hamder! ty drżysz cały!

HAMDER. I ja byłem Lachem kiedyś!

RYTYGIER. Przez Gudrunę! Tegom się nie spodziewał, że będę musiał stać niewzruszony, obwiany pogardą motłochu. — Hamder! Hamder! czy słyszysz?

HAMDER. Mścij się więc za siebie i za mnie!

RYTYGIER. Księże biskupie, ojcze biskupie, proszę cię, ustąp się! — Królestwo słów przeminęło, na nic się nie zdało. *(Wyskakuje naprzód)* Królowo, do-

piero jednej połowy poselstwa dopełnił ten starzec— druga zabrzmi inaczej. *(Dobywa miecza)* Oto jej pierwszy dźwięk! — Cha, cha, cha! Czy ja na księdza lub dziewczę wyglądam, że mnie zastraszyć myślicie? Odwołajcie, Lachy, krzyki do piersi waszych, bo nawet słów moich zagłuszyć nie zdołacie!—Kiedy grzmi na niebie, jeszcze mnie słychać.

ŻELISŁAW. Synu, co to za człowiek, którego głos huczy ponad wrzaskami tysiąców?

HARDYMIR. Przyłbica twarz mi jego wydziera, ale pierś jego pod ciężkimi ogromami żelaza, jak żart, wolna się zdaje — miecz olbrzymi, na którym dłonią się oparł, ugina się i drży cały. Inni wydają się przy nim, jak giermki chłopięta, prócz jednego tylko, co stoi z boku, z pochyloną głową — gdyby ją podniósł, mógłby mu dorównać.—Lecz słuchaj, ojcze, słuchaj teraz!

RYTYGIER. Wando, czy znasz brata? Lachy, znacie wy króla Ziemowita?

WANDA. Jak ono słońce, co zaszło, znikł bratobójca.— Jak te połyski, co bledną, ślady jego się rozwiały. Jak ta noc, co się zbliża, tak nad nim weszły ciemności hańby.

CHÓR LUDU. Królobójca, bratobójca, zapomnian na zawsze!

RYTYGIER. A jednak on prędzej wróci, niż to słońce, córo Krakusa! Przysięgam, że prawdę mówię, i ty mu ustąpisz, a wy go słuchać będziecie. Inaczej, Lachy, biada wam! bo wasz śmiech przerobię na jęk konających—bo z was jednego nie zostawię z wolnemi rękoma i wypuszczę spętanych na pole, jako

bydło, i każę wołom, by was pasły, dawnych panów swoich!

WANDA. Nie porywaj toporu, Hardymirze! Nie wstawaj, Barnimie! Zostańcie wszyscy przy pługach waszych! — Przez pięć dni i pięć nocy obiecaliśmy zgodę i pokój cudzoziemcom zachować.—Dwie doby dopiero, jak słowo nasze słyszały nieśmiertelne bogi! *(Do Rytygiera)* A ty, choć ryczysz, jak lew zmartwychwstania na Flinsa[1] ramieniu, nie straszny mi jesteś, bo kto zdrajcom pomaga, ten niedługo stąpa po miękkiej życia murawie. Cokolwiek knujesz, bezpiecznyś na tej ziemi naszej, póki chwile miru nie upłyną — wtedy wolno ci wrócić nazad, wolno ci bój z ludem moim rozpocząć. Zacnieś uczynił, żeś twarz od oczów dobrych ludzi oddzielił żelazem.—Ja nie mam się czego ni lękać, ni wstydzić, a zatem weź na drogę pamiątkę po królowej Polanów! *(Odrzuca zasłonę)* Weź to spojrzenie pogardy!

CHÓR LUDU. Niech żyje Krasopani[2] nasza!

RYTYGIER. Księża, czy to święta z niebios? Hagenie, czy to jedna z Walkyrich[3], o których mówią stare pieśni ojców?

HAMDER. Odpowiedzże dumnej—czy nie widzisz, jak

---

[1] 'Flins — bóg wskrzeszający umarłych. »Bóg Flins wyraża boga czynnego, pilnego, który nigdy nie śpi, lecz ustawnie patrzy na umarłych, mając ich wskrzesić« (Fabrycyusz). — To bożyszcze czczone pod postacią człowieka umarłego, bladego, z włosami i kędziorami, czasami w płaszczu czerwonym, z pochodnią na kiju, w mierzchu niby gorejącą, w prawem ręku, z lwem z głową podniesioną na lewej barce, którego lwa gmin wierzył być wskrzesicielem zmarłych

[2] 'Krasopani — bogini Morawców, to samo, co Łada'.

[3] Por. t. III str. 317.

wojewody i lud i ona z nas się urągają? Czyś nie słyszał jej słowa ostatniego!

RYTYGIER. Hagenie, podnieś mi przyłbicę — niech odetchnę wolno, niechaj spojrzę pełno — zerwij mi szyszak, Hagenie!

HAGEN. Tę klamrę muszę rozerżnąć sztyletem.—Strzeż się tej czarownicy, panie!

CHÓR LUDU. Czy to Lel[1] młodzian, czy to Znicz[2], pan światła, błysnął wśród Niemców i spogląda na Wandę naszą?

RYTYGIER. Nie odwracaj się, dziewico, tej zasłony nie zarzucaj nazad!—Powiedz mi, jak się zowiesz, bo oni wszyscy kłamią, mówiąc, żeś córka śmiertelnego człowieka!

HAMDER. Przez czarta! milcz, jak umarły, jeśliś poległ od jednego jej spojrzenia! — Patrz i milcz, by dzieci Polan w piosnkach swoich nie osławiły ciebie! — Milcz! raz jeszcze mówię. *(Obejmuje go ramieniem i staje przed nim)* Wando zatrzymaj się!

WANDA. Kto przemówił teraz? Herdzo, czyś tego głosu nie poznał? Wojewody, otoczcie mnie! — Czy widzicie tę postać wysoką jak Czarnyboh[3], co przesłoniła boskie czoło tamtego wojownika, czy słyszycie, jak ona woła na mnie? Wiecie wy, kto to jest, wojewody? Patrzcie, zbrojną podniosła rękę i grozi mnie.—Tu, na lewo, tu, na prawo, bliżej jeszcze, bliżej stańcie przy mnie!

HAMDER. Kryj się pośród służalców, Wando, i prze-

[1] 'Bóg miłości Lelum Polelum'.
[2] 'Znicz — bóg ognia i światła'.
[3] 'Czarnyboh — dyabeł, potęga złego'.

padnij wraz z nimi w łonie wiecznej nocy! — Ranek mój już świtać zaczyna. Długoś prządła spokojnie królewską kądziel przy umarłego mogile.—Kiedym wędrował o nędzy, przy gromnicach błyskawic, tyś chleb jadła miękki, tysiącem szczęśliwych otoczona bogów.—Teraz ja wracam z jednym tylko Bogiem, skrwawionym i ponurym, jako serce moje. Teraz brat mój, książę Rytygier, wypowiada ci wojnę, a z głębi Niemiec tłumy rycerzów śpieszą mu na pomoc. — Za trzy dni, siostro, spotkamy się na polu bitwy!

WANDA *(do ludu)*. Rozejdźcie się do domów po oręże i konie, a za drugim świtem czekam was u ojca Krakusa mogiły! — Idźcie i złóżcie przed bojem należne ofiary Marzannie! *(Do Hamdera)* W imieniu ludu mego wojnę przyjmuję, straszną wojnę dobrych przeciwko tobie, coś bogów rodzinnych odstąpił i duszę zaprzedał wrogom ziemi twojej. —

HERDZA. Wojna, wojna! Bo dotąd zwłoki Leszka niezemszczone leżą. —

HARDYMIR. Wojna, wojna! Dzieckiem byłem, gdyś uciekał nocą. — Teraz opróbujesz, czym wyrósł na męża!

ŻELISŁAW. Jak przez mgłę zapamiętam jeszcze białą brodę pradziada twego. — Z dziadem twoim w głuchych borach nad ciałami pobitych turów spijałem gęste roztruhany miodu.—Ojcu twemu przysiągłem na przyjaźń pod murami Krakowa i żyłem z nim odtąd, jak potężny starosta z kochanym od Peruna żupanem[1]. — Ciebiem piastował na ręku, kiedyś się

[1] Żupan — władca, pan.

urodził—potem topór ci kładłem w maleńkie dłonie i błogosławiłem twej główce dziecinnej — a dziś, stary i ślepy, przeklinam ciebie!

CHÓR LUDU. Wraz z wojewodą gór i my wszyscy ciebie!

HAMDER. Biorę wasze przekleństwa na głowę moją — tyleż ich w moich własnych piersiach leży! *(Do biskupa)* Teraz z krzyżem, wzniesionym wśród jarzących gromnic, dotrzymaj mi obietnicy, ojcze! — jam ci się z mojej wywiązał. Wszak lud ten za to, że odrzucił świętą wiarę chrześcijan, oddajesz w ręce moje?

BISKUP. Amen.

HAMDER. I ta ziemia moją w imieniu Cesarza i Rzymu? —

BISKUP. Amen.

HAMDER. Słyszeliście, towarzysze, dzielni Rytygiera wojownicy?

CHÓR RYCERZY. Długiego życia królowi Polanów!

RYTYGIER. Hagenie, czy to jej biała szata tam, wśród ciżby, blizka już lasu? Nie—nie—wszak to jej wóz i konie dotąd przy tym kopcu stoją? Hagen, Hamder, pomóżcie mnie!—Te zawistne cienie tak chyżo spadły—te tłumy tak błędnie się gmatwają, rozchodzą, nikną. — Gdzie ona? Gdzie ona? Wyrwijcie mnichom gromnice — dobądźcie szabel, by się w każdej jeden promień odbił — światła, światła, światła!

HAMDER. Jużbyś jej nie ujrzał, gdyby samo słońce wróciło. — Patrz, pługów ni wozu już niema — tylko snują się Polanie, jak burza, co się oddala — coraz

pustszy widnokrąg — wojewodów kilku jeszcze radzi pod temi sosnami, lecz i oni zabierają się w drogę — wracaj, Rytygierze, do zmysłów!

RYTYGIER. Hagen! ty wiesz, żem dotąd na żadną nie spojrzał niewiastę. — Urągałem się z rycerzy cesarskich, kiedy szli dobywać zamków, w których hoże panowały dziewice — mnie jedna tylko twarz niewieścia tkwiła w pamięci, twarz biednej Gudruny! A teraz drżę cały — te lasy i niebo kręcą się wokoło, niedługo zwalą się razem i uduszą mnie! Przeklęte słowo rycerskie, przeklęty mir, który mnie wiąże!—Dziśbym jeszcze za nimi poskoczył, a rankiem wrócił i przyniósł Wandę na świtu promieniach... Hamder! chodź ze mną — mów do mnie — głos twój czasami do jej głosu podobny!

HAMDER. Bracie, niedługo przybędę, ale teraz muszę tu na chwilę zostać. *(Do giermka)* Goń za tym człowiekiem, co się oddzielił od innych i sam stoi na moście — goń, ile sił ci stanie, oddaj mu ten pierścień, a kiedy go pozna, wskaż mu ręką szopę — nic więcej, tylko pierścień oddaj i wskaż ręką szopę!

(giermek odbiega).

RYTYGIER (*odchodząc z rycerzami i biskupem*). Hamderze, nie zwlekaj! Hamderze, czy słyszysz?

HAMDER. Przysięgam o północy być w namiocie twoim. — (*do straży*) Oddalcie się, wróćcie do obozu, zostawcie mnie samym! *(wchodzi do szopy i siada na stopniach ołtarza)*.

Przyświecaj mi, chrześcijańska lampo, ty, coś dostała mi się w zamian za stracone niw słowiańskich

słońce! Ile już nocy przemarzyłem w twych gorzkich promieniach! Dziś na zawsze połączyłem się z tobą i ty na królewskim grobie moim tleć będziesz, przeklęta od Polanów! —

Ach! gdybym był odzierżał po ojcu puściznę, tybyś daleko gdzieś w Rzymie lub nad brzegami Renu jaśniała teraz — ale nie tu — nie tu, na tej ziemi mojej! *(schyla się i bierze trochę ziemi)* W tobie naddziadów moich prochy — ty mi nic nie winna — jedno oni, którzy zamieszkali łany twoje, zmusili mnie do boju bez odpoczynku, a może bez końca. — Im zemsta, lecz tobie, droga, pocałunek syna! — Czyjeś kroki się zbliżają — gracko się sprawił giermek Rytygiera — to Brzetysław!

(wchodzi Brzetysław).

Witaj mi, druhu! Kiedym przebrany odwiedzał wczoraj dąbrowę Pelwita[1], u wejścia siedział stary twój gęślarz, Siemian, i poznał mnie i mówił, że dni kilka temu ci się śniło, że wracam na rodzinne pola. — Sen twój jawem stał się, wojewodo!

BRZETYSŁAW. A dotąd jaw ten snem mi się wydaje! Jakżeś odmienny w tej niemieckiej zbroicy! Inaczej wyglądał wódz dni dawnych, co tak lekko i urodziwie lechickie przebiegał równiny w białej czapce, z burką błękitną, szumiącą wichrami! Wtedy skrzydła orłów pobitych igrały ci zatknięte u ramion i kosa, tęcza bojów, jaśniała w ręku twojem! Lud, patrząc, wołał: »Chyba to jeden z bogów na-

[1] 'Pelwit — bóg skarbów i bogactw'.

szych«. Ach, Ziemowicie, wtedy zacniej, wtedy lepiej było!—Co za chrzęst się odezwał? Czy kto trzeci tu nas podsłuchuje, książę?

HAMDER. Z przyjacielem nie lękaj się zdrady! To tylko wyschłe piersi mojej kości wzdrygnęły się w próżni pancerza. — Precz z tą słabością, starych wspomnień sługą! Na co wywoływać czas obalony, co już nie powstanie nigdy, kiedy żyjąca teraźniejszość stoi przed nami — o niej pomówmy!—Tu przy mnie siadaj, wojewodo!

BRZETYSŁAW. Na tych czarnych stopniach? — pod tym cudzym bogiem?

HAMDER. Nic cudzego niema człowiekowi, który wzbić się umie po nad złudzeń codziennych pospolite szranki.—Od lat dziesięciu nie spocząłem nigdzie—sto miast widziałem—pokotem spałem z niewolnikami, a nazajutrzem siadał do biesiady królów. Wszędziem jedną tylko prawdę znalazł—imię jej: potęga.—O nią walczą ludzie, gdziekolwiek im się dostało przemijać na szerokiej ziemi, a kto jej nie dostąpił, żyje w nędzy i umiera w zapomnieniu—bo dni jego przeszły marnie, w niczem niepodobne do siły odwiecznej, co nas z góry tłoczy, Białymbohem[1] li ją nazwiesz, czy Bogiem Chrystusem! — Siadaj przy mnie, wojewodo!

BRZETYSŁAW. Po tych słowach lepiej, niż po twoim pierścieniu, niż po twojej twarzy, poznaję ciebie! Wspólna nam obu ta żądza sławy! Przysięgliśmy niegdyś na zgliszczach Peruna drzeć się oba do

[1] 'Biały boh — potęga dobrego'.

wielkości razem, ty jako król — ja jako wierny ci starosta! Ale w tej przysiędze lat naszych młodych o cudzoziemcach mowy nie było. — Nie wahałbym się wśród wojny domowej wraz z tobą jednych braci stopy pędzić na drugich obalone karki.—Lecz kiedyś obcym się powierzył, kiedy krzyż niemiecki przylgnął ci do serca, a miecz niemiecki zrósł z dłonią twoją, ni im, ni tobie, książę, nie mogę ja służyć!

HAMDER. Czyż nie każda wojna domową, Brzetysławie? Czyż nie wszyscy ludzie braćmi i wiecznymi wrogi zarazem? Braćmi w kolebce i trumnie, wrogami przez ciąg cały życia? Niemiec, azaż nie człowiek, jako ty, skory do niewiasty, skarbów i rozboju, cichy, kiedy go zgnieciesz, hardy, kiedy mu się poddasz? — A krzyż co? — Godło wiary tajemniczej, która nad ziemią przelatuje tak samo, jak bogi nasze, wędrowna od wschodu, tak samo niewidziana nigdy, a czczona jednak — tylko w tem od nich różna, że młoda — a one zgrzybiałe!

BRZETYSŁAW. Wierzy jednak w te stare bogi siostra twoja i lud im codzień na wzgórzach składa obiety[1].—Lud ich bronić będzie i na potokach krwi własnej poczyni im wyspy schronienia!

HAMDER. Słuchaj mnie! — Bom jedne po drugich rzucił na targ życia wszystkie zdrowia siły, bom rozbratał się z snem, z urodą, z sumieniem, by kupić jedyną mądrość tej ziemi — kilka kropel jadu w czarce doświadczenia! I od goryczy tego piołunu wzrok mój dostał sił tyle, że spokojnie zdoła, świecąc

[1] Obiety — ofiary.

próchnem, rozgarniać cienie przyszłości! Wierz mi, przeznaczenie na czas długi krzyż wyniosło, by panował światu. Widziałem, jak on naprzemian kruszył serca narodów żelazem, to namową i łzami — spotkałem tysiące nawróconych Sławian, pędzonych, jak cicha trzoda, przez starców kilku.—Stałem na pobojowisku, kędy leżały dzikich bałwochwalców trupy, a ich dzieci klęczące po chrześcijańsku już się modliły za dusze ojców pobitych. — Gdziem tylko szedł lub zatrzymywał się, krzyż migał przedemną, na prawo, na lewo, w górze na wieżach i w dole na grobach— Wcześniej czy później on owładnie wami. — Dzieckiem, kto odkłada do jutra i znów na drugie i na trzecie jutro to, co stać się musi.—Mąż, konieczność gdy uzna, brata się z nią dzisiaj — wtedy jej żelazne ramiona stają się ramionami męża !—Wojewodo! kiedyś sami Niemcy przybędą, a mnie już nie będzie z nimi.—Wtedy dola Polanów, nie odwrócona, odwleczona tylko, azaż tysiąc razy sroższą się nie stanie? Przecież ja wzrosłem u was, przecież mnie matka lechickiemi karmiła piersiami! Ja waszej mowy nie wytępię, waszych zwyczajów nie zdeptam, bo one młodości mojej pamiątką! Sąsiadów, przybyłych ze mną, zdołam odprawić do domu.—Cień tylko krzyża, nie on sam, wzorem dębu twardego, jak w innych krainach świata, spadnie z mojej ręki na was.—Pomyśl, synu Mścisława! Lepiej nam obu zyskać na zmianie, niż żeby na mogiłach naszych ktoś inny, ktoś cudzy zasiadł w pysze i urągał się z nas, pomarłych w milczeniu, kiedyśmy żyć mogli potężnie i głośno! — Czas krótki do namysłu — kiedy ta

noc upłynie, ze mnie jeszcze król być może, z ciebie już nic, Brzetysławie!

BRZETYSŁAW. Czemuś, czemuś sam jeden nie wrócił, książę? Za kilka dni Lechia rozdwoić się miała.— Hardymir lada chwila chciał słać wróżbiarzy, swatów do siostry twojej, tusząc sobie w szale, że jemu bogi przeznaczyły rozpleść jej warkocz nietknięty.—Czemuś, czemuś sam jeden nie wrócił, Ziemowicie? Łukonośna Wanda byłaby dziewosłębów zimnem zbyła słowem.—Stąd bunt Hardymira, bo czego raz zapragnie, tego dopiąć musi lub zginąć. Tymczasem ty, ukryty, czekasz, aż ich oręże się stępią, aż lud znękany zacznie sarkać na obojgu.— Krewni i służebni moi zbierają się koło ciebie — na ich czele występujesz w porę, bo zapomniany już, a zatem świeży i miły ciekawości ludzkiej. — Ktoby się nam oparł? Ach! czemuś nie zaufał wierze mojej?—Czemuś samotny nie przyszedł zakołatać nocą do wrót moich? Byłbyś zasiadł w cieniu zielonych kłosów mojego domowego Potrympa[1]!

HAMDER. Czyż to, co być mogło, godne słów tylu wobec tego, co jest i będzie? Księżyca nie nagniesz do matni w jeziorze! Co się stało, stało się, człowiecze!

BRZETYSŁAW. Wiem ci ja, wiem i dlategoć narzekam. Bo muszę, jeśli teraz zwiążę się z tobą, wyzuć się czci bogów i wstydu ludzkiego — patrz,

---

[1] 'Potrymp — bóg domowy, opatrzność, Lar, słodycz — młodzian miłej i wesołej twarzy z kłosami zielonymi na głowie; na cześć mu żywego węża Prusacy chowali'.

włosy te ciemne muszę okryć hańbą, a jeśli kiedy siwych się doczekam, powiedzą Sławianie: »Nie ze starości, ale od śliny plwań naszych zbielały mu włosy«. I córa Lubhosta, którąm pojął za żonę, płakać będzie po wszystkie dni swoje, aż nici kądzieli od łez zgniją jej w dłoniach—i dzieciom dzieci moich, kiedy zapytają się: »Kto był dziad nasz?—przecz nigdy jego imienia nie słyszym«? — odpowiedzą ludzie: »Na imię było mu: zdrajca!«—O, biada, biada mi, książę!

HAMDER. Mylisz się — bo jeśli przegramy, zginiem oba razem gdzie na polu bitwy — wtedy wszystko ci jedno, jakie gwary żyjących zostawisz po sobie.— Lecz jeśli zwyciężym... Czy ty rozumiesz, co zawiera w swoich przepaściach to słowo: *zwycięstwo?* Patrz na te łany, milczące i ciemne — na wzór nich leżą zwyciężeni pod nogami bohatera.—Teraz spojrzyj w górę na gwiazd tych krocie! Kiedy miną zapasy walki, on tyle dobrodziejstw rozda tym, co mu wierni byli — i tym, którzy mu się poddadzą, przebaczy i lud, który mu się powierzy, wyniesie ponad wszystkie inne, aż imię jego, zrazu niecierpiane, wreszcie w chwałośpiewach przebrzmi do przyszłości. —

Druhu! ty możesz takim zostać, a wahasz się.— Nie zmuszam ciebie; los nie prosi się u nikogo, jedno ludzie proszą się u losu.—To jedno wiem, że mi dwunastu wojewodów nie potrzeba wcale. Jako król jeden, tak i jeden na tych niwach będzie wojewoda, namiestnik mój, szafarz życia i śmierci. — I to drugie jeszcze wiem, iż z Niemcami wiecznego

nie szukałem miru i że kiedyś ich ziemię, jeśli tchu mi stanie, polskich rumaków stratuję kopyty. —

Teraz wolno ci odejść i raz ostatni pożegnać Ziemowita!

BRZETYSŁAW. Przeklęty niechaj będzie wabny twój głos, królu! przeklęta godzina, o której tu stanąłem! Jak otchłań, w dół i wszerz roztwierasz się przedemną i porywasz mnie! Tak Czarnobogi, w nocy po żalnikach[1] plącząc się kołem, odbierają rozum mołodźcom, a kiedy zorza wschodzi, zostawują ich nędznych i ślepych na wieki! Ciesz się — dziękuj bogom, ty, co zgnębić chcesz Polan, żeś znalazł jednego Polana — ty, coś brata zabił, żeś znalazł jednego człowieka, który dłoń swoją z twoją wiąże, kusicielu!—Oto ręka Brzetysława, jedno przysięgnij na to, coś wyrzekł!

HAMDER. Że kiedyś Niemcom damy się we znaki?

BRZETYSŁAW. I że w Polszcze całej będzie tylko jeden wojewoda!

HAMDER. Przez co mam przysiądz? Zbiegłem ziemię od zachodu na wschód, a żadnych imion świętych ni kochanych niema dla mnie na niej! — Oddaj mi mój pierścień z głową potrójną Peruna!

BRZETYSŁAW. Masz go. —

HAMDER. I krzyż ten mi podaj!—Przecz się lękasz? — to drewno i toczne kamienie — nic więcej!

---

[1] Żalniki — cmentarze przedchrześcijańskie, noszące dziś zwykle nazwę szwedzkich okopów; znajdują w nich urny z popiołami ciał spalonych, oraz rozmaite ozdoby metalowe.

BRZETYSŁAW. Masz!

HAMDER. Przez starego Okkopirna[1] i przez nowego Chrystusa przysięgam dotrzymać ci obietnicy mojej! Teraz leżcie pospołu! *(Rzuca krzyż i pierścień).*

BRZETYSŁAW. O czem się zamyślasz? Co tak patrzysz ponuro? Wychodźmy stąd!

HAMDER. Cha, cha, cha! Oni leżą obok siebie w zgodzie i milczeniu, a za trzy dni o nich bić się będziem,—Chodź, wojewodo, przechowam cię w namiocie do jutrzejszej nocy; będziemy mieli czas rozmówić się wolno — cierpliwie — ostatecznie! — Tędy droga — tędy, wojewodo!

---

1 'Okkopirn, Perun, Prowe — bóg piorunu; kozła mu na ofiarę poświęcali.'

CZĘŚĆ DRUGA.

Szczyt wzgórza, skąd widać podhalańską okolicę o wschodzie słońca. — Żelisław na ogromnym głazie siedzi — u stóp jego leży Ludgard — z drugiej strony, nieco opodal, stoi Hardymir — w blizkiej dąbrowie widać orszak kapłanów, schylających się pod drzewami i zatrudnionych obiatą. — Zbrojni górale.

ŻELISŁAW. Wzywajcie Jessena[1] pieniem świątecznem, wróżbiarze i czarnoksiężnicy! — a wy, ludzie plemienia mojego, Chrobaty[2] o niezłomnych toporach, stuletniemu starcowi, który widzieć was nie może, odezwijcie się krzykiem! — On waszych ojców i dziadów niegdyś prowadził do boju!

CHÓR GÓRALI. Haleśmy[3] opuścili — z drap[4] stromych na twój rozkaz spłynęliśmy, jak potoki wio-

---

[1] ‚Jesse (Jowisz) — najwyższy bóg Polaków'.

[2] ‚Chrobaty mieszkali pierwotnie w Karpatach, Harbatach (górach po słowieńsku)'.

[3] ‚Hala — łąka w Tatrach'.

[4] Drapa po góralsku — bok góry *(P. a.)*. Na Podhalu znany jest tylko wyraz grapa — góra, pagórek; forma drapa polega zapewne na przesłyszeniu (grapa — drapa), mylna etymologia (drapa od drapania się w górę) podsunęła znaczenie: bok góry.

sny, i teraz czekamy błogosławieństwa twego, by odejść na boje, zstąpić na krakowską równinę.

ŻELISŁAW. Dzięki wam, dzieci! Dopóki niebo błękitniało nademną, dopótym sam stąpał na czele pokolenia mojego — dziś nieskończona ciemność północ i południe, wschód i zachód mi zaległa. — Dziś ja się powlokę za wami, oparty na ręku syna, Ludgarda, a przodem iść będzie syn mój, Hardymir. Bądźcie mu posłuszni i za Wandę panią i za Polanów braci bijcie Niemców do tchu ostatniego!

CHÓR GÓRALI. Niech żyje Hardymir, niech przepadną Niemcy!

ŻELISŁAW. Dzięki wam, dzieci! — Na tem samem wzgórzu, na tym samym głazie wszyscy ojcowie moi składali bogom ofiary i sądzili sprawy ludu — a kiedy wojna zawrzała na równinach, oni stąd waszym naddziadom obiecywali zwycięstwo i kazali bez trwogi umierać. Na tem samem wzgórzu, na tym samym głazie i ja was błogosławić będę. *(Wstaje)* Słyszę, słyszę, dzieci moje, żeście zniżyli głowy, żeście przypadli do ziemi. — Niech siła piorunu, co tam drzemie w górze, spłynie mi do rąk, a z nich zleje się w piersi wasze! Hardymirze, synu, przystąp, niech moje dłonie, jak dwa gromy, spoczną na głowie twojej!

LUDGARD. Hardymirze!

ŻELISŁAW. Gdzież twój brat, Ludgardzie?

LUDGARD. Zadumany patrzy na dąbrowę, na kapłanów, a mówią, że nic nie widzi i że nic nie słyszy, prócz myśli swych. Dzisiajem z nim w jednej spał szopie; on w nocy jak się porwie i stękać zacznie

i chodzić! — Ojcze, ojcze! jemu się chce tego, na czem ja się rozbiłem. — I chodził, posępniejszy od nocy, a gdym się spytał: »Czego jęczysz, młodszy mój?« on skoczył, zgrzytając, i uciekł. — Halele, Lele![1] Hardymirze, czy słyszysz? Hardymirze, chodź do ojca twego!

HARDYMIR. Ojcze, wszak ród nasz od bogów pochodzi?

ŻELISŁAW. Czemu się pytasz? Ażalim cię nie uczył od kolebki, że krew niebieska w twoich żyłach płynie?

HARDYMIR. A zatem czoło moje godne lechickiej korony?

ŻELISŁAW. Skąd w takiej chwili przyszło ci na myśl budzić we mnie dawne wspomnienia i starą pokusę? Marzyć nie przystało, kiedy działać trzeba.— Obcy najezdnik grozi Lechii, a góry te mnie przyrzekły, że się schylać będą, ile razy krakowska równina krzyknie im: »Na pomoc!« Jej głos słyszałeś zawczoraj — z doborem więc synów skał śpieszaj do Wandy, pani twojej!

HARDYMIR. Zaprawdę, ona panią Hardymira, bo gdziekolwiek spojrzę, postać jej widzę, a kiedy oczy zamknę, ona mi się przyśnić musi. — Tysiąc córek Krakusa chadza przedemną i za mną, na prawo i w lewo. — Wiatr zaszumi po borze, a ja wołam: »Wando, co każesz?« Gdzieś potok z daleka huczy, a ja biegnę, krzycząc: »Tu jestem, tu, o Wando!« W ryku wilków, w krzyku orłów jeszcze głos jej

[1] Halele, Lele — wykrzyknik, przy pogrzebach w Polszcze pogańskiej używany *(P. a.)*.

słyszę. I wszędzie jej pełno i nigdzie jej niema. — Dopókim mógł, znosiłem męczarnią, teraz nie służę już dalej! Dziś niechaj się losy Hardymira rozstrzygną!

LUDGARD. Halele, Lele!

HARDYMIR. Precz mi z tym krzykiem pogrzebów! —

LUDGARD. Twój dziś się zaczyna, jako mój począł się już oddawna, o podobnej godzinie!
Halele, Lele!

HARDYMIR. Ojcze, błagam ciebie, poszlij kapłanów do Krakowa z świętym śnieżnobursztynowym naszego rodu puharem, niech go podadzą królowej Polanów, niech ją proszą, by nietknięte na jego brzegach odwilżyła usta! — Ojcze, patrz, jeszcze trzy dni spokojnych nam pozostało przed miru upłynieniem; teraz dopiero co weszło słońce, a nim ono zajdzie, dziewosłęby tu z powrotem być mogą! Ojcze, proszę cię, poszlij ich!

ŻELISŁAW. A jeśli nie zechce królowa dotknąć się puharu Chrobatów, jeśli wzgardzi młodszym, jako starszym wzgardziła już bratem, co ty poczniesz wtedy?

HARDYMIR. Nie, nie, przez boga piorunu, tego nie będzie! Ilem razy na łowach cisnął pod jej stopy obalonego niedźwiedzia, lub przebił włócznią tura, odrzucając na chwilę zasłonę z nad czoła, chwaliła mnie wobec radnych panów i zdarte z dzikich zwierząt skóry nieść kazała do jaskini smoka. — Tam one leżą miękkie przy Leszka mogile. Jeszcze zawczoraj, gdy przed straszną twarzą bratobójcy schodziła z świętego kopca, rzekła do mnie: »Podaj mi lejce,

wojewódzki synu!« i znikła wśród sosien, z wozu żegnając mnie ręką. Kto drugi w Lechii całej pochwalić się może, że go kiedy Wanda białą witała lub żegnała dłonią?

ŻELISŁAW. Marne twoje słowa!

HARDYMIR. Niedość na tem, ojcze! Zważ, że teraz właśnie pora uderzyć w jej dziewicze serce i zmiękczyć je na wieki. Kto jej będzie śmiał radzić w takiem niebezpieczeństwie, by prośby mojej nie wysłuchała? Któż jej sierdzistszych mężów przywiedzie odemnie? Czy Mestwin z nad bagien gnieźnieńskich? Czy Brzetysław, dawny Ziemowita służebnik, z nad piasków, porosłych sosnami? Ona wie dobrze, kto ja i chłopy moje! — Nim innych wojewodów nadciągną posiłki, Niemcy Kraków zdobyć mogą. — Dopóty Kraków, dopóki góry z nim. Rytygier i Ziemowit wyglądają na bohaterów. Ta wojna spadła nagle, jak obryw skały, i Wanda nad przepaścią stoi! Ojcze, szlij swatów do niej! Zawczoraj możeby ich była wywołała z kraju, lecz dziś ich przyjmie łaskawie, a jutro, jutro Hardymir twój będzie równin królem!

LUDGARD. Halele, Lele!

ŻELISŁAW. Teraz dopiero coś nakształt prawdy wyrzekłeś. Jednak w córze Krakusa nie spodziewaj się nigdy strachu, ni zwątpienia! — Duch ojca zawrócił z mogiły i wstąpił w jej ciało. — Jeszcze widzę pole, na którem mnie wielki król Polanów pokonał u bram Krakowa, kiedym chciał panem całej Lechii zostać, jako godziło się mnie, potomkowi nieśmiertelnych bogów. — Może ci się dzisiaj szczęśliwiej po-

wiedzie. — Lecz raz jeszcze pytam się ciebie: co poczniesz, jeśli odrzuci miłość twoją łukonośna Wanda?

HARDYMIR. Co pocznę, ojcze i panie mój? Ja? Pytasz mi się? Jeśli ona... Ojcze, ja nie wiem, ojcze!

ŻELISŁAW. Ale ja wiem. Natychmiast ruszysz do królowej na czele ludzi naszych, i, jeśli tak losy opatrzą, zginiesz za nią wraz z nimi wszystkimi — bo jej ojcu, ja, ojciec twój, przysiągłem na wieczny hołd i stateczną wierność. — Teraz podaj mi rękę i zaprowadź do świętego gaju! Tam zbiorę kapłanów i wyprawię ich do krakowskiego grodu. (*Odchodzi*).

LUDGARD. Hej! Bracia górale, czego klęczycie? Wstańcie! nie widzicież, że wódz wasz o zapoinach,[1] nie o bitwie duma? — Zejdźcie na łąkę, połóżcie się przy ruczaju! Dobra woda, chłodny wietrzyk, owsiane placki macie, jedzcie, pijcie od południa do wieczora, chyba w nocy zacznie się pochód wasz! Halele, Lele! Słuchaj, młodszy mój, tymczasem ja także się wybiorę i pójdę dziewosłębić ci do jaskini smoka. Patrz! z ruty już wianek plotę — rosą kwiatów namaszczę włosy — zwabię dwa krogulce z wyżyn powietrza i na barkach mi siądą. — Halele, Lele! Gwiazd osiem uszczknę na niebie i zaniosę Wandzie i powiem: — »Bierz, Hardymir ci je przysyła!« gwiazd osiem — czy słyszysz? Wtedy ona będzie twoją — raz, dwa, trzy, cztery... cha, cha, cha! nie prowadź ojca tak szparko! — pięć, sześć, siedem — a gdzie ósma? — Nie zdążę za wami — ósmej po-

[1] Zapoiny od (zapijać) — zaręczyny.

trzeba. Dostań jeszcze jednej z błękitów! — Halele, Lele! Halele! Wtedy będziesz królem moim — będziesz mężem Wandy! Wszak i ojciec mnie błogosławił, wszak i za mnie słał druhów do Krakowa.— Alboż ja Wandy mężem? A kochałem ją, kochałem.— Boże piorunu, zniszcz te góry! — Przekleństwo wam — wam — wam — wszystkim, wam i jeszcze wam, o, wam! (*Znika w dąbrowie).*

Jaskinia smoka. — Leszka mogiła i żyrowiec,[1] *palący się na niej; z obu stron przed mogiłą kamienne katedry dla wojewodów, pośrodku ich siedzenie Wandy — po ścianach jaskini rozwieszone skóry, łuki, strzały, miecze — kilka wydrążeń na lewo i w prawo, za któremi widać ciągnące się przejście, w skale wykute. Wanda, siedząca przed mogiłą. — Starzec.— Giermek, trzymający harfę. — Straż zbrojnych.*

---

[1] ‚Miejsce pogrzebu zwało się żelim, żeliwo, litoszów, żyrec, krobka. Ogień palono bez przerwy dni 10 na grobowcu i zwano go żarowice. Żony i mężowie obchodzili grób, wrzeszcząc, włosy i brodę ciskali w żyrowiec'.

[PLAN DALSZEGO CIĄGU CZĘŚCI DRUGIEJ].

DRUGA CZĘŚĆ.

1. Hardymir o wschodzie słońca w dąbrowie radzi się ojca Żelisława i kapłanów — kapłani obiatę bogom czynią — niczego się z lotu ptaków ni ofiar dowiedzieć nie mogą. — Hardymir szle wróżbitów, dziewosłębów do Wandy. —

2. Rytygier, przebrany za starca, przybywa do jaskini smoka, kędy Wanda wśród niewiast gotuje się do wojny. — Mogiła Leszka w głębi i przy niej granitowe kute stolice, wojewodów radne siedzenia. — Starzec mądrością i pieśniami ją zajmuje — o Rytygiera ona się pyta, cudzoziemca. — Wtem wchodzą wojewody — za nimi posły Hardymira z puharem ślubnym. — Wanda ich wysłuchiwa — każe im się oddalić — wojewodom, by zdania swe ogłosili. — Herdza, Barmin, Świętopełk radzą, by wzięła Hardymira za męża, lękając się buntu jego w takiej chwili. — Starzec, przyzwany do rady, jeden się sprzeciwia. — Wanda ich odprawia — sama się zostaje. — Jej niepewność, monolog — wtem wraca starzec — zdziera brodę, kołpak — to Rytygier. — Ona uderza o tarcz młotem — wpadają wojewody — każe im zasiąść i radzić. — Tymczasem, podczas ich sądu, Rytygier siada na przodzie jaskini i gra na harfie pieśń dumną, bohaterską Skandynawów. — Wstają wojewody — wyrok ich: by go strącić do ciemnic. — On dobywa miecza — Wanda mu grozi, że każe jaskinię płomieniem otoczyć — on się śmieje z groźby. — Wtedy ona nagle wspomina, że godzina miru nie upłynęła i puszcza go wolno. — Sama idzie do świątyni Wisły i na dziewicę bogini

się poświęca — powrót posłów do Hardymira z tem doniesieniem; on rozpacza, ale się nie buntuje — postanawia nie opuszczać królowej i z swoimi wyrusza na walkę.

Koniec drugiej części.

[PLAN CZĘŚCI TRZECIEJ].

TRZECIA CZĘŚĆ.

Chór starców od trzech dni już na wzgórzu, skąd widać bitwę. — Żelisław ślepy pośrodku obiatą zawiaduje. — Zrazu zioła rzuca bogom — potem, gdy Polanom się nieszczęścić zaczyna, bić każe kozły i czerwone jałówki — podczas ofiar chór wciąż opowiada ślepemu bitwę; — Kiedy Polanie przed Niemcami zaczynają ku wieczorowi ustępować — niewolnika, rycerza niemieckiego, przyprowadzonego do wzgórza, Żelisław bogom piekła i wojny zabijać każe. — Pod noc Wanda i Hardymir znikają z pola bitwy. — Niemcy i Hamder zwyciężyli.

— Dom Żelisława — siedzi Rytygier na jego stolicy, nad ogniem domowym i sądzi go. — Osądziwszy, zstępuje z stolicy. — Hamder na niej siada i jako król wyrok śmierci daje. — Żelisława na śmierć prowadzą. — Wpada Świętopełk wojewoda, prosząc za synem. — Hamder mu przebacza i daruje — zatrzymuje go przy sobie.

Koniec trzeciej części.

[1837 r.]

NOC LETNIA.

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Malczewski — Marya.

O, patrzcie na mnie, współziemianie, obywatele jednej ojczyzny, na mnie, idącą po ostatniej drodze — na mnie, ostatni raz patrzącą na światło Heliosa![1] — Drugi raz nigdy go już nie obaczę. — Śmierć, która w kolebce swojej wszystko usypia, wiedzie mnie żywą ku brzegom Acherontu[2] — mnie żywą, mnie niepoślubioną, mnie, o której uszy nie odbiło się nigdy weselne pienie zaręczyn. — Acheron jeden tylko woła mnie do ślubu!

Sofokles[3] — Antygona.

---

[1] Helios — bóg słońca.

[2] Acheron — rzeka w podziemiu, meton. świat, bóg podziemny.

[3] Sofokles — jeden z największych tragików greckich (ur. 496, um. 406).

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
Za to samotne lub w walce z innemi,
Że się natchnęło w myśli święte — wieszcze —
Za to potwarzą ścigane dokoła,
Że nad sąd ludzi i praw ich zawiłość
Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
Nienawiść podłych — lub miłość anioła!
— Jeśli to serce, co wiele kochało,
Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
Dziś nakształt głazu ścierpło i zlodniało,
Lecz wrzkomo tylko — na zewnątrz — bo skrycie
Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie
I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
Skry, spadłej z niebios, co wre w jego głębi!
— Jeśli to serce w samotnej żałobie,
Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie —
Na świat spogląda — nie mściwie — nie hardo —
Lecz z przebaczenia anielską pogardą!
— Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane,
Serce niewieście i prześladowane,
Gdziekolwiek jesteś, z blizka czy z daleka,
O serce dumne, o serce stroskane,
Weź to, co przyjąć możesz od człowieka,

Weź pieśń — po pieśni poznasz we mnie brata —
Ta pieśń z innego — tak, jak i ty — świata!

Za to, żeś, siostro,[1] w fałsz nie uwierzyła,
W bożyszcze złota i w marę próżności,
Gdy świat ten zstąpił do grobu podłości,
Za to, żeś z światem w grób ten nie zstąpiła
O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
W świętem współczuciu i w świętej miłości
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam tobie!...

Varenna[2], 1840, 15 sierpnia.

---

[1] »Siostrą« jest Joanna z Morzkowskich Bobrowa Piotrowicka, której ten utwór poeta poświęcił.

[2] Varenna — w. na wschodnim brzegu jeziora Komo.

I.

Widziałem, kiedy ją wiedli — w białych szatach z wieńcem na głowie szła w przerażeniu. — Kościół stał, jako ciemny cmętarz, przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci, za aniołków przebrane, potrząsały kwiatami. — Sam biskup i powierne kapłany wesołym patrzali wzrokiem, w sutych dalmatykach.[1] — Lud się cisnął, zazdroszcząc i chwaląc i życząc. — Ona jedna tylko milczała, z spuszczonemi oczyma, oparta na ręku służebnic.

*

I w jej kibici coś znękanego, bezsilnego było. — I w jej zrzenicach niejasno przebijał promień duszy.— I z jej ust, nieco rozchylonych, trudno się domyśleć, wyjdzieli modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic, podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyże tylko kryśliła w powietrzu — przed obrazem Bogarodzicy, skłoniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz

---

[1] Dalmatyka — 1) szata biskupia, noszona pod ornatem 2) szata zwierzchnia dyakonów i subdyakonów.

sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

*

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słuszne miał prawo do pychy, bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była jak najmilsza gwiazda nad jego zstępującą drogą, dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobijającej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: »Patrzcie, jak niewinna drży w niewiadomości szczęścia swego!« — I sięgnął wzrokiem tak, jak kościół długi, by ujrzeć, ażali nie przybywa pan młody — siwe brwi zmarszczył, nie dostrzegłszy go nigdzie.

*

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z głazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara na przemiany precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu twardsza nadzieja i żądze przezwane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a nimi stanęła opoka doświadczenia — siedzą

na niewzruszonej, a strumienie życia, morza fal grających pędzą tymczasem i mijają w dole!

*

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustanne z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydzą piany i w nieskończoność garnie się rozbicie. — Lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala, co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i pokoju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed nimi. — Hą! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokręgiem płynie!

*

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drużyną pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozgina się na prawo i lewo, nizkiem witając go czołem — ledwo raczył niektórym się odkłonić i, dzwoniąc o marmury posuwistymi kroki, stanął przy narzeczonej, klęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać. — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec, hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem biskup i zwolna zapalono

gromnice na ołtarzu.—Wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie. — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po widzach.

*

O szyby różnobarwnych okien rozpłonił się promień zachodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę, że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu—lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka, stojącego samotnie w przybocznej kaplicy — przy nim leży na pomniku posąg rycerza.— On, jak drugi posąg, niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kędy biskup przemawia do oblubienicy. — Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zaczaił — jednak, kiedy chwilowa łuna, co zgasła już teraz, przepływała po niej, każdy, co k niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy ni westchnienia nie usłyszał ni jęku. — Wargi ściśnione i boleść, kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

*

Lecz kiedy świętym obrzędom stało się zadość, kiedy pan młody podniósł żonę, a ona padła w ojca objęcia i ojciec ją niósł ku bramom kościoła i tysiąc gromnic szło za nimi i stopniami upływała ciżba

i kroków odgłosy wolniały, oddalając się—i wreszcie pustkami stanął przybytek — śpiący tylko umarli w nim zostali i kilku żywych umarłych krzątało się po jego głębiach, zakonników kilku — wyszedł ów człowiek z kaplicy i, rozchełznany, szybki, uderzył piersią o stopnie ołtarza, zerwał się i padł na nowo, aż wreszcie siadł, lampą, pozostałą nad krzyżem srebrnym, blado oświecony — nie ku obrazom świętych zwrócone jego oblicza, ale ku bramie, którędy wyszli oni wszyscy. — Tam błękitu nocnego kawał i jedna gwiazda miga. — On w nią patrzy i sztylet z pod płaszcza wyciąga — i, patrząc w gwiazdę, z pochwy klingę bierze — i, patrząc w gwiazdę, ostrzy ją na zgrzytającym kamieniu.

*

Tak w śnie magnetycznym, z odkrytą zrzenicą, nic nie widząc, nic nie słysząc, chorzy stąpają śmiało w księżyca promieniach — potęga, której nie czują, stała się nimi — ona im ręce zbroczy krwią nieprzyjaciół, ona ich odejmie brzegom przepaści. — Namiętność w słońca promieniach czerpa żary swoje, lecz równie pewno niesie, równie dziko pędzi!

*

I do onego człowieka zbliżył się mnich, przyklękając przed wielkim ołtarzem, potem rzekł: »Ktokolwiek jesteś, bracie, idź na spoczynek i nie mieszaj pokoju Pańskiego!« Ale on mu nic nie odpowiedział. — Za-

tem szedł drugi i rzekł: »Precz z kościoła, bo świętokradzcą jesteś!« Ale on mu nic nie odpowiedział — aż trzeci przed nim stanął i zawołał: »Wyklinam ciebie i to żelazo, któregoś u stóp krzyża śmiał dobyć.« — A wtedy wstał winowajca i odparł: »Na te słowa czekałem, by cios stał się niechybny a rana śmiertelną« — i wyszedł powoli—powoli, jakby liczył kroki własne, wiedząc, że ostatnie na ziemi.

*

Tymczasem rozwiodła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy, co ją widział, uczuł w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczucie. — Jej cienie owionęły pola i gaje — jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów, w błękicie ukrytych, płonące zrzenice. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwdzięcza się im wstydliwie za złote spojrzenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna obojgu szczęśliwym. — Czegóż im więcej można życzyć na ziemi? — On wzięty u króla, pan wielu służebnych — ona, śliczniejsza od aniołów, wniosła w dom męża ziemie obszerne posagiem.—Matki nie znaleźć, któraby jej nie zazdrościła — młodzieńca, któryby mu nie złorzeczył, a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczęta, jak kwiaty, wyrosną mu na ścieżce przed grobem!

*

Sute też na zamku wyprawił wesele — nie wielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko nad całą krainą beczki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno, jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach sto harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańcujących szum wzbija się i leci—porwane koła kręcą się, plątają, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiewa, łza, co z trudów życia wywydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni, co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć! — Wyszedł na przysionki i z ganku sypnął ludowi pełne misy srebra — wrócił i dyamenty przyszpila napotkanym dziewojom do łona. — Giermki, co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu na przemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handżary — on na pamiątkę dnia tego nimi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazyą odwilży — potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim.

*

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś stropami złotymi, gzympsami z marmuru wiły się sklepienia — i na nich herby ojców jaśniały, nieskażone, święte. — Stanął u wejścia i pojrzał, szukając dziecka swego —

ale jej nie ujrzał wśród krążących par, ni odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pląsał od jednych pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinął na zgraję — rozstąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały w framugach siedzenia, lamowemi[1] zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się odrazu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczonemi ku wiązce róż, leżącej na kolanie, i odrywała ich listki, marząc o czem innem — wreszcie same ciernie w ręku jej się zostały.

*

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie, że łagodnym rzekł głosem: »Biedna matka twoja jakżeby dziś szczęśliwą była! — Zaco Bóg nie dozwolił jej tego dnia doczekać?« — Drżąc, podniosła głowę, drżąc, ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomieszaniu przypiąć je chciała do sukni—przyczepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadraśniętych świeże. —»Czemu płaczesz— zapytał starzec — jedynaczko moja? — Wspomnienie matki nie mogło do tyla cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy— w dniu twego na świat przyjścia ona

[1] Lamowe makaty. — Lama (z arab.) — tkanina jedwabna, przetykana złotem.

odeszła do ojców. — Ach! tyś się skaleczyła, córko!« — I wziął jej dłonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: »O! nie to mnie boli, ojcze« — potem zaraz dodała: »Owszem to, nie co innego, ojcze!« — i zamilkła — łzy jedne po drugich spadały z jej lica. — On oparł się na jej ramieniu: »Widzisz, jaki stary jestem — drżą podemną kolana — prowadź mnie!« — I szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Naokoło nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

*

W tej chwili odezwał się zegar, przybity do górnego gzympsu — nad nim kuty ze spiżu siedział jedynowładzca wielu królestw dawnych—za każdem uderzeniem wychodził ze ściany posąg jednego wojewody i szedł się kłaniać umarłemu panu, potem znikał, roztwierającym się pochłonięty murem. — Przeszło ich dwunastu. — Wtedy z odległych komnat zamku wzniósł się chór niewieścich głosów, zrazu jak szum błędny i nierozgarniony, ale coraz wyraźniejszy, z dalszych sklepień przesuwający się pod bliższe, wołający na oblubienicę. — Ojciec sam wzdrygnął się w tej chwili, blednącą córkę porwał w objęcia i uchodził z przejścia w przejście, z izby do izby, z ganku na ganek, wszędzie swatek ścigany chórem, wszędzie chcąc przemówić, a nie mogąc słowa wypowiedzieć — i wszędzie naokoło woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

*

Wreszcie stanął w kaplicy zamkowej, kędy jego naddziady w kamiennych spoczywają trumnach. — Gromnic kilka nad niemi się pali i zewsząd czarne spływają obicia, bramowane srebrem. — Ona z rąk starca przypadkiem na grób ostatni, najmłodszy, na grób własnej matki się stoczyła i siedzi, milczy, truchleje. — On rzekł do niej: »Bóg nie raczył po mieczu przeciągnąć mi rodu, kądziel tylko pobłogosławił w domu moim — lecz ten, który cię pojął, przysiągł imię nasze przybrać i dzieci twoje zwać się będą, jak ojcowie moi. — Szanuj szczęście, którem Opatrzność cię uwieńczyła — pani równej tobie, pani tylu włości i skarbów, niema w całej ziemi naszej — pamiętaj więc być mężowi do śmierci posłuszną i wierną!«

Te słowa mówił głuchym głosem. — Zdawało się, że każdem z nich probuje serce milczącej — lecz kiedy nic nie odpowiadała, kiedy tylko coraz niżej spuszczała skronie i w końcu jej czoło utonęło w jej dłoniach i wieniec ślubny zśliznął się z włosów, on z jękiem zawołał: »Czy słyszysz? Nadchodzą cię oderwać od łona, na którem wzrosłaś. — Pożegnaj mnie, mówiąc, żeś szczęśliwa!« — Lecz ona, cisnąc jeszcze mocniej ręce i kryjąc oczy, milczała. — »Dziecię, ty chcesz, bym się położył obok tych umarłych i nie wstał więcej? Dotąd w spojrzeniu ócz twoich błękitnych był mój spoczynek po burzach tylu — jedyną perłę moją oddałem w cudze ręce, bom chciał, by nieznanym zajaśniała blaskiem. — Co się dzieje tobie,

dziecię? Przemów do mnie słowo jedno — raz jeden się odezwij, choćbyś miała się skarżyć lub wyrzec, żeś nieszczęśliwa!«

*

I z przerwanym oddechem oburącz wsparł się na grobowym marmurze, czekając odpowiedzi. — Do połowy nóż tkwi mu już w sercu — jeden jęk, jedna łza, jedno jej wzdrygnienie może teraz to serce rozerwać. — Ona, wzniósłszy oczy, zdała się śledzić wyrazu litości na ojcowskiem licu i zdała się przez chwilę wierzyć, iż jeszcze nie wszelka zniknęła otucha. — Zsunąwszy się, klęka na głazach, modli się słówmi i całą postawą do niego. — Dreszcz gwałtowny odrzucił starca od pomnika żony. — »Co za imię wyrzekłaś? — Nie powtarzaj go! — Możem nie słyszał dobrze — milcz — milcz! Nie — ty nie mogłaś myśleć o wygnanym niewdzięczniku, co teraz z wrogami na mnie spiski knuje za to, żem mu świetne losy gotował w przyszłości, za to, że był synem brata mojego! — A jeśli go żałujesz, jeśli kiedy miałaś nędzną nadzieję, że ci pozwolę buntownika widzieć lub rękę mu twoją oddać, ach! wraz z nim i ty bądź przeklęta!«

*

Podniosła się dziewica. — Ona dotąd cierpiała w milczeniu, jak smętna ofiara, niesiona na mściwych bogów ołtarze — teraz odparła zimno i stanowczo: »Kochałam go, ojcze«. — Starzec nie dotrzymał tym

cichym, śmiertelnym wyrazom. — Zakręciło mu się w głowie i zniszczony, jak wszystkie nadzieje, którym ufał, padł u stóp grobowca. — Przez chwilę duch jego wraz z duchami przodków spoczął w nicości — a kiedy się przebudził, ujrzał nad sobą twarz bladą córki i uczuł jej uściski, wołające go nazad do życia, i usłyszał zarazem tuż nad sobą brzmiące ślubnej pieśni zwrotki — próg kaplicy przechodziły szukające niewiasty i szły, śpiewając, i zwolna, śpiewając, otaczały oblubienicę śnieżnem kołem. — Za każdem słowem zbliżają się bardziej — ona chowa się pod ramiona jego.

*

Wreszcie objęły ją, porwały i wloką, sypiąc kwiaty na podłogę, paląc kadzidła i nowym hymnem głosząc wschód jej nowego życia. — Starzec stąpa za chórem z daleka—leniwo — i gdzie rozmijały się drogi, gdzie ją swatki unieść miały do ślubnej komnaty, stanął i nad zemdlałą znak błogosławieństwa ostatni raz kreśli — potem został sam jeden i ku salom godowym zmierzać zaczyna — stopniami odzyskuje przytomność, wolą duszy prawdę, jakby sen zwodliwy, rozgania, a rozkazując jej nie być, uwierzył może, iż nie było jej nigdy. — Kiedy wchodził między biesiadujących, znów władał sobą i spokojna powaga leżała mu na twarzy.

*

Pan młody przemawiał do przyjaciół: »Wy, z którymi dni tyle przebyłem w obozach i na łowach, słuchajcie, drodzy, wam jeszcze i tę noc poświęcę! — Ślubuję nie spojrzeć na żonę moją, aż wejdzie pierwszy promień świtu. — Jak tam na niebie?« Do okna skoczył jeden z towarzyszy i krzyknął: »Księżyc dopiero w samym środku nieba.« — »A więc do was jeszcze i z wami« zawołał młodzieniec i wychylił czarę i rzucił, oprawną złotem, sadzoną dyamentami, przez stół najbliższemu. — Ciężka dłoń starca w tej chwili na jego spoczęła ramieniu — obejrzał się i, chwytając za drugi puhar: »Zdrowie twoje, ojcze — rzekł — i wy wszyscy spełnijcie je ze mną!« Ale pan zamku nie podziękował, jedno wskazał zięciowi otwarte podwoje i dalekie zakręty, którymi szły niewieście postaci, wracające w milczeniu i ginące w cieniach. — Młodzieniec odparł, potrząsając płowych pukle włosów: »Patrz na tych wesołych i mężnych, co mi po dziś dzień służyli tak wiernie — przysięgą związałem się z nimi — do jutrzenki razem pić będziem i śpiewać! — Tę noc najpierwszą, najmilszą poświęciłem im«.— To mówiąc, porwał za dłonie obok stojących i krzyknął: »Za to podły buntowników motłoch ścigać będziecie w tych górach, póki mi rozkazów a wam ducha stanie«.— Wszyscy odkrzyknęli chórem: »Niech żyje książę nasz!» — Zrazu twarz starca pokryła się gniewu rumieńcem — ale te wyciągnięte ramiona, te dobyte do połowy miecze, ten zapał ich wszystkich myśli jego rozerwał — wspólna sprawa lepszą ich połowę zabrała. — Przyszłość i potęga, duma i nienawiść przesłoniły mu postać samotnej, płaczącej, opu-

szczonej — i sam dodał głosem, który niegdyś grzmiał pośród szczęku bitew: »Biada buntownikom!«

*

Dłużej jednak z gośćmi pozostać nie raczy — ponuro skinął na giermków. — Oni przed nim z pochodniami stają. — Młodzieniec na chwilę odbiegł swoich i teścia odprowadza aż do progów sali — teść go pożegnał zimnym wzrokiem wstrętu. On wraca i woła: »Przez dobry kindżał mój, nie cierpię przymusu! — Świeżąm pojął dziewoję, nie żadne kajdany. — Smutny księżyc niechaj starym pannom zmarszczki srebrem krasi—mnie rumiane słońce wyda piękną żonę moją!« — I nożem greckim rzucił w złoty gwóźdź przeciwległej ściany — trzydzieści nożów dobyli z pochew towarzysze — żaden celu nie utkwił tak blizko — zatem, nalawszy pełne czary, piją chwałę wodza. — On stał się piękny krasą próżności na licach — ręką rozwiewa i głaszcze sobie włosy — żartami ściga towarzyszy, dowcipnie, ostro brzęcząc i kłując, jak osa. — Oni mu odpowiadają szumem poklasków. — W takowych chwilach, duszą na zewnątrz podany, zwykł on wdzięcznie się ślizgać po samej życia powierzchni — krew mu się z serca przenosi do twarzy — tam ona łudzi rumieńcem — rysy grają — oko płonie; lecz w sercu pusto, jak u zalotnicy.

II.

W pieśniach waszych, ludzie prości, zapamiętana dolina, w której raz ostatni wódz przemawiał do braci.— Ojcowie ją wasi odtąd nazywali »jarem pożegnania«— i dzieci wasze ją tak zwać będą, jeśli pieśń przetrwa jeszcze jedno pokolenie—jeśli mowa wasza nie zgaśnie wraz z wami.

Wśród trzech wzgórzów łagodnej pochyłości, których stopy kąpają się w tym samym strumieniu, a czoła odeszły od siebie, powiewając gęstymi krzewy, stanął w miesięcznych promieniach człowiek, co przed godziną wyniósł klątwę z domu bożego. — Wokoło na piętrach zieloności leżały rozciągnione lub jeżyły się w dół nachylone postaci, czarne od stóp do gardła, blade na twarzach, migającą tu i ówdzie uiskrzone bronią. — Znać czekali nań ci wszyscy, bo, jak tylko się ukazał, leżący powstają, stojący schodzą niżej ku brzegom ruczaju, a z każdego wzgórza podnosi się sztandar i pływać zaczyna w powietrzu. — Lecz żaden okrzyk się nie rozległ. — On sam dopiero, kiedy usiadł na głazie, obalonym w poprzek strumienia, i głowę schylił i dłoń opuścił między cieknące fale, on pierwszy przerwał milczenie. — Głos jego szedł za szmerem wody, jak śpiew za wtórującą struną, a każde słowo, choć ciche, padało wyraźne na serca przytomnych.

*

»Na czas tylko byłem wodzem waszym. — Zapomnijcie o mnie, ale strzeżcie słów ostatnich, które powiem do was — w nich prawda, stara, jak te skały, jak te gwiazdy, święta!

»Od tysiąców lat ojcowie nasi posiedli tę ziemię — nie słychać, by kogo z niej wygnali lub ujarzmili na niej. — Jak kłosy niw, jak sosny borów, tak oni byli jej synami — a pod cień ich szabel postronne garnęły się ludy, bo czego ucho nie słyszało, oko nie dowidzi, ale dusza mężnych kocha, wolność była ich udziałem.

»Nadciągnął król południowy z służalców tłumami.— Zrazu zdradne sypnął uszom słowa, bardziej zdradzieckie sypiąc oczom skarby. — Różny od nas wiarą i mową, co Bóg rozdzielił, on to zespolić chciał—a gdy nie poszło mu po myśli, teraz nituje nas z sobą ogniem i żelazem!—Hańba miastom i panom dolin— w jaskinie gór, w jamy puszcz schronić się nie śmieli, poddali się najezdnikowi — lecz wyście do nich zeszli, jak do grobu. — Za to przyjdzie zmartwychwstanie na was!

»I już sam wróżbę lepszej przyszłości widziałem. — Jedenże od dwóch lat gród królewski spłonął?—Gdzie ciężkozbrojne najemniki, co nas zdeptać mieli? Wszak nad ich trupami słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienia sępów i wilki noc całą skowyczały z radości! — Lecz, by odzyskać ojców puściznę, długo wam trzeba jeszcze krwią ciała pracować!

»Teraz właśnie, gdyście z pokątnych tułaczy na groźne męże wyrośli, łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich,

złote góry — ich dary marne garści błota! — Wznieście oczy — dość miejsca dla dusz waszych po tych błękitach zostało — nie żałujcie więc szarej ziemi, gdy przyjdzie w boju umierać! — Lecz kto broń złoży, temu niechaj na zawsze twarz Boga czarną będzie z tamtej strony grobu!

»Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem! — Anioł stróż wasz mieszka w tych górach. — Dopiero później przyjdzie pora łupów. Słuchajcie onych siedmiu, którzy mnie wodzem postawili nad waszymi młodzieńcy! — Znękane siwym trudem ich prawice, ale rozum w nich króluje nad ciała gruzami. — Kiedy was zwołają, zbierzcie się co do jednego — kogo wam obiorą hetmanem, za tym idźcie w nieustraszonem milczeniu — i zwyciężajcie, jakoście zwyciężali ze mną! — Mnie inna dola porywa. — Jutro moje już nie na tej ziemi. — Bracia, ja żegnam was na wieki!«

*

Umilkł i zerwał się, widząc, że księżyc już wysoko stoi. — Oni schodzą ku niemu, a wiją się chyżo, a ślizgają się cicho i zewsząd go czarnem obwiązują kołem — potem, podszedłszy, bliżej staną i wołają: »Gdzie idziesz, wodzu nasz?« — On rękę wyciągnął ku łunie, co za wzgórzami blado płonęła. — »Stój! — To ogień wesela z zamku przodków twoich, odbity na niebie! — My cię nie puścim do tych, którzy cię niecierpią, do tej, która cię zdradziła!« — Na te słowa on skoczył z głazu, krzyk jego przebił piersi wszyst-

kich przytomnych: »Kłamcy, ona mnie nie zdradziła, bo dziś jeszcze spać przy mnie będzie—spać będzie na wieki! Poświęciłem wam dom i dostatki ojców, życie i szczęście z nią — ale śmierć z nią sobiem zachował. — Nadeszła ta chwila moja — puszczajcie mnie!«— I przechodził wśród nich, pióra jego czapki wiatr niósł nazad, pukle ciemnych włosów i zwoje płaszcza nazad, ale on szedł naprzód i gdzie skinął dłonią, tam stawało się pusto. — Pomieszane wrzaski się wzniosły — jedni uklękli—drudzy pobiegli i znów w oddali murem przed nim stają — a wszyscy proszą, by się zatrzymał, obiecują porwać oblubienicę, świadcząc się Bogiem, że, choć w zamku dobór rycerskiego ludu, oni go zdobędą przed świtem. — On się zatrzymał — ucichli — głos jego się rozległ, wdzięczny, jak za dni dobrych, lecz stanowczy, jak na polu bitwy: »Dzięki wam, bracia, ale starca śpiącego w komnatach przodków moich nie przebudzi szczęk szabel waszych. — Wzrosłem pod cieniem jego ręki. — On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny — on pierwszy serce moje zapoznał z chucią bitew. — Nim zatkniecie na jego zamku sztandary te czarne, święte, moje własne, wprzód mnie umrzeć trzeba! — Taki los mój — raz jeszcze: bądźcie mi zdrowi!« — I odszedł kilka kroków i dodał, jakby już nie do drugich się odzywał, ale sam do siebie: »Co ksiądz zwiąże, tego człowiek nie rozwiąże — chyba przeciąć musi!« — I mimowolnie wzniósł sztylet w górę — klinga kąpała się w miesięcznych promieniach, jak nowonarodzony meteor, świetlana i czysta.

*

Oni patrzyli za nim, potem szli za nim w milczeniu, opodal, z spuszczonemi głowy, bo wiedzieli, że co on raz wyrzekł, to bez chyby się stanie. — Oddawna krążyły przepowiednie, rokujące mu zgubę. — On sam nieraz, ściskając dłonie towarzyszy, mówił, że niedaleki dzień rozstania. — A nie od miecza wrogów w pobliżu, ni od ich pocisku w oddali poledz miał, ani też zgasnąć z niemocy na chorobnej pościeli. — Inną mu śmierć sny własne i cudze czary zwiastowały! Pogrzebnie więc stąpali za nim spiskowi. — On im już wydawał się duchem! — Lecz kiedy zaczął wstępować na wzgórze, kiedy pióra jego czapki, z nad krzewów i skał powiewając, sunęły tu i ówdzie, przepadały i, znów bielejąc, coraz wznosiły się wyżej, rzucili się w pogoń. — Tak on i oni, piętrami murawy przegrodzeni, ku temu samemu wierzchołkowi się darli. — On pierwszy go dopadł. — Stąd widna jeszcze lepiej łuna i zamku wieżyce, a tuż pod nogami przepaść, grzmiąca hukiem wód śniadych, i pień sosnowy, rzucony mostem ze wzgórza na wzgórze. — Nim zdołał nań wstąpić, znów go otoczyli. — Rzucił się, odepchnął najbliższych i dwoma skokami po chwiejącem się drzewie dorwał się przeciwnego wzgórza. — Spadł lekko, pochylił się gibko i z olbrzyma siłą wyrywa pień z pod głazów, co go trzymają — wstrząsł go i puścił — pień, jak wahadło, zniża się, przebiega przestrzeń i zawisa, ciężko tłukąc w skały, u tamtego brzegu. — Zdało się im, że błyskawica oczy im zaćmiła — przeszła teraz, lecz zapóźno — darmo krzyczą i wyciągają ręce — już on się od nich tym jarem przedzielił na zawsze. — Raz ostatni czoło jego,

oświecone miesiącem, widne w całej życia piękności. — Zdało się, że chce pobłogosławić ludowi swojemu, bo, trzymając zawieszone nad przepaścią dłonie: »W imię Boga — krzyknął — wieczny bój między wami a południowym królem!« Naokół dziesięć opok ten głos powtórzyło i głąb jaru powtórzył go także — w tej chwili sam wódz zniknął wśród krzewów. — Spiskowi przysłuchują się jeszcze—ale prócz szumu fal już nikt nie mówi do nich.

*

Nieszczęśliwy, teraz dopiero w oczach twoich błysła iskra szału! — Walczyłeś z nią, dopókiś był pod jarzmem spojrzeń bratnich, nie chcąc im po sobie zostawić słabości wspomnienia — lecz jak tylko stało ci się wolno i samotnie, zrzuciłeś powagę, jak płaszcz na ciernie drogi.—Lecisz, gnany zemstą — zawieszasz się na urwiskach — sadzisz przez rozłomy. — Przelękła sowa z krzaków się podnosi, plaśnie skrzydłami i dalej zapada — lis, czatujący w świetle księżyca, milczkiem sunie w ciemniejsze gęstwiny — wilki stanęły z obu stron wąwozu. — Jak strzała, przeleciałeś, nie słysząc ich skowyczeń — one przed blaskiem ócz twoich przypadły do ziemi. — Ty już stajesz na równinie. — Ognik przyleciał z przyległych trzęsawisk — zaśmiałeś się dziko: »Na wyścigi ze mną, przyjacielu!« — On obwinął się naokoło czapki twojej i strugą sinego światła oblał ci piersi.— Oba, równej lekkości i równie znikomi, w uścisku bratnim chwilę pędziliście razem. — Lecz on pierwszy zgasł — ty

znów cały czarny, przez łąki gonisz i zbliżasz się do zamku naddziadów.

*

A zamek na wzgórzu jaśnieje setnymi ogniami. — Ogrody, schodzące ku równinie, leżą tak przejrzysto, tak cicho, tak sennie, że zdają się marzyć o szczęściu oblubienicy — nad nimi płynie odgłos weselnej muzyki. — Lotna stopa wodza przylgnęła do murawy.— Zdało mu się, że usłyszał śpiewu początek — jego oddalone zwrotki były raczej snem, niż jawem — ale w tej mgle dźwięków uchwycił wyraz głosów niewieścich, przypomniał sobie zwyczaj dnia ślubnego, podany od przodków — i lekszy jeszcze, niż przedtem, rzucił się ku ogrodom — oburącz wgryzł się paznokciami w szczeliny murów — poderwał się — zawisł — stopami na mchu się oparł — rękoma dorwał się bluszczów—i podbił się znów w górę i mur przesadził.— Głucho zaszeleściały przyduszone trawy. — On z potrojoną siłą powstał, dotknąwszy się ziemi, i na znajome puszcza się manowce.

*

Dęby, klony, modrzewie, wielkiego boru ostatki, suną czarnymi rzędami. — Tu i ówdzie poziome gąszcze, winnice, łąki i pieśń słowika i ruczajów szmery—dalej wierzby płaczące i w dole cisza wód błękitnych, podbita gwiazdami. — On wiek młodociany przeigrał pod temi drzewami, przepływał na tych wo-

dach. — Lecz go nie zatrzymają teraz przeszłości wspomnienia — tylko w gaju rozkwitłych jaśminów, u stóp góry zamkowej jęknął, przelatując koło głazu starożytnego. — Tu, wśród nocy, podobnych dzisiejszej, wymykając się strażom, objawiała się wygnanemu bratu dziewica — tu w jej oczach płonęła obietnica święta i pokój dotrzymań leżał na jej czole. — On goni dalej, a twarz odwraca za siwym kamieniem,

*

Wśród fontann i pomarańczowych drzew kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżyca. — On, równie pewny swego czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wyłomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krużgankiem. — Tu pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. — Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał, że od nich grzmią ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rząd okien, od księżyca tylko roziskrzonych, lecz w końcu krużganka, tam, gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarte promień lampy się wymyka — i niby jęk czasem stamtąd się odzywa, ale taki nieujęty, gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można, niż słuchem. — On go schwycił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł, prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł, opie-

rając się o filary i poręcze, wszystkiem ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi, kiedy już widział zasłonę, co z nad nich się wyrywając, śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczuł, że za tą cienką oponą śmierć i życie, powiązawszy dłonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada. — Palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je — ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyb drzwi gotyckich. — Dziwna, że nie pękło czoło!

*

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami. — To obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błyśnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniki, łańcuchy, manele[1] rozrzucone mignęły — przejrzał teraz - nic już nie drży, nic się nie krzyżuje. — Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi oblubienica, sama jedna.—Znać chór swatek, odchodząc, poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi, na kobiercu złożone, pod liściami róż toną. — Czasem westchnie, jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bolach — czują je tylko — sami stali się bolem. Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fi-

[1] Manele — branzolety.

jałki, mirty i lilie spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdem westchnieniem łzy płyną zwolna po jej białem licu. —

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję, jak łania, obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka — płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekła w głąb komnaty, czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzycząc: »Ty!« — Na więcej sił jej nie stało — w tem jednem słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej postawie została. — Nic już nie słychać — przepadły gdzieś kroki i głosy, co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała, stanął przed nią i poderwał ją z ziemi, lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: »Jestem!«

*

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła. »Wiedziałam, wiedziałam, że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz tyś może mnie przeklął w sercu? — Wiem — ach, słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiedli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma — kiedym klękła przed ołtarzem, szukałam cię myślą naokoło, bo oczy nie służyły, łzami na dół ciągnione — na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy winszowali, słuchałam, czy twój głos ponad inne nie zagrzmi — i teraz

jeszcze, kiedy każda chwila niosła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się.—Daj rękę, zbawiona jestem!« I uginając się, jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu.

*

Kto widział we śnie duszę, wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzy? Wódz dotąd szedł, myśląc, że spotka się z niewierną — teraz, gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i o śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje. — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednem jej skrzydłem miłość, drugiem będzie chwała. — Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co, pewna ratunku, co, zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się, malowane chmury wyobraźni! — Piękne jesteście, bo was słońce życia ozłaca zachodem.

W gorączce, w omamieniu zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: »Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór przed ślubem? — Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!«

*

»— Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało teraźniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgłam, że lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój Bogiem moim[1] — dotrzymam! Lecz wprzódy trzeba mi było pożegnać się z ojcem — nie przerywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia!— Ach, ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz, jak twardym głosem rozkazować umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał z piersi sędziwej, piorun przekleństwa łzami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecię, że go strąca do grobu. — Książę, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: »Oto będą twoi!« — Ojciec ukląkł przedemną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania, wyciągająca ręce do mnie. Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła—wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, obojętnemu, ach, niecierpianemu, bo u mnie niecierpiany każdy, kto twoich oczu nie ma, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodu naszego budowę. — Teraz odejść mogę — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wieszli,

[1] »Lud twój ludem moim, Bóg twój Bogiem moim«. Księga Rut 1, 16.

jak się dzisiaj zowie?« — Młodzieniec, zaokrąglając ramiona koło jej kibici i patrząc w stronę krużganku: »Jak? Mów, jak?« zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: »Nie wątp, że śmiercią! — Dopókim na ziemi, dopótym żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów. — Lecz ścieżka doń niedługa, patrz, takiej samej dłuży, co żelazo twoje!«

*

To słowo »żona« spadło z jej ust, jak kamień, na serce wodza i przebudziło go w śnie ostatnim, marzonym na ziemi. — Choć on ją mieczem przegrodzi od pogoni ojca i męża, on jej nie zasłoni od klątwy Kościoła, bo, co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże. — Ach, zimno i słabo stało się w duszy wodza. — Ta jedna chwila szczęścia, co już przeszła, teraz siłę mu wszystką odjęła.—Drży z bojaźni, jakby teraz dopiero ujrzał długą rękę śmierci, przytkniętą do serca kochanej. — Nie — on sztyletu na nią podnieść nie zdoła! — Jutro — pojutrze — on legnie w pierwszym lepszym boju — a ona niech żyje — najpiękniejsza postać wśród ziemskich niechaj zostanie na ziemi! — Jęknął i porywa się z miejsca — ściany łamią się przed jego wzrokiem i plączą — on ucieka, lecz siostra doleci go u progu: »Co zamyślasz? Gdzie gonisz, niewierny? Albożeś nie przyszedł mnie wyzwolić? Jedno wykraść i zhańbić mnie chciałeś?«

*

»O, nie zdradzaj — o, nie opuszczaj! — Za chwilę cudzoziemiec tu przyjdzie i skazi tchnieniem nieskażoną twoją — a jeśli objęciom wroga tu mnie sam wydasz, wieszli, jaka przyszłość? — On mnie zapędzi na dwór królewski, pomiędzy obce twarze i ułudy i pychy, by chlubić się z mojej urody, by pokazać panu swemu, że zerwał kwiat starożytnego szczepu! — A pan młody co pocznie? a sługa jego, mąż mój, co uczyni? — Patrz na starych! — Oni złorzeczą temu, co ubóstwiali za młodu, drogo cenią, czem gardzili niegdyś. — Kto ich przetworzył? — Czas, uczuć morderca, czas, róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodnik. — Może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja.—Będę sama — sama jedna. — Ty daleko, po skałach, w jaskiniach — zewnątrz wszędzie ponęta, nuda tylko w sercu mojem — i gdy ty się tułasz, rycerze królewscy może będą powtarzać imię moje przy puharach wina — może ich śmiechy kiedy dolecą twojego ucha i przeklniesz siebie, żeś mnie nie zabił. — Pchnij mnie w serce — wyrwij mnie potworowi!« — I w obłąkaniu wyciągnęła ręce, jakby straszne widmo odepchnąć chciała. »Patrz, na jego czole słowo »hańba« sadzone dyamenty[1] — w oczach piekło błyszczy, a miasto ramion dwie syczące żmije — one pełzną przez powietrze — dotknęły mnie, opasały, głowy zanurzyły mi w piersiach i z serca mego, jak z czary, krew moją

[1] ...słowo »hańba« s a d z o n e dyamenty (t. j. dyamentami) — ułożone z dyamentów.

czystą, krew moją świętą piją!« — Tu padła na kobierce, stopy mu oblewając łzami i długimi warkoczy.

*

Jak piórko ją podniósł. »Przez imię Bogarodzicy, nie dopełni się ziemskie przeznaczenie twoje. — Czysta wśród najczystszych, ty przeminiesz, jak płomień kadzideł«. — Tu znać pękło mu serce, bo rysy męskiego oblicza poszły w rozsypkę i skłonił głowę i do każdej łzy jej równie gorzką, równie niewstrzymaną przylał. — Lecz to był ostatni znak słabości czy wahania, walki czy żalu w nim. — Blada spokojność osiadła na jego twarzy — i przycisnął dziewicę do piersi. »Tym pocałunkiem skazuję cię na śmierć — kto pierwszy dotknął liców twoich, a imienia nie zdołał ci wraz z tchnieniem ust przelać, z tego ręki zginiesz! — Nie w innej myśli szedłem, siostro, do ciebie — ale, kiedym cię ujrzał, pokusa szczęścia mnie uwiodła. — Daruj!—Potem, gdym osłabł wśród marzeń, strach słabego ogarnął — przebacz mi!—Teraz pokusa i strach odeszły na zawsze—teraz módlmy się — bo razem stąd odleci[e]ć musiemy!«.

*

»— Nie! — ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu! — Ja w czyścu czekać będę na ciebie, cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z hełmu lub pierścień z kolczugi! — Grabarz spostrzeże się zrana i powie: Ktoś był tu

w nocy!—jeszcze ktoś pamięta o niej!«—I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przerwał żelaznym dłoni uściskiem: »Duszą własną duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!« — i dodał żałobniej: »Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. — Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wieszli, czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyciel?— O, idźmy stąd razem, siostro — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!«

*

Boskie uniesienie twarz jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słowmi, ni łzami już dziękować nie zdoła, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idzie ku ślubnym wezgłowiom, na jednem z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: — »Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!« — i, spuszczając oczy, wnet uklękła i modlić się zaczyna modłami umierających. — On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze. — Wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzekł: »Już świtać zaczyna«. — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów. — Ona zbladła. — »Oprzyj się na mojem ramieniu —

spojrzeć na świat chodź raz jeszcze ze mną!« Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużganku.

*

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowem kona — śniado błądzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wyziewy, niby płaszcze królewskie, niby dziewic zasłony, przetkane jutrzenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontann, wdzięczne kształty filarów, kwieciem umajone krzewy. — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gęsty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze w odbłyskach zorzy wolnych wierzchołki gór. Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały, a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z niemi — ona z schyloną głową ciśnie się k niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spojrzenia miłości. — Darmo świat, budząc się coraz żywiej, coraz im głośniej radził, by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał.

*

Wtem głosy rozhuzdane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może

już nie słyszy — potem sypnęły się na krużganek gęstych stóp hałasy i z ukosa błysnęły pochodnie. — »Boże — zawołał — wszak dasz braciom moim zwycięstwo!« — i uniósł zdrętwiałą w wnętrza ślubnej komnaty. — Po murach zamku odbite, wzorem piłek skaczą wiwaty podchmielonej zgrai. — Znać pan młody śpieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — »Czy widzisz — krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej — jaki piękny anioł mój!« — »Ach, piękny!« powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wzniósł śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużganku.

III.

W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnem ich łożu. — Ani raczył przysporzyć wygody sędziwemu ciału, szat nie zwlókł, sługi gniewnem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasał i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica wydrążona w ścianie, z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić, jak co dnia, pacierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj. Czasem tylko, oczy wzniósłszy, patrzy na przodków obrazy, niewzruszonemi zrzenicami patrzące na niego.

a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

*

Wiecieli, młodzieńcy, wy, syny światła, kusiciele burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby—ostatnie ich miłości na ziemi? — O, nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas, jak niewolnik, niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna — choć sto gwiazd zagaśnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — »Naprzód w nieskończoność!« oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje nad zrzenicą. — Oni modlą się do niej: »Tyś słodka i poczciwa — nie uciekasz, jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz, jak meteor ciepłych nocy letnich. — Po długiej drodze dopierośmy twoje dobre światło ujrzeli — o, bądź nam wierną, o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!« — Wtem prawda zstąpi w ich dziedzińce, przesunie się, jak wąż, ślizka, naga, wśród zamkowych murów i dojdzie progu i siądzie na trumnie, wyrok zawodu śpiewając — na głos jej ostatni promień odrywa się z niebios i »noc wieczna« staje się na imię światu.

*

Patrzcie! Z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca. — Czy słyszycie, jak łzy

córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? jak śmiech księcia, jej męża, brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownymi kroki. — Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową; on dumny dotąd, on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań, postanowień wplótł mu serce na koło męki.—Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

*

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoconych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonione, martwe wlepiło się w przeciwległą ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca, siedzącego wśród zgrai. — »Precz mi stąd, książę, przybyłe[1] z obcej ziemicy! — Przodki moje, powstańcie z grobów, otoczcie go rzędem! Czarny hetmanie[2], wytrąć mu puhar z dłoni! ty, kardynale rzymski[3], wymów nad nim klątwę rozwodu!« — I sły-

[1] Książę przybyłe — archaizm; w dawnym języku wyraz »książę« był rodz. nijakiego.

[2] Mikołaj Radziwiłł Czarny, wojewoda wileński i kanclerz w. lit., twórca potęgi domu Radziwiłłowskiego, hetmanem jednak nie był (ur. 1505 † 1575).

[3] Jerzy Radziwiłł, biskup krakowski, kardynał (ur. 1556 † 1600). Wywoływanie Mikołaja Czarnego i kardynała wskazuje, że poeta miał tu na myśli głośny w swoim czasie wypadek wydania (14 kwietnia

chać szelesty stóp umarłych, ciągnące od zamkowej kaplicy. — Rozwarły się na wścież ogromne podwoje— wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli, a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by prędzej do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze, zblakłej od wilgoci podziemiów. — Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: »Co ksiądz raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi«. — I zniknęły cienie — i rozwiała się sala biesiad — i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samem krześle. — Głucho, pusto, straszno. — W tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów.

*

Straszno, coraz straszniej! Z kaplicy za łożem zielonawy odbłysk rzuciła lampa. — Przebóg! postać biała klęczy i jęczy na stopniach ołtarza — potem się odwróci i sunie ku starcowi; ręce jej w krzyż złożone na piersiach, suknia, jak szaty posągów, w tysiąc fałdów się łamie, ale się nie rusza. — Twarz znana, kochana kiedyś, twarz to żony nieboszczki. — Usta rozemknęły się na nowo, lecz głos nie, jak dawniej, rzewny i potulny, owszem rozkazujący i pełen wyrzutów. — On chciał jej odpowiedzieć, a nie mógł

1828) ks. Stefanii Radziwiłłówny, jedynej córki ks. Dominika († 1813), dziedziczki ogromnej fortuny, za księcia »przybyłego z obcej ziemi«, Ludwika Sayn- Wittgensteina.

— chciał się jej dotknąć, a nie mógł ręki wyciągnąć, jedno musiał iść po ciemnych zamku przejściach tam, dokąd go wiodła. — Koło kaplicy, koło grobu własnego nie zatrzymała się, szła przez zbrojownię wśród pancerzy i hełmów, szła coraz dalej, aż do baszty zachodniej — wstąpiła na wschody; drzwi zaryglowane się przed nią, jak dwoje cichych ust, rozwarły — pociągnęła starca skinieniem. — On poznał skarbiec i w ścianie strzelnicę, wydrążoną nad ślubną pań zamku komnatą. — Tam mu umarła wskazuje, by stanął i patrzał.

*

Przebóg! przed łożem ślubnem, naprzeciwko zwierciadła ujrzał córkę w objęciach zbrojnego męża — poznał płomienne oczy i wyniosłe czoło wygnańca — dostrzegł nagi sztylet w jego ręku — usłyszał głos, brzmiący, jak dźwięk szklannej harmoniki: »Uderzaj śmiało, bo nie ty mnie zabijesz—ojciec już mnie wprzódy zabił!« — I postać niewieścia, to mówiąc, garnęła się pod żelazo rycerza. — Starzec wszystkie siły do krzyku natężył—lecz nie przerwał milczenia. — Dłoniami strzelnicę rozerwać usiłuje — zimny granit się nie ruszył — więc zdało mu się, że padł na kolana, że wołał do synowca: »Dam ci ją za żonę, będę walczył z tobą przeciw królowi, tylko mi jedynego dziecka nie zabijaj!« — to znowu, że prosi się córki: »Dziecię, dziecię, zlituj się! On będzie mężem twoim, tylko nie chciej umierać!« — Lecz oni go nie usłyszeli. — Sinem światłem oblały się ściany, lampy gasnąć zaczynają — wtem gwar słychać na krużganku.—

Pan młody, podchmielony i skoczny, wpada do komnaty — przyrósł do kobierca — sięgnął ręką do boku — nie znalazł miecza, ogląda się, woła, lecz nikt nie poszedł za nim. — Strach nakształt żywej śmierci starca ogarnął. — Pan młody rzuca się na wygnańca. — Ten go odepchnął daleko, gdzieś aż pod same okno, pytając: »Czego mieszasz spokój umarłych?« — I coś błysnęło w powietrzu raz i drugi i trzeci — Słaby krzyk wzleciał i uleciał — gasną lampy jedne po drugich — ostatnia nad zwierciadłem jeszcze się pali — w jej promieniach postać zbrojnego męża i postać dziewicy, krwią zbroczone, gmatwają się, rosną, zniżają, wreszcie upadły. — W tej samej chwili trzecia uderzyła na zegarze wojewodów i znowu ocknął się starzec w własnej sypialni, u stóp własnego krzesła. —

*

Dokoła cisną się sługi i giermki z świecznikami — łoskot słyszeli, przybiegli, zastali go leżącym na kamiennej posadzce, z skaleczonemi rękoma. — On się zrywa i znowu pada, wołając: »Ratujcie dziewkę moją — zamordujcie syna brata mego!« — Oni go wpół biorą, dźwigają. — »Czy noc jeszcze, czy to dzień już? Gdzie jestem?« — I zatoczył się ku szabli, opartej na stole dębowym; dobył ją, rękojeść przewinęła mu się w ręku, ostrze spadło na ziemię i wlecze się za nim. — Grube łzy z powiek mu pociekły. — Oni klękają przed nim, proszą o jaśniejsze rozkazy. — »Za mną, tylko za mną!« odpowiedział przerwanym głosem i, wpół niesiony przez nich, kwapi się ku drzwiom,

wychodzi na kurytarze, śpieszy się, pasując się z niemocą, jak pływacz z falami. — Sługi, spoglądając jeden na drugiego, żegnają się świętym znakiem krzyża.

*

Tak za jęczącym, za mdlejącym, za obłąkanym ciągnęła drużyna w stronę ślubnej komnaty. — Sen, zdaje się, głęboki spoczywa na tej części zamku — przez rząd bocznych podwoi widać z daleka w sali biesiad porzucone stoły i dogasające światła. — Już też przez okna przejściów wkradają się przedsłoneczne świty.— Wtem nagle zatrzymały się pacholęta, niosący przed panem pochodnie. — Z zakrętu ciemnej galeryi człowiek pędzi im na przełaj — włosy jego rozczochrane, szata rozdarta, ni sztyletu w pasie, ni miecza u boku, i sine usta i śniade czoło, jakby śmierć nań wionęła, przechodząc, a on przed nią dotąd uciekał. — »Nie puszczajcie ojca na krok jeden dalej!« i dopadł starca i uchwycił go za ręce. — »Gdzie żona twoja?» — Pan młody padł na kolana: »Poczekaj, ojcze, wróć do twojej komnaty, tak rano śpiącej córki nie budź!» — »A więc mówisz: nie budź jej, a więc ona się przebudzi jeszcze! — Mów prawdę, człowiecze, bo zły duch mnie nawiedził snem strasznym. — Widziałem ją wołającą śmierci — a ty bezbronny, tak jak teraz, byłeś — i trzeci tam stał, który dziecię moje zamordował. — Powiedz, wszak to wszystko marnym żartem nocy, najgrawającej się z biednego ojca?« — Schylił głowę pan młody pod nieznośnym ciężarem tego zapytania, drży całem ciałem, a wzniesionemi rę-

koma opiera się starcowi.—»Milczysz? Ha! Bóg mnie skarał, żem się pokłonił królowi twojemu i szukał związków z obmierzłą krwią twoją, cudzoziemcze!—Teraz ja sam jeden zostałem na ziemi!« Zadrżały na ten krzyk starca wszystkie szyby okien i wszystkie serca przytomnych.— On chwycił miecz oburącz: »Milczysz? Ojcowie moi byli wrogami twoich — gdybym miał syna, byłby twoim wrogiem — córkęm jedynaczkę miał tylko — bierz ten spadek po niej!« — I spuścił miecz, ale żelazo wyrwało mu się z dłoni i roztrąca się o przyległe filary. — Na ten szczęk zerwał się pan młody i jeszcze starca wstrzymać usiłuje. — Pasują się oba, z podziwu i przerażenia niepodobni sobie samym, dzikich zwierząt wzorem. — Ale rozpacz sędziwe ramiona w żelazne kleszcze na chwilę przekuła. — Pan młody, choć tancersko gibki, już dźwiga na barkach dłonie przeciwnika, już gnie się we dwoje. — Starzec mdlejącego do reszty obalił i przekroczył przez rozciągnione ciało.—Teraz on już cudzej nie zażąda pomocy.— Sam stąpa dalej, paląc się wzrokiem, olbrzymim cieniem łamiąc się na ścianach, w rozwianych szatach, z okropną śmiałością. — Słudzy garną się za nim, sklepienie odjękuje odgłosowi ich kroków. — Już ich tylko jedna świetlica dzieli od komory pań zamku — na drugim jej końcu widać na wścież rozwarte podwoje, za niemi część kobierców i ścian ślubnej sypialni i okno od krużganku, rozognione promieniami wschodu. — Zresztą pusto, głucho; słychać tylko szmer blizkich wodotrysków. — Starzec prosto śpieszy ku drzwiom onym i ku wschodzącemu słońcu.

*

A kiedy stawał na progu, ogromna, rumiana twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Zdało mu się, że widzi krwawe serce Boga w przestrzeniach. — Olsnął[1] na chwilę, idzie dalej omackiem, aż tu znów ujrzał krew czerwoną na ziemi. — Wszystkie mary snu strasznego otoczyły go napowrót w jawu promieniach. — Tak, jak widział, że upadli, tuż przed nim rozciągnione leżą ciała córki i synowca. — Wzniósł ręce w górę wzorem tonących i bił niemi marne powietrze, jakby usiłował się wydobyć z tego piekła widziadeł — potem niewzruszony pozostał na miejscu. — Tymczasem tłoczą się zewsząd do komnaty przebudzeni goście, służebni, lennicy, a każdy u wnijścia struchleje i w słup się obróci. — Wszystkich oczy skierowane na odwróconego pana i na zwłoki przebitych. — Oboje leżą u stóp ślubnej łożnicy. — Ramię wygnańca dotąd szyję siostry otula, jej głowa spoczywa na jego kolczudze, powyżej sztyletu, co tkwi mu w piersiach — nikt nie przywarł im powiek — w świetle coraz bielszem słońca szklnią się ich zrzenice, a krew wszędzie naokoło i na pancerzu wodza i na piersiach oblubienicy ścina się już w czarniawe korale — nad tą krwią stygnącą twarze ich, oblane śniadym pokojem. — Jakby wspomnienie uśmiechu przystygło do ust dziewicy, niby cień dumy ociąga się jeszcze na czole rycerza. — Znać męka śmierci lekką im była wśród zachwytu ducha.

*

[1] Olsnął — inna forma (szlachetniejsza) wyrazu oślepnął.

Starzec, jak stanął, tak stoi dotąd — nie jęknął, nie drgnął, nie pochylił się. — Przytomni, parci świeżymi przychodniami, zwolna muszą posuwać się naprzód półkolem — wstrzymują oddechy, oburącz trzymają szable, by nie zabrzękły, lękają się chwili, w której pan ku nim twarz obróci. — Wielki Boże! przed tą twarzą nie stanie im serca! —

Jezus Marya! jakież to dziwo? — On przywitał ręką przytomnych ludzko i wspaniale, tak, jak zawżdy zwykł czynić — niby zadumany, niby nieświadom rzeczywistości, wpatrywał się w ich postaci i przecierał powieki, a ognista gorączka płonęła mu na licach. — »Wina węgrzyna! — niech wypiję zdrowie obywatelskie!« — Nikt się nie ruszył — wszyscy skamienieli dokoła. — »Krew tę obmyć, nim moja dziewoja powróci!« — Nikt się nie ruszył — każdy głowę spuścił, nie mogąc znieść wzroku jego. — »Ha, wy nie wiecie, że to wszystko śni się nam. — Sen uparty, długi, przeklęty — ale wkrótce ranek być musi i przebudzę się«. — To mówiąc, szedł na krużganek. — Tu nagle zdał się inną zaprzątniony myślą; przechylił się przez marmurowe poręcze, patrzał w lewo i w prawo, potem woła: »Mości Panowie bracia, chodźmy szukać państwa młodych! Dziwno, że na przechadzkę wyszli sobie tak rano«.

*

I zaraz zstępuje sklepionymi wschody, tą samą drogą, którą wczoraj synowiec wdzierał się na zamek. — U stóp wzgórza zerwał róż kilka: »To dla mojej dobrej

dziewczyny — ciszej, wiara — ciszej — zejdziem ją niespodzianie w tym lasku i przywitamy dnia dobrego życzeniem«. — Z pochylonemi głowy wszedł za nim orszak pod cienie jodeł i smutnych modrzewi. — Węzły ścieżek ściskały się i rozpuszczały naprzemian, wiodąc w głąb ciemną, to na czyste smugi, to wbiegając na pagórki, zasute agrestem. — Starzec zaczął wołać córki po imieniu. — Echa naokoło naśmiewały się z niego, ludzie szlochali, idąc z tyłu za nim. — Nagle uderzył się ręką w czoło: »Zmora, zmora, a ja wierzę jej, jakby czemu dobremu — kiedyż wznidzie mi prawdziwe słońce?« — I rzucił się ku blizkiej sośnie, objął pień rękoma: »Obudź mnie, obudź, twarda koro!« — Potem się odwróci i porwie najbliższego z orszaku za piersi i krzyczy: »Maro sługi, mocuj się z panem twoim — obudź mnie — obudź!« Przerażony sługa wymknął mu się i ucieka. — Westchnął starzec, wzniósł oczy ku niebu — wyraz przystania na męczarnią twarz jego pokornie oświecił, jakby za grzechy ten sen okrutny ofiarował Bogu. — Potem szedł spokojniej, a gdy uszło czasu trochę, znów rzecze: »Panna młoda pewno tam, nad jeziorem. — Za mną, wiara, dalej!«.

*

Owoż i słońce podbiło się w górę, owoż i rosa wysycha już na liściach, a wód powierzchnia płonie wrzącymi blaski. — U brzegu zaczepione kołyszą się łodzie o herbownych flagach. — On przypiął sobie do pętlicy róże i chodzi po wybrzeżach z coraz żywszą

na licu gorączką. — Nikt nie śmie przemówić, nikt radzić, by wrócił do zamku. Przywykli słuchać woli nieugiętej pana, i teraz jej hołdują, choć ona już nie z tego świata. — Im samym ten dzień wygląda nakształt ciemnej nocy — im samym do mózgu wdziera się obłąkanie! — »Może wsiadła na łódkę, popłynęła z mężem pomiędzy te kępy, za te wysepki? — Hej, sześciu z was bierzcie się do wioseł — i my też popłyniemy za nią!« — Usłuchali, on siadł na statek, odbili od brzegu. — »Czego jęczycie tak dzisiaj? — czy woda wam twardsza?« — Oni nic nie odpowiadają, tylko jadą prędzej. — Za nimi reszta dworzan, jak kto mógł, skacze w inne łodzie. — Dużo ich pojechało za starym panem — dużo zostało na brzegu, bo zabrakło czółen.

*

Wysepki kryły się jedne za drugiemi — każda wieńcem sitowiu opierścieniona. — Tu i ówdzie na nich olbrzymie głazy, dawne okrutnych bogów ołtarze, dziś obwisłe powojem. — Kiedy dopływała łódź, u steru której siedział starzec, zewsząd zerwały się z pluskiem i szumem dzikich ptaków stada. — Czarna z nich tęcza zawisła nad płynącymi — na każdym skręcie wodnego manowcu starzec klaszcze w ręce: »Tu, tu ją znajdziemy«, a gdy nikogo nie widać, pyta się powietrza: »Gdzie dziecię, dobre dziecię moje?« — Tak opłynął całą wysp drużynę i czystem jeziorem kazał jechać ku drugiemu brzegowi. — Lecz już teraz zamilkł, ster puścił, czasem rzuci się nagle w bok,

a wielka bladość rozpościera się po jego twarzy. — Zanurzył ramię w wodę po łokieć i, słuchając szmeru fali, głośno się rozśmiał. — Stanęli wioślarze, czekają, ażali im nie każe wrócić. — On i słowa nie rzekł, jedno wstał i, odwróciwszy się, spoziera na zostawione z tyłu czółna, na ogrody i zamek, a ciągle ręką głowę przeciera lub drugiej dotyka się dłoni — wtem krzyknął: »Chcę się przebudzić — ja chcę się przebudzić!« — Oni zadrżeli. — On skoczył z sił wszystkich, ostatnich w głębinę. — Trzech natychmiast rzuciło się za nim, tymczasem nadpływają tamci. — Wszyscy widzieli, co się stało, i patrzą na wodę, wirującą w miejscu, kędy zapadł stary pan z wiernymi sługi. — Wrócili po kilku chwilach pływacze, niosąc między sobą starca. — Na pokładzie pod flagą herbowną złożyli pana. — Lecz w nim już nie patrzeć życia, życie pod błękitami jeziora zostało!

*

Tak obce książę zagrabiło zamek starożytny cnego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczciło pogrzebem — ciało wygnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. — Potem wyprawiło towarzyszom stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowało z kielichem w ręku, z żartami na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był książęciu, że rozległe imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w górach pamiętają wodza,

który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódy zamek szturmem zdobyć trzeba. — Od gór, na zwiady wysłane, latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za nimi sypną się zbrojne męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgonu!

*

A ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie konchy glinianej ulepić nie mogła na ziemi — skrzydła jej zawadzały — pozbyć się nie mogła skrzydeł! I poniosły cię one, dokąd wichry lecą, dokąd mgły żeglują, dokąd rwą się liście jesienne i wiją się szumy harfy i piersi westchnienia! — Na grobie marmurowym prochy twoje noszą imię cudzoziemskie, nienawistne męża. — Wokół, na zielonym świecie znikomych, nikt już nie wspomina ciebie. — A nazajutrz po zgonie siedmiu starców cię przeklęło za to, żeś pociągnęła za sobą bohatera duszę. — Nazwali cię oni szyderczem imieniem: »Kobieta«, kiedy mówili do zgromadzonego ludu — ale lud płakał i, rozchodząc się, wołał: »Wieczny odpoczynek daj jej, Chryste Panie!«

[1837 r.].

POKUSA.

Ach, mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słychać wieczne żale.
Z tyłu leżą, przeszłości mgłą obwiane, tonie,
Z przodu niebo dalekie krwawą łuną płonie,
A wokoło pływaczy tak zimno i ciemno,
Że każdy woła, płynąc: »Przekleństwo nademną!«

Matko, po sześćkroć zabita,[1] Matko nieszczęśliwa, jednym smugiem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i odtąd cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za nimi grób od morza do morza; przed nimi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci nie zrozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiorów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głazy ogniska zamiecie — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych — a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana: »Boga waszego niema tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzenie — w powietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świegocą ptaki — rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

[1] Sześćkroć — amplifikacya poetycka, zamiast trzykroć; mowa o rozbiorach Polski.

»Przechodząc więc, i wy im odwdzięczajcie się wzgardą — kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: »Umarli!«

»Kiedy na brzegach morza staniecie śród Żydów, Ormianów i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot, co huczy nad falą, niesłyszan przemija — »Umarli!«

»Kiedy naokoło snuć się będą niewiasty, ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy, niż dusza ich — »Umarli!«

»Idźcie, płyńcie, jak szum nietkniętych borów! — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i, zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!«

I ujrzałem jakoby w cudownem widzeniu obraz, zmieniający się, jak długie życie, a znikomy, jako dzień jeden, co się pocznie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rżał, chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku, równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedzieć, na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły naprzemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten, co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał, jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco. — A młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję

przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał, jak potok, z góry na dół, potem, jak strzała, po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za panem.

Wtedy pozostały ukląkł i słyszałem to, co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: »Ojcze niebieski, dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi! — Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię — niechaj Tobie służy tylko — Matce, po sześćkroć zabitej, niechaj służy tylko!«

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich. I znów wiatr przyniósł mi słowa jego: »Ojcze niebieski, nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi, jako wszyscy na świecie. — Jedno uskąp mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!« —

Po tych słowach ze wzgórza puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym. —

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń, przylatując z daleka, stanął, jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy. — Pieszy siedział na głazie, od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęć-

cia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi. —

Spoczęli oba w jednej z wnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec, na perskim kobiercu rozciągnięty, odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puharu, kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach, kiedy mu ich kosztowności wskazywał przyjaciel. — Wstał nareszcie i wziąwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Stamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwnie jednostajne i wybielone — naród dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży.— Młodzieniec patrzał ciekawie, starszy wędrowiec westchnął i rzekł: »Kiedy was zaprowadzę do miast bez starych świątyń i zamków, powiedzcie: »Umarli!« —

Ale młodszy patrzał jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty, jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził, śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym, otoczon. — Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: »Kiedy naokoło snuć się będą ciała, ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy, niż dusza ich, powiedzcie: »Umarli!« —

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury. — Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była! —

A śród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokimi chwiał się ukłony. —

Kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi — długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach — głosem twardym wołając, szli w potędze swojej i uderzali dzieci, pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż jeden konno nadjechał i wszyscy upadli twarzą na ziemię. — Snać ten jeden był panem życia i śmierci! —

Wtedy rzekł pieszy wędrowiec: »On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny«. — Lecz młodzieniec, wlepiwszy wzrok w jasne szaty jeźdzca, ich błyski pił całą źrenicą, tak, jak niegdyś błękit niebios, i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero, kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imię Matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Starszy, przyciskając go do piersi: »Nie patrz, nie patrz na nich!« — zawołał. — »Nigdy! nigdy!« — odparł młodzieniec i, zalany łzami, rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę, odmówioną w duchu nad leżącym przez odchodzącego wędrowca: — »Ojcze niebieski, o południu tej strasznej próby błagam cię za tym, którego ukochałem. — Ojcze niebieski, teraz już o cud proszę Ciebie. — Osłódź tej duszy walkę życia — uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła, jak owi dawni, najpiękniejsi w Twoich niebiesiech, strąceni za to, że zapragnęli potęgi!« —

Sam teraz, sam jeden śród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na niebie już w ołowianą blachę zlepiły się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym liców pozorem. — Ciągle za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliźnią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki, i posiadł je — i stał się panem spojrzeń sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność, równa dziennym promieniom, znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórce pałacu swojego — pogłaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań, jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty, pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł, grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasł w zmierzchu. — Ach, już była nadeszła zmierzchu godzina! —

Wtedy po trzeci raz w dniu owym z przyjacielem spotkał się młodzieniec — ujrzałem ich obu w ko-

ściele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych, zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ołtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się śród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzał na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słowmi głąb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha, nie chcącego upaść, powolne niszczenie. — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki, jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili. — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: »Za mną, za mną, byś sobie postać Matki przypomniał!« — I poszedł przodem ku roztwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem, w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem nakształt zlatujących gwiazd — czasem podnosiły się z dołu, jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugim, a na każdego bramie tlało srebrne imię ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim, spłoszone i, jęcząc, uciekają dalej — aż zrósł się z nich tuman, podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący

tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów, jak błyskawice, rozlewały się w przestrzeniach i gasły na przemian, a coraz chyżej i coraz dalej toczył się wir duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się, jak zeschłe liście, przyległ do ziemi, jak letnia kurzawa, wołając: »Ojcze niebieski, zmiłuj się nad nami!« — Wtedy zatrzymał się przewodnik i klął przed wniściem do otwartego grobu, na którym imię po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów, świętem przerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie. —

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory — niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu, łagodnie pochyłem, leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty, w własnej krwi uśpiony — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórzów takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugi, kędy krew płynie na wzór szemrzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdem wzgórzu taż sama trumna i postać taż sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesienne co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudę zimową i przeklął życie! —

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słychać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: »Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?« — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzał na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem.— Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: »Ojcze niebieski, Tyś zdradził nas, Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skonała!« — Ale przewodnik odegrzmiał im z oddali: »Nie bluźńcie, bo Święta wasza oddycha jeszcze! — Widzę ją: śpi w trumnie ostatniej na zamarzłem wzgórzu — za niem już niemasz siódmego,[1] tylko jedno jest: zmartwychwstanie«. — A ryk duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki, jak początek nadziei. —

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzenki na błękicie bez końca, stamtąd było słychać szczęk jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięstwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzęst przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli.— Potem tąż samą, widziałem, jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi. —

A starszy, żegnając młodszego u wnijścia do ko-

[1] Por. str. 111, w. 1: Matko, po sześćkroć zabita...

ścioła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: »Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imię twoje z rzędu słów zacnych na ziemi! — Pamiętaj, że, cokolwiek ujrzysz tej nocy, jest piekieł złudzeniem!« — I położywszy dłonie na sercu młodzieńca: »Ojcze niebieski — zawołał — zlituj się nad nim i nademną, bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, Ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie!« — Po tych słowach każden z nich różną poszedł drogą. —

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysiącznych lamp wołało do zamku, brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych, wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty, wszyscy śpiesznie, chciwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe, niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem młodzieńca na owych wschodach, z daleko starszą już twarzą, na której ślady przysiąg zręcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług; rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej, strojny i wspaniały, gość, równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące, pląsające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręże, pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozaiki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkradła mu się do mózgu, jedwa-

bne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony, siadł na uboczu i, pochyliwszy skronie, zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem, jak biła jedna, długa nocy godzina. —

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rzęd roztwartych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący ponad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział jedynowładzca życia i śmierci pod wiązaniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca. — Na ten widok wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrzał wzrokiem czystym od pokus tak, jak w godzinie poranku.—

Wtem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo — od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił pan zamku i szedł zwolna, jakby bóg jaki, śród padających na ziemię — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny. — Tamten wstał i śmiało spojrzał mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem: »Chodź, przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę!« — A kiedy młodzieniec stał, jak przykuty, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą. —

Z trumną matki, wijącą się przed oczyma, szedł młodzieniec, a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który, srogim głosem

grzmiąc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię Matki zabitej bez wzdrygnienia, jakby jej śmierć nie ciężyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze, i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość, ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta,[1] ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi, czołem bijących o malakity[2] posadzek.

Na drugim końcu zamku nagle na rozkaz pana śpiżowe bramy się rozwarły i tysiące, podźwignąwszy głowę, chciwie poza ich progi spojrzały. »Oto skarbiec mój — rzekł mocarz — patrz i uwierz we mnie!« — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni, ciągnących się bez końca. — Blask, bijący z ich jarów i urwisk, pożerał źrenicę — toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra, tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza,

[1] Antychryst (z greck.) — dosłownie: przeciw-Chrystus, przeciwnik Chrystusa, mający się pojawić na ziemi przed powtórnem przyjściem Zbawiciela.

[2] Malakity — malachit, piękny kamień zielonej barwy, łamany w górach Uralu.

rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności, jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem.— Postacie wznosiły ręce i, tłukąc łańcuchami, przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wnętrzny kopalni, a drugie, równie okute i umierające, na ich miejsce wschodziły. — Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przysłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask, równy pogodzie pustyni, wszystko zalał i pokrył. — Wtedy bramy śpiżowe zawarto, a pan życia i śmierci, odchodząc, rzekł: »O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie!« —

Teraz, gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się, jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął. —

W prześlicznej ustroni, śród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda

mu szepcze do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nabiegły mu lica, uczuł, że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym, i to uczucie, jak piorun, strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim, szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem, jak splątany, pomięszany, walczący, prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpaczy przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchnąć się w piersi — ale nie znalazł jej nigdzie. — Były inne, w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami. — One, płacząc i korząc się, wołały: — »O, raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!« — Wreszcie krzyknął w obłąkaniu: — »Kocham!« — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlekła do sali tronowej. —

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytymi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina — dworzany stanęli wokoło. — Zwinęła się w górę makata, kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszli posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy, walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata, polegli — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny w książęcych gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię Matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed

oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana: — »Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?« — i odpowiedź posłów wszystkich: — »Zaprawdę nie powstaną nigdy«. — A wtedy przystąpili dworzanie i, po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli.— Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci.—

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko, co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się, że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął śród urn płonących. — Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan, schodząc z tronu, sam skinął na niego i miejsce mu wskazał — i wszyscy, którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu. —

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup, dźwigający Matki popioły. — Ile razy nań spojrzał, puhar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko, co go otaczało, grubą zasłoną ćmiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie zimnym potem zlane, pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy pomieszały

się w okropny hałas, nieznośny mdlejącemu — i tak minęły przedostatnie godziny.

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła, jak grzmot, ponad jego głową. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: — »Gościu biesiady mojej — rzekł — czas, byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia!« — i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: »Noś to na pamiątkę moją!...« — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy aż do ostatniego. — Lecz zaledwo skończył, wstał pan życia i śmierci: »Sługo sług moich — zawołał — śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...« — potem rozśmiał się gardłem całem. — Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszem spojrzeniem spotkał urnę Matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: »Hańba!« wyczytał młodzieniec. — »Hańba!« krzyknął, zrywając się z miejsca ostatkiem sił. — »Hańba!« odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodu, z boków. — »Hańba!« powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wołać jego nowem, cudzoziemskiem imieniem — drudzy, skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu, by

się im kłaniał; inni, by deptał po niedopalonych Matki popiołach!

To mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi, już oparta na ręce drugiego, i szydzi także. Jak może więc, sunie poza posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek plącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie naokoło obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom, pasował się długo, aż zrzucili go pod stopy i przeszli po nim, śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. — Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zacznie się cofać i szukać wyjścia z zamku. — I bił się i tarzał i biegł i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko, aż na stopnie kościoła, widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już blizki wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczy stał na wschodach przed starszym wędrowcem, który rzekł ponuro: — »Wiem, że w innym czasie i na innem miejscu mógłbyś był zajaśnieć bohaterem — ale śród ciężkiej próby, naznaczonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą — zgubionyś!« — »Wróć mi konia!« — krzyknął młodzie-

niec — wróć mi szaty stepów i dawną broń moją, a ujrzysz, jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego shańbienia!« — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi, gorejąc wściekłością — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: »Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię właśni bracia w poczet odrzuconych.—Stamtąd—czy słyszysz?— już wrogi gonią za tobą! — Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli służalcem, ich zbrodni spólnikiem, ich żartu igraszką. — Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie« — I dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — »Uderzaj! — zawołał. — Umieram synem Matki, po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!« — Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora, pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół, wpoprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego, gasnąc, błysnęło dawną iskrą światła. Klął przy ciele towarzysz i wzniósł w górę załamane ręce: »Ojcze niebieski, Ty wiesz, że go śród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojcze niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew, przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie

na głowy kusicieli!« — Po tych słowach widziałem, jak sam drasnął się pod serce żelazem i na kamieniu ponad głową umarłego czerwonem ostrzem napisał: »Z ręki przyjaciela«. — Wtem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i, uchodząc, znikł z przed oczów moich w przybytku kościoła.—

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia!

O Matko, po sześćkroć zabita, kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łanami zbóż, śród zielonych borów od morza do morza, a w chwili odmłodnienia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, Matko moja, nie płacz nad onymi, którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach — choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi. — Ani płacz nad tymi, którzy śród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi. — Ale uroń łzę litości, o, uroń łzę, Matko moja, nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili mordercе twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem! — Oni, Matko, oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje, jak noże, przeszyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmią w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny, lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochy-

łością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdem urwisku, zatrzymując się, płakali za tobą — aż serce wyschło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kajdan — i stali się trupy żyjące, sami śród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi. — Matko moja, ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przepomnienia! —

[1837 r.].

HERBURT.

UŁAMEK.

I.

Poeta się urodził, by władać nad sercami kobiet. Poezya tylko włada nad duszami mężów, i to rzadko — bo kupcom, wekslarzom, urzędnikom, rzemieślnikom, uczonym i większej części rymotwórców nigdy się nie przyśniła. Gdzieniegdzie żołnierz, kiedyniekiedy wieśniak, często dziecko, niegdyś Aleksander W., czasem Napoleon ją czuli. Zresztą drukowałem już o tem czcionkami Karola Pompejusza w Poznaniu — zajrzyjcie, czytelnicy mili!

Otóż u wód jakichsiś, nie wiem, gdzie (gdzieś to było jednak), zjawił się poeta, a szlachty polskiej tamże wielka siła była. Zamorskich książąt, baronów i hrabiów nie brakło też wcale, a że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, każden wnet z naszych przybrał tytuł grafa. — Wspaniałomyślny obyczaj! śliczna, dziarska duma! Dawniej się Zamojski pisał *omnibus par* i dzisiaj też wszystkim równy Pieprzykowski hrabia! Księcia Wołowskiego, zdaje mi się, gdzieś że spotkałem także, ale o tem mowa później będzie.

Zapomniałem powiedzieć (często mi się zdarza), że poeta był także z polskich niw rodem. Prawdziwie

nie wiem, czemu zowię go poetą: czy to dla oczów żywych, czy może dla częstych roztargnień, czy przeto, że lubił samotne przechadzki? Bądź co bądź, mógłbym go równie nazwać oficerem, bo służył przez rok i w pamiętnym czasie, mógłbym wielkim panem, bo liczne po przodkach spadły nań dostatki, muzykantem zresztą, bo ślicznie śpiewał i grał nieźle wcale. Lecz to mi do miary nie przypada, nazwę go zatem... prześwietna publiczności! jeśli Wacławem, to powiesz, żem zdarł Garczyńskiego [1], jeśli Konradem, żem okradł Mickiewicza [2], jeżeli Manfredem [3], żem się Byronowi zadłużył, a że długów nie lubię, przeto daję mu imię Herburta przed ludźmi, Henryka przed Bogiem!

Zważałem nieraz, publiczności miła, że nim aktor przemówi, już go pełnymi witasz oklaski, byleby na pierwszym wstępie ukazał się w szatach, kapiących od szychu. Chcąc więc zalecić się tobie, powierzę ci, że mój wstępujący nosił dniem i nocą na piersiach łańcuch, który kosztował tysiące, daruj tylko, że nosił go pod koszulą, a na nim medalion, cichy spoczynek niegdyś danych włosów — nikt mnie nie zmusi powiedzieć, przez kogo, bom przysiągł, póki się nie ożenię, nie prawić kazań o cnocie, ani potępiać, ani wydawać słabości i nieszczęść rodzaju żeńskiego. To jedno powiem, że na czarnej emalii drzemała tam złota litera pierwsza z rzędu jakiegoś imienia, może ostatnia miłości!

---

[1] Wacław — bohater poematu Stefana Garczyńskiego »Wacława dzieje«.

[2] Konrad — bohater »Dziadów« Mickiewicza.

[3] Manfred — bohater poematu Byrona pod tymże tytułem.

U tych samych wód (przypomniałem sobie: Halberstdorf się zowią, w księstwie zaś udzielnem Lindewiese leżą) bawiła właśnie wtedy Julia z Podhorskich Horyńska.—Nie myślcie, by jednak sama wody piła—jej choroba w głębi duszy, nie w ciele siedziała—ale przyjechała z mężem, męża zaś posłali lekarze, obiecując mu powrót niezawodny zdrowia po sześciu tygodniach. Czy młoda? zapytacie. — A jużciż, bo ledwo w dwudziestą wstępująca wiosnę. Jednak i stara zarazem, bo od lat już pięciu wydali ją rodzice, serca jej się nie radząc, jedno kieski zięcia, piękna, bo wyraz duszy nie odstępował nigdy jej lica — dobra i czysta dotąd, bo zwyczajem serc, przed czasem znudzonych, stroniła od świata, lękając się szczęścia — uczona, bo wszystkie znała romanse dawne i nowe francuzkie i angielskie — mimo to pełna prostoty w ruchach, bez przesady w głosie. — Zarzuciłbym jej tylko zbytnią chęć rozprawiania o Bogu, nieśmiertelności, woli, pamięci i umie[1]. — Ale gdzież biednej schronić się było? Dzieci nie miała, do tego ogarnęło ją dziwne, nie wiem skąd, przeczucie, że nigdy ich mieć nie będzie!

Mąż jej, apoplektycznej struktury, nizki, jasnowłosy, na chrzcie odebrał imię Perseusza. Niechaj nikt się nie waży nań co złego mówić, człowiek rozsądny— w Polsce fabryki cukru burakowego cny założyciel— skromny, bo choć nadziany złotem, miedzi nie odpiera, wylany dla świata, bo ciągle mówi o szczęściu czyjemsiś: to o szczęściu chłopów, to o szczęściu żony, to o swojem z nią wreszcie, czuły, bo jeśli z obiadu po-

[1] U m — twórcza wyobraźnia czyli fantazya. Wyraz ten usiłowali wprowadzić do języka Trentowski, po nim Libelt, ale bezskutecznie.

zostanie kaczka, schować ją na wieczór dla Julii rozkaże, a że nieco zazdrosny, czyż to sławie jego co zaszkodzić może? — Któż kochał kiedy, a nie był podejrzliwym, kwaśnym, gniewnym w pewnych chwilach? Lecz umie panować nad sobą, nigdy w przytomności ludzi przykrego nie powie jej słowa. Twierdzę, że nawet nigdy sam na sam jej nie przycisnął dłoni tak, iżby zsiniała; ale temu wierzyć trudno, bo namiętność szczera gardzi mdłymi wyrazy. Małżonkowie namiętni—wszak prawda?—świadczycie słowom moim!

W domu też była ciotka, panna lat wdowich, cnoty przestrzegaczka święta. Lecz że nadewszystko dobre serce miała, kto wie, być może, iż gdyby... proszę pilnie uważać: mówię wyraźnie w trybie najistotniej warunkowym, bo tego nawet przypuścić nie mogę — a więc gdyby zdarzyło się przypadkiem, że ktośby zyskał względy siostrzenicy, a przyszedł w odwiedziny, toby wyszła z salonu jedynie z przyczyny nieznośnego gorąca i porywających mdłości. Gdzieby poszła wtedy, nie śmiem wyrokować.—Przez dziurkę od klucza wietrzyk chłodnawy przewiewa; dla odzyskania zmysłów nic skuteczniejszego nad taki wietrzyk, kiedy na powieki padnie. Doktorów w tym względzie jednomyślne zdanie. Ale po co się w niepotrzebne wdawać hypotezy? Czego nie było, wiedzieć nie można — powiem, co jest. Panna Kazanowska, kiedy się wystroi, jeszcze podobać się może, gdyby chciała — że nie chce, wiadomo — myśl jej nad ziemią ulatuje, od kiedy Włochy odwiedziła raczej pod ziemią, bo nieustannie wspomina groby katakumb i lochy Koliseum. Nie poszła za mąż, bo jednemu tylko rękę oddać mogła, ale tego

nie spotkała nigdzie, ale ten już umarł — za życia zwał się lordem Byronem! Na żaden też sposób nie godzi mi się pominąć panny służącej, naprzód, bo hoża Wołynianka, trzpiot i strzelec oczymą, powtóre bo jej Teosia na imię, a to mi się podoba — po trzecie, bo panien służących, choć ukryte, jednak ważne bywają i czyny i wpływy, tem piękniejsze, że bezsłowne! Zawsze czuły byłem dla tych, których dzieła giną w mroku przez gorszącą niesprawiedliwość poetów i dziejopisarzy. Czułość moja w tej chwili przywiedzie mnie do tego, że wspomnę i o Kozaku, który służył jako kamerdyner panu Horyńskiemu. Z dalekich stron przywieziony, żadnym niewypowiedzian językiem, na migi z Niemcami rozmawiał. Za jego pasem czerwonym dzieci po ulicach latały — on się, jak mógł, opędzał rodzinną nahajką.

Miałbym się sam teraz za niegrzecznego, gdybym przechodząc, nie złożył uszanowania przyjaciółce domu, Malwinie Fasalskiej. Malwina starsza była od Julii i już dawno za mężem; znały się w kraju, a za granicą codzień się odwiedzały, obie wysmukłe, obie czarnowłose, tylko że Julii płeć jako atłas śnieżny, Malwina zaś na tle melancholiczno-żółciowem posępne nosiła rumieńce. — O święta przyjaźni dwóch serc niewieścich! nędza cię nie zatrwoży, burza nie rozwieje, piorun nie rozgromi — strzeż się tylko szpilki, bo sztorcem padając na ziemię, zdoła wieczną stanąć zagrodą między temi, któreś połączyła! Znałem kiedyś dwie przyjaciółki — ziemia takich czułych sióstr nie oglądała nigdy — kiedy wziąwszy się za ręce, szły razem, spokój niebios leżał na ich czole, jeden anioł

stróż zdawał się im przewodniczyć na drodze życia. Raz, pamiętam, weszły do sklepu; z nad szaf szklannych nowy tam kapelusz przymilał się obu — a jednej był do twarzy, jak lilia do wiązki róż. Tymczasem druga go kupiła; odtąd już ich nigdy nie widziałem razem.

Przypadkiem to wspomnienie obudziło się we mnie teraz; może kto pomyśli, że chcę je zastosować do Julii albo do pani Fasalskiej? — Raz na zawsze więc oświadczam, że strzegę się przycinków, jak grzechu śmiertelnego, że nienawidzę żartów i ironii, a potem pani Fasalska takie ma chrześcijańskie serce! Jeśli o kim mówi, zawsze poczyna od jego obrony, kończy zaś naganą lub potępieniem. Tak dwom cnotom głównym, miłosierdziu i sprawiedliwości, staje się zadość. Najczęściej zaś, nie chcąc sądzić bliźnich, przestaje na peryodzie: »Tak mówią, ale to potwarz« lub na jednozgłosku »Tak, tak« albo na wykrzykniku »Ach!« lub też westchnieniem cichem myśl swoją tłumaczy; westchnąwszy zaś, podnosi ramię, palec jeden wyciąga, potem go spuszcza na dół, jak nożyk małej giliotyny. — Wszyscy, co ją widzieli, przyznać muszą, że w takim ruchu jest wdzięk niezrównany, szczególnie, jeśli doń przyda kilka inszych jeszcze, jeśli naprzykład w tej samej chwili drugą ręką welon koło włosów zarzuci lub szal w kształtne na piersiach poukłada fałdy. Dla tych, których ukochała, niema wylańszej na świecie istoty. Jak ptak w dzień ze strawą do piskląt, tak ona do nich z nowinami lata, a gdyby ich zabrakło, gotowaby wzorem pelikana z własnej piersi, raczej z własnej głowy je wyciągnąć.

Pan Astolf Fasalski—przepraszam, graf Astolf Fasalski, czarnych, greckich bakębartów obdarzony wieńcem i małemi, błyszczącemi oczyma, prawdziwie był bohaterskiego wejrzenia we fraku bronzowym przy walterskotowych spodniach. Nie jego winą Polski nieszczęścia; on ją dwa razy dźwigał, za trzecim upadał, bo go słuchać nie chcieli. Gdybym zaczął opisywać dzieje przeszłości, ile to on rzek wpław przepłynął pośród kry pędzącej, ile rot zbił w samotrzeć, w jakich pałacach znalazł schronienie... Ale zapędzam się; mógłby mnie oskarżyć, że utworami cudzej wymowy poema niniejsze pokupnem zrobić usiłuję, mógłby i zapozwać o kradzież, bo sam swoje pamiętniki już pisać zaczął. Do samego źródła odsyłam was, czytelnicy drodzy, kilka słów już tylko dodam o hrabim Astolfie. — Natura uposażyła go znać rozlicznymi dary, bo z każdym był dobrze, z kapitanem, z sprawnikiem[1] ściśle, z generałem-gubernatorem poufale, jednem słowem, w nim zaszły nienawiści sprzeczne sobie na świecie, on był wspólną miłością stronnictw! Jedna tylko istota nie czuła k niemu miłości: żona Malwina. Jednak choć często mówiła o rozwodzie, oczarowana wdziękiem, co z niego pryskał na wsze strony, od dnia do dnia odkładała rozstanie. Żyli więc, kłócąc się i godząc naprzemian, zwykłym torem słodkiej przyjaźni, co górę bierze po kilku latach nad bezrozumną pierwszych dni namiętnością. W chwilach kłótni własne sobie wspominali dzieje, w chwilach zgody rozmawiali o cudzych, a dwór ich suty czerniał się

[1] Sprawnik — naczelnik powiatu.

afrykańskim murzynem, błyszczał strzelcem wiedeńskim. Do tego po Europie własnymi jeździli końmi, mówią, że niegdyś z dwoma lecącemi za koczem zrzebięty wjechali na *Piazza di Popolo*[1] w Rzymie.

Jeśli nie czas już skończyć tego pierwszego rozdziału, to się nic nie znam na sztuce. Wprzód jednak słuchajcie mnie i zważcie... Pewno myśli łaskawa publiczność, że do niej zacząłem odezwę. Mylisz się na ten raz, zresztą nieomylnaś nigdy! Przebacz więc, że nie do ciebie obracam mą mowę, ale do tych, których dopiero co wyliczałem imiona i zalety. Nim ich rzucę na twardą drogę życia, chcę im przypomnieć, czem są dla mnie i czem ja im jestem. —

Słuchajcie mnie, poddani! Ni sułtan żaden, ni król chrześcijański, ni kochanek nad kochanką, ni dozorca osady nad murzynami, ni wspólnik nad zbrodniarzem, ni anioł nad poruczoną gwiazdą nie osiągnął nigdy przemocy, z jaką ja panuję nad wami. Bóg chyba jeden — ale nie — i Bóg sam nie ma takiej potęgi. — Kiedy tworzy, mus harmonii i mądrości w jego tworach leży; ja, jeśli chciałem, wydałem was bez celu; jeśli zechcę, zniszczę bez przyczyny. Nikt wam ratunku nie przyniesie na ziemi ni w niebie, może was natychmiast strącę do nicości, może jeszcze dam wam kilka kartek życia, a może was przeciągnę w późne lata i wieki! Bądźcie mi więc posłuszni, jak nici palcom przędzącej, jak fale miesięcznemu światłu, jak wole ludzkie namiętnościom ludzi.—

---

[1] *Piazza del Popolo* — plac w Rzymie przy bramie tejże nazwy *(Porta del Popolo)*, którą wjeżdżali przybysze z północy.

Módlcie się do mnie o szczęście i o piękne czyny, nie szemrajcie, kiedy w śmieszność was obłokę lub obarczę hańbą, bo kaprys mój, widzi mi się moje — to przeznaczenie wasze.

Wśród ujarzmicieli poeta jest najsroższym tyranem, w jego natchnieniach tysiące światów się rodzi, by skonać; on, jak Czas[1], własne dzieci znienawidza i traci, aniołów swoich pierwszych strąca z nieba, by ich drugimi zastąpić, on hardym nie odda pokłonu, wrogi darmo o przebaczenie prosić go będą, kto wie, może cnotliwym nie użyczy wspomnienia! Życie mu na kształt burzy przepływa wśród gruzów. Jedna tylko piękność wzbija się wysoko, i tlejąc, rozświeca te smutne cmętarze. On słaby wobec niej, on klęka przed nią, jak ziemia klęczy wiecznie przed gwiazdą biegunów. A kiedy duszę własną tysiąc razy wydarłszy z piersi, postawi przed sobą i zabije i znów wskrzesi, by ją tchnieniem znowu jednem rozwiać, cóż mu po tylu samobójstwach zostanie na ziemi? Ach, ślepota Miltona[2] wspólnym losem wieszczów! Z kopalni wybranych, z podziemnych otchłani, kędy im przez długie lata świeciły dyamentowe duchy, wstanie pod koniec widmo nudy i chwytając za dłonie, olśnionych zaprowadzi starców na puste bezdroża! Tam im gorzka Antygona[3] śpiewać będzie szyderstwa i zwątpie-

[1] Czas — Kronos, syn Nieba i Ziemi (Uranosa i Gei), dawniejszy (przed Zeusem) władca świata, połykał własne dzieci.

[2] John Milton — poeta angielski, autor »Raju utraconego« (ur. 1608 um. 1674).

[3] Antygona — bohaterka tragedyi Sofoklesa pod tymże tytułem.

nie! Błogosławieni ci, którzy umrą przed jej pieśni końcem.

II.

Tych dni, raczej tych nocy Herburt miał sen czy widzenie. Zdało mu się, że postać Danta zstępuje ku niemu po szybach ciemności, które płynęły jedne nad drugiemi, jak morza pozbawione światła, a w przedziałach tylko dniał zmierzch jakiś blady. Wieszcz starych wieków skinął na niego i on szedł za nim, jak ciało za duszą. Stąpali długo po jakichsiś falach, oświeceni czasem spadającą gwiazdą lub zrywającym się z pod stóp meteorem.—Potem nagle stanęli na szczycie wzgórza i z przeciwka wszedł księżyc, oświecając blado nieprzejrzaną równinę, na niej tysiąc krzyżów i tysiąc konających przybitych, jakoby naród jeden cały w godzinie ostatecznej męki. Stopniami wszystkie krzyże zbiły się w jeden ogromny, wszyscy męże w jednego człowieka, który cierpiał, jak olbrzym, a kiedy miesiąc w pełni czoło mu oświecił, dojrzał na nim Herburt tajemnicze imię, które łzy z ócz jego wycisnęło. O stopy krzyża biła nieustannie kra, niesiona bałwanami z oddali, kędy wód zamarzłych nieskończone bieliły się obszary; piana i szron, buchając, dochodziły aż do szyi olbrzyma i krwią jego zarumienione, opadały nazad. — Na tronie z lodu siedziało przed nim widmo z nogami, zanurzonemi w morzu, kusząc go czasami, kiedy wicher ustał. Lecz nieszczęśliwy trzymał gdzieindziej obrócone oczy, bo daleko

w górze od strony południa wśród mlecznych dróg rozstajnych pięciu inna postać w świetle błędnej zorzy stała, podobnie jak człowiek, przybita do krzyża. Lecz w jej rozwartych objęciach spoczywał błękit żyjący, widomy, jak dziecię na łonie, i każda kropla, z ran jej płynąca, jak tylko tknęła się przestrzeni, zamieniała się w błyszczącą gwiazdę, która biegła dalej, i z cierniów jej korony wykwitały tęcze, opadające w pokoju na wszystkie strony świata. Wzrok cierpiącego na ziemi szukał wzroku nadpowietrznej postaci, a ile razy go spotkał, lżej mu było i na dzień jeszcze jeden życia nabierał sił tajemniczych. Wieszcz tedy zeszedł pochyłością wzgórza i zaczął przechodzić dolinę. Zdało się Herburtowi teraz, że niewidziane ze szczytu oręże i zbroje, gruzy i węgle sterczą naokoło. Ujrzał drobne dzieci w kajdanach, umarłe na piersiach matek umarłych; stały pługi samotne, na pół zakopane w brózdach, kościotrupy koni, w siodłach bojowych rozciągnione, leżały, dalej kaplice, rozbite ołtarze i dawnych królów berła i wodzów buławy, walające się w piasku, a im bardziej oddalał się od krzyża, tem bardziej rosło milczenie śmierci. Wieszcz jednak rzekł, mijając te niwy i pola stroskane: »Tu czyściec dopiero na ziemi, bo tu zostały pamiątki i wzrosną nadzieje«.

Znów grube ciemności rozległy się naokoło, wieniec tylko laurowy przewodnika tlał słabą światłością. Za nią szedł Herburt w niewymownym smutku, bo zdawało mu się, że zstępuje w błędną jakąś nieskończoność złego; czasem zdaleka słychać było szum ziemskich pomieszanych głosów, czasem nad głową jego odzy-

wał się śpiew żałobny jakoby odlatujących aniołów, aż wreszcie stało się blado, jak w więzieniu, i ujrzał z obu stron podłużne ściany, strzelnicami przebite, i ludzi, stojących rzędem, każdy przy drugim w strojach jednakich, z bronią jednaką, a liczba ich zdawała się bez końca tak, jak i ściany gmachu. — Odwrócił się Dant i dotknął powiek Herburta znikomym dłoni powiewem, mówiąc: »Patrz!« A wnet on ujrzał dusze tych wszystkich, na pół z ciał wychylone, nie mogące ni wrócić do nich ni oderwać się zupełnie, a płakały z ciężkiego bolu i poniżenia, wołając: »Każą przeciwko Bogu, a musim, przeciwko ojczyźnie, a musim, przeciwko ukochanym, a idziemy«. Tymczasem ich ciała zżymały się nieustannym ruchem, ręce podnosiły się i opadały naprzemian, gładząc błyszczące lufy i głownie. Wieszcz, porywając go za sobą, rzekł: »Tu wstęp do piekła na ziemi«. A im szli oba dalej, tem jęk dusz i chrzęst stali się wzmagał i na długiej drodze rozwidniało się co chwila bardziej, jakoby od promieni dalekiego ognia i rozsuwały się stopniami mury, coraz szersze chwytając przestrzenie, aż zdało się jemu, że cały widnokrąg stanął przed nim kamiennem sklepieniem na wzór świątyni, w której ludzkość żyła, ale w której Boga nie było, i na ostatnich jej kończynach w stronie zachodu pałało słońce schorzałego blasku, przybite wiecznie do tych samych gzymsów, i niezliczone tysiące przechadzały się w niej, wyciągając ręce ku nizkiemu słońcu.

Zaraz przy wejściu zatrzymał się przewodnik nad tłumem leżących na ziemi. Każdy miał przed sobą dołek, własność swoją, i trzymał na głowie lampę, którą ów

ciemny dołek oświecał. Tam migały rozmaite narzędzia ludzkich rzemiosł. Oparłszy głowę na dłoniach, przyglądali się im, lub wyjmowali je i kładli nazad. — Byli i tacy, których w oddali bijąca godzina śmierci zastawała nad główką szpilki, o której przez pół wieku myśleli. Dusze konających uchodziły w kształcie kół, sprężyn i lewarów, które płynąc w powietrzu, roztapiały się, jak mdłe wyziewy. — Herburt zapytał się tych ludzi: »Kto wy jesteście?«. A wszyscy podniósłszy się nieco, głuchym głosem odparli: »Najemni« i wołać zaczęli, tarzając się i tłukąc lampy swoje: »Jeśliście bogami, o których słyszeliśmy kiedyś, dajcie złota, złota!« Lecz przewodnik spojrzał na nich, jak duch na martwe bryły, i poupadali, każdy na miejsce swoje.

Teraz zdało się Herburtowi, że się grunt zaginać poczyna w przepaść jakąś, ocembrowaną krętymi stopniami; niby amfiteatr coraz głębszy, coraz ciemniejszy wciągał go w siebie i tam z dołu bił blask rozczuchranych pochodni i dymów, z lochów niknących w wnętrznościach ziemi wschodziły dzikie postacie w łachmanach, tłuszcza, zbrojna w siekiery, tu i owdzie kupiła się lub rozginała. Wśród niej przechadzali się młodzieńcy o długich włosach i brodach, ich oczy były jak drugie pochodnie. Jedni darli się w górę, wgryzując się zębami i paznokciami w ściany otchłani, inni hardzi, jak półbogi, na barkach nagich towarzyszy ostrzem sztyletów pisali słowa wolności, krew kapiącą zbierając w puharach, by ją sprzedać na miejscu i w godzinie targów. Co kilka kroków stały szubienice, a pod niemi uczono drobne

dzieci, jak przeklinać imię naddziadów. Wieszcz, przechodząc, zapytał się: »Czego chcecie ludzie?« a nie było głosu, któryby nie odpowiedział: »Złota«. Wtedy on wskazał Herburtowi grono śpiewających u brzegu otchłani na drugiej stronie i zaczął ku nim wstępować. Dźwięk strun mieszał się z ich głosami w szerokim i dzikim bezładzie, w próżniach powietrza krzepły w gęstą parę ich natchnienia i powstawał świat mglany, zawieszony w połowie między górnemi sklepieniami a ziemią. Ujrzał tam Herburt szkielety wszystkich wielkich chwil przeszłości, zwiędłe serca bohaterów i gwiazdy bezpromienne, czarne, milczące i jakoby przestwór cmętarzy, po których przechadzały się nierządnice, odpoczywając na trumnach umarłych, i złych duchów wschodziły roje niezliczone i burze tam ciągnęły bez tęcz żadnych i śniade za niemi wiły się pogody, bo jedynem ich światłem były promienie od tego niewzruszonego, dalekiego słońca. U stóp grających poetów rozciągnione leżały dziewice i młode chłopięta i za każdą pieśń upojone płaciły i za każdą pieśnią siwiał jeden pukiel wśród ich czarnych włosów. Postać Danta odwróciła się ze wzgardą i rzekła, przechodząc: »Nie oglądaj się, bo żaden z tych najemnych nie przetrwa na ziemi.«

Wtem głos potężny rozległ się od zachodu i oznajmił zbliżającą się godzinę targów. Zdało się Herburtowi, że tysiąc ech się odzywa w każdej stronie świata. Z przepaści, jak bałwany skaczące, rzuciły się zgraje, prosząc i grożąc i przeklinając, z nad jej brzegów porwały się tłumy i z najdalszych krańców świątyni biegły inne tłumy w kierunku słońca. Mijały matki,

dzieci z ich piersi kwiliły, spadając na ziemię; one się nie oglądały w biegu. Mijały syny, zostawując zgrzybiałych starców za sobą, przechodziły pary kochanków, rozłączając się, by się wyprzedzić. Książąt i panów orszaki garnęły się, dysząc i pot obcierając z czoła. Senna dusza Herburta pomyślała, że sąd ostateczny się zbliża; ale wieszcz rzekł głosem żałobnym: »To tylko sąd powszedni kupców« i przeniósł go aż na koniec odległy, kędy ci wszyscy dążyli, i złożył go w pełnem świetle słońca, a wtedy on ujrzał, że jego promienie były ze złota, a serce sadzone dyamenty. Tam na wystawie ogromnej, wysoko nad ziemią siedziały w radnych krzesłach wędrowne pokolenia wschodu: Żydy, Ormianie i Greki, czekając na przybycie ludów, w długich, bogatych szatach, z przepaską purpurową na czole. Nogi ich oparte na stosach bitych sztuk srebra i miedzi i dusze ich, w tych stosach zamknięte, niewidzialne Herburtowi były; słyszał tylko czasem jakoby stłumione wyrzuty i jęki, co się stamtąd wznosiły, ale oni wtenczas depcąc je nogami, zgrzytali z wściekłości i wracało milczenie.

Kiedy to obaczył, stało mu się nieznośnie gorzko i uczuł namiętną żądzę rozerwania snujących się przed nim obrazów. Zdało mu się, że już chłodny dech poranku ulatuje naokoło, usłyszał nawet bijącą jakąś godzinę nocy. Lecz to trwało tyle, co mgnienie znikającej myśli, bo sen wzmógł się na nowo i krążące postacie jeszcze dobitniejszą barwę rzeczywistości przybrały.

Gdziekolwiek oczy obrócił, ujrzał teraz jakoby morze ludzi, nadpływające ze wszystkich stron widnokresu, a nad ich głowami unosiła się łuna, podobna

ciemnej zorzy północnej, cień ich mąk i oczekiwań, płynący za nimi w przestrzeniach. W miarę, jak przybywały ludy, odzywał się z wystawy głos kupców, pytając się ich o dzieje dnia wczorajszego, a w miarę, jak odpowiadały, głosząc śmierci królów swoich i rzezie między bracią i miast pożogi i odkrycia mędrców, słychać było inne głosy kupieckie, oznajmujące, o ile się podniosły lub zniżyły ceny na ziemi, a wtedy z jednych tłumów szły ciężkie skargi i narzekania, z drugich wzbijały się okrzyki radości. Potem powstało wielkie zamieszanie. Bliżsi wystawy cisnęli się do jej granitowych stopni, dusząc się i gwałtu wołając, a kiedy który upadł, tratowali po ciele jego, by posunąć się dalej. — Nasamprzód wstępować zaczęli najwyżsi urzędnicy narodów z wstęgami na piersiach i z papierami w dłoni, z daleka już witając ukłonem stojących na szczycie handlarzy. Za nimi szła szlachta dawna, niosąc w ręku stare ojców zbroje, i stanąwszy, usiadła na połowie wschodów. Tam z herbów wydzierali ostatek tlejącej pozłoty, by ją zanieść kupcom, a kiedy rdzawe tylko żelazo zostało, miotali je na dół i straszny łoskot powstawał z rozlatujących się tylu puklerzy i szabel i hełmów. Depcąc po ich szczątkach, wdzierała się tłuszcza, podając sobie nawzajem usłyszane ceny, a każdy, co stanął u szczytu, zapytany przez kupców, odpowiadał wartością towaru swojego, bo żaden z nich już nie miał nazwiska przed ludźmi, tylko nosił imię wyrobu jakiegoś. Nieustannie jedne mnóstwa wschodziły, drugie zstępowały, przedając i kupując, licząc i targując, i świat cały był jako giełda jedna i świata panami byli wekslarze i Żydzi!

Zdało się Herburtowi, że duch wieszcza zbladł wtedy ze smutku i rzekł: »Piekło dawnych czasów nie bolało mnie tyle« i że wskazał mu w oddaleniu jakoby mgłą przesłonione szerokie cmętarze, z których czołgali się ludzie, jak tysiące gadzin bladych, ku złotemu słońcu, lecz pełzając, konali z niemocy i głodu; ich ostatnie westchnienia płynęły, jak drobne chmurki, i snuły się nad wystawą, a osiadając na dyamentach słońca, roztapiały się na łzy i krople krwi, spływające po ścianach, lecz nikt nie patrzał na nie. I rzekł Dante: »Każda z nichby teraz świeciła w wieczności, gdyby w ostatniej godzinie byli westchnęli do Boga«. Po tych słowach porwał Herburta i unosząc go nazad w przestwory ciemności, sam rzewnie płakać zaczął. Lecz jego postać niewidzialną się stała i żale jego coraz cichsze były i przymieszały się do nich inne szelesty, aż marząca dusza się przebudziła wśród odgłosu kroków i rozmów, który się wzmagał z dniem przybywającym na przyległych ulicach.

Kilka godzin minęło, nim Herburt z snem się swoim rozbratał, choć poszedł pod lipowe ulice, kędy wody pili, choć się przywitał ze znajomymi, a sto nieznajomych nowo przybyłych obaczył. Widok jednak był jedyny: Francuzów słomiane kapelusze, Anglików białe, Niemców czarne szły i wracały; Niemki, jedne prosto, drugie śmiesznie, Polki, jedne niegodziwie, drugie prześlicznie ubrane, szły i wracały. W portyku, okrążającym źródła, grała muzyka Freischütza,[1] Ro-

[1] *Freischütz* (Wolny strzelec) — opera K. M. Webera.

berta,[1] Normę[2] o szóstej zrana, a kiedy siódma uderzyła na przyległej wieży kościelnej, zaczął się finał Don Juana.[3] — On wtedy, nie czekając przybycia czartów, porzucił zgromadzenie i poszedł w pole i most przeszedł nad rzeczką i zapuścił się w góry. Sen, jak cień za ciałem, stąpał za jego duszą! —

Kiedy się nam sprzykrzy braterstwo wielomownego rodu ludzkiego, idziemy do milczącej siostry naszej, natury. Ona wyszła z tego samego, co i my, dalekiego domu i skromniejsza, dotąd przechadza się po przestrzeni w dziewictwie tajemnic; ona równie, jak my, szuka straconego ojca. Upłynęły wieki wieków, nim odgadliśmy, że tylko pozorem śmierci uśpiona przed nami, jak Julietta[4] w grobie. Kiedyż się przebudzi na wołanie nasze? Kiedyż usta ducha naszego spoczną w pełni na jej niewieścich ustach? Ach, w tym świętym uścisku, w tej chwili pojednania nad dziećmi szukającemi objawi się i Ojciec! Teraz, siostro, ile razy spoglądam na twe senne wdzięki, ile razy muśnięciem wonnem twych warkoczy ćmisz mi oczy i znikasz przedemną, czuję, jakobym niegdyś, dawniej, nie wiem, gdzie i kiedy, już bliżej chadzał ciebie i dłoń twoją w mojej trzymał i głos twój słyszał na wzór dźwięków harfy o strunach nieskończonych, i zdaje mi się, patrząc na promienie gwiazd, że to dawne te złote, oniemiałe struny!

Czy to samo, czy co inszego, czy wcale nic Her-

[1] Robert Dyabeł — opera J. Meyerbeera.
[2] Norma — opera W. Belliniego.
[3] Don Juan — opera W. A. Mozarta.
[4] Julietta — bohaterka tragedyi Szekspira p. t. »Romeo i Julia«.

burt nie myślał, zgadnąć nie potrafię, bo twarz miał zadumaną, a twarz zadumana wszystkich tych stanów duszy jest zarówno znamieniem. Co raz nowe okolice wydobywały się [z] za wzgórzów, które szły naprzemian w rozsypkę, to znów się zgęszczały. Tu i ówdzie snują się zboża i łąki, młynów wodnych słychać szumy wśród topól i brzóz płaczących, dalej samotnieje kraj, podwyższają się góry ; już smutne jodły, już mchu bladości przebijają na ich pniach ciemnych i nieba mniej widać w wąwozie i już sęp waży się na skrzydłach, jak plama czarna, wśród bezchmurnego błękitu. Herburt szedł, jak gdyby widział jeszcze przed sobą postać Danta, bo coraz dalej i śpieszniej, nie czując, zdaje się, wzrastającego upału, a twarz jego smutna była, jak plama czarna wśród cichej i pogodnej doliny!

Już mi nóg nie staje, by dotrzymać jemu ; wrócę i poczekam u mostu nad rzeczką, która płynie wśród lip niedaleko źródła, kędy pić chodzą ludzie codzień rano i w wieczór po sześć szklanek zdrowia. Stąd widzę ich domy, powozy, stajnie, widzę ich samych wychodzących i wchodzących. Sześcioma końmi księżna jakaś panująca (tak się mówi z grzeczności, bo wiem, że w istocie zwać-bym ją powinien medyatyzowaną [1]) na przechadzkę jedzie. Jednym koniem tam lord jakiś pędzi, wsparłszy się całą siłą na strzemionach, ruchomy, jak pompa. W portyku, gdzie nad waltorniami schylona drzemie muzyka, wniesiono teraz stoły i kilka równoległoboków

1 Księżna medyatyzowana — żona księcia niegdyś panującego, który stracił swą niezawisłość.

żywych zasiadło do wista. A jakże mi miło! Oto pan graf Fasalski w własnej osobie kroczy, słodkie rzucając dowcipy w ucho hrabiny niemieckiej. Kiedy kto mu się ukłoni, on po wojskowemu ręką tylko dotyka się kapelusza, potem przeprasza, natychmiast dodając: »Zwyczaj drugą staje się naturą«. Co tak błyszczy czerwono u jego pętlicy? Krzyż zapewnie, z pola bitwy chlubna pamiątka. Kiedy go się kto zapyta ze starych, w jakiej uzyskan potrzebie, on natychmiast strząśnie tasiemkę i rzeknie: »Jakiś gałganek żony mojej, jak pijawka, przypiął mi się do suknі«. Lecz godziny mijają i niema Herburta. Puste już lipowe ulice, mężczyźni fajki palić poszli, a to potrwa długo — damy się ubierać, a to potrwa dłużej. — Z nudy zasnę — jak miła mi prawda, zasnąłem — dajmy, żem spał dzień cały. Teraz się przebudzę, spojrzę, aż tam zachodzi słońce wśród winnic, a tu on wraca z pola. Choć noc blizka, więcej dnia i jawu było na jego twarzy, niż z rana — w oczach, jak na niebie, powschodziły mu gwiazdy wieczornej gorączki. Przeszedł most i minął źródło i wszedł do kurhauzu. — Tu mnie wyrzut chwyta za sumienie: powiedziałem »kurhauz«, a wiem, że polski język codzień w przeczyste bogaci się słowa: już mu gędźba zastąpiła muzykę, deszczochronem wydobył się z pod parasola, jak z deszczu pod rynnę, akademie wszystkie przezwał wszechnicami. Miłosierdzia wołam, podskarbiowie języka mojego! darujcie mi, czyściciele czyli puryści, a klęcząc obietować[1] wam będę na przebłaganie wyraz l e k o d o m.

[1] O b i e t o w a ć (wyraz staropolski) — ofiarować.

Nim jednak rozstrzygniecie, czy go użyć mogę i powagą waszą pleców mi dodacie, by ze mnie gmin nie szydził, kurhauzem obywać się muszę. — Tymczasem już Herburt minął schody, kilka izb długich przebył i stanął w sali, kędy około zielonego stolika cisnął się tłum graczów, a bankier posępny i zimny z szpinką dyamentową ciągnął w świetle jaskrawej lampy czarnych i czerwonych[1] losów osnowę.

Herburt przywitał sie z panem Perseuszem, który co kwadrans jednego rzucał talara — znał go bowiem z widzenia, lecz nigdy dotąd nie był u niego, ni z żoną nie mówił — potem sypnął kilkoma dukatami i zostawił je na czerwonem suknie i obejrzał się na stojących. — W kościele i w domu gry, przed opatrznością i przed losem równymi są ludzie. Stali tam pospołu wieśniacy, rzemieślnicy i pięknie wystrojone panie i bogate pany. Dwóch jednookich szulerów siedziało z głowami pochylonemi na kartkach, gdzie spisywali ołówkiem prawdopodobieństwa trafy. Los, jak wściekły, rozpaczny szaleniec, gniótł im karki, oni go chcieli przypowiastkami odwrócić. Kto mi grę wytłumaczy, ten i świat odgadnie. Przegrana i wygrana to życie nasze, to radości i bóle, to natchnienia próżni mieniące się chwile, to przeszłość i przyszłość, dwa sny, połączone jedną nędzą, jawem teraźniejszości! Taką nędzą była Herburtowi teraz suma, którą wygrał, sześć razy dotrzymawszy czerwonego pola; wziął ją w ręce i znów rzucił, odrazu ją stracił — wszystko

[1] Mowa o hazardowej grze w karty, zwanej *Rouge et noir* lub *Trente et quarante.*

mu jedno było; oczekiwanie, niepewność było mu rozkoszą lub cierpieniem — i przeszedł do blizkiej komnaty, kędy graf Fasalski, miotając kelnerami na wszystkie strony, wieczerzał w gronie dobranych przyjaciół. On im na dziesięć »dobrych wieczorów« lekkim odpowiedział ukłonem i siadłszy przy blizkim stoliczku, kazał przynieść sobie lodów i szklankę madery.

— Czyś Pan Hrabia gdzie nie widział markiza de Mortemar? — zapytał pan Fasalski głosem, nastrojonym na nutę szampańskiego wina.

— Nie, wracam z stron, kędy on nie bywa.

Wtedy z nad zaczepionej słomki[1] podniósł głowę siwą, jak gołąb, książę Wallenstein i dodał:

— Gdzież ten Mortemar może bawić tak długo? Trzy świeże talie dla niego przyniosłem w kieszeni.

Tu wyrwał się młody Francuz, grzebyczkiem poprawiając wąsy:

— On wszystko świeże lubi prócz kart, Mości Książę.

Pierwszy graf Astolf śmiech zaintonował, a za nim wszyscy huczno wrzasnęli. Potem rozmowa toczyć się zaczęła o powozach angielskich, po kilku minutach przeszła do polowania, stąd nieznacznym spadkiem do sławnych tanecznic, wreszcie stary książę wszczął z sąsiadem sprzeczkę o to, czy lepiej duszone w krwi, czy na sucho pieczone jeść kuropatwy. Podzieliły się zdania przytomnych. Pan Fasalski, który przed półgodziną kupił był karetę w Londynie za tysiąc dukatów, przed dwudziestą minuty zabił własną ręką sześciu niedźwiedzi, przed kwadransem pannę

[1] Słomka, właściwie słonka — gatunek ptaków błotnych.

Taglioni[1] znał w Paryżu i kochał i płacił, teraz rzekł, iż w domu bulionem z kuropatw dwór cały żywi, sam zaś tylko jada pasztety z dubeltów.

— Mortemar, Mortemar! — krzyknęli wszyscy, napół zrywając się z krzeseł. Blady i ponury w białych rękawiczkach, z cygarem w ustach, stanął pomiędzy nimi Francuz, jak sokół pośród stada kaczek. Starszych przywitał grzecznie, młodszych opiekuńczo. Chcieli mu przyciąć, ale ich żywe koncepta zmarzły w jego lodowatem szyderstwie.

— Przepraszam, żeście tak długo czekali. Wiecie, że Erdödy[2] nogę zwichnął, sam jest, nudzi się w domu; dotąd z nim grałem w makao.[3]

— Oto świeże talie — rzekł książę.

— Bardzo mi miło — odparł — bo też moje się już wysłużyły — i to mówiąc, własne wyjął z kieszeni i przez okno wyrzucił, potem usiadł przy siedemnastoletnim młodzieńcu, który znać wiedzion jego ręką, wstępował w życie. Dobre, błękitne oczy i czoło gładkie dziwnie odbijały przy czarnych źrenicach i przekwitłej twarzy Francuza. Niewinność, umizgająca się do bezczelności w nadziei, że dostąpi godności męża — stare to dzieje. Jednak oburzyły Herburta, wstał, by się oddalić.

— Hrabio — krzyknął Mortemar, rzucając za nim wzrokiem, jak śmigającą kosą — czy nie poczekasz, aż zjemy i zaczniem?

---

[1] Marya Taglioni — słynna tancerka (ur. 1804, um. 1884).

[2] Erdödi — stary i możny ród hrabiów węgierskich.

[3] Makao lub maczek — rodzaj hazardowej gry w karty.

— Dziękuję, nie grywam, tylko w tamtej sali przy publicznych bankach — ze znajomymi nigdy, bo z przyjaciółmi smutno a z nieprzyjaciółmi wolę się wystrzegać.

Musiało już być około dziewiątej, księżyc świecił na czystem niebie, zewsząd z ogrodów płynęły wonie; akacye, pośród których teraz Herburt stąpał, zdawały się każdym niewzruszonym listkiem pić światło nocy. Jemu było źle; szedł, nie czując znużenia po dniu całym przechadzki, a czemu źle, tego nie powiem. Może jeszcze pamięć snu, może wspomnienie kochanki, może widok dopiero co opuszczonych ludzi, ale te wszystkie może mają się do jednego tak, jak tysiąc zer do jedności! To tylko pewna, że czy z umysłu czy przypadkiem, szedł prosto ku gotyckiemu kościołowi, który stał tam za miastem na małej wyniosłości wśród białych murów cmętarza.

Widzę dotąd tę noc miesięczną, tak cichą, tak lubą i to wzgórze bladej zieloności i te stopnie z murawy i nad nimi bramę, wiecznie otwartą do cichych mogił umarłych, i zaraz przy wejściu domek grabarza i dalej krzyż wysoki i posąg Matki Boskiej klęczącej przed nim — i grobów, kwiatami otoczonych, bielejące rzędy — wszystkie w pokoju, jak dzieci, poziomego wzrostu, zdają się klęczyć przed starym kościołem. W oknach jego długich szklnią się księżyce, w głębi czarne widma kaplic i kostnica pod włosami wierzb cienistych.

Prześcignąłem Herburta; on jeszcze na drodze, on dopiero stóp dochodzi wzgórza.

Wtem krzyki: »Pies wściekły! pies wściekły!« podniosły mu schyloną głowę. Nikt prędzej, jak on, nie

umiał z zadumania rzucić się w czyn i z ruchu nazad wrócić do świata myśli. Spojrzał, naprzeciwko kilku wieśniaków ujrzał zeskakujących z drogi. Dwie tylko niewieście postacie na jej środku zostały. Ogromny pies, lecąc, jak strzała, dolatywał do nich; on skoczył im na pomoc, dobywając sztyletu, który zawsze nosił przy sobie na pamiątkę tej, co mu go dała. Kiedy przypadł, już jedna przyklękła z niemocy; druga stała, trwogą w posąg przekuta, a pies jej szal rozdzierał zębami i pazury: on lewą zastawiając się ręką, pchnął go prawą trzy razy pod gardło i spienionego obalił. Błyskawicą, snem, mgnieniem się to wszystko stało. Teraz podał im obu ramię i rzekł:

— Wróćcie, Panie, do zmysłów! — i wtedy dopiero poznał Julią Horyńską i pannę Kazanowską—a zatem dodał:

— Szczęśliwym, żem z drogi dwóch Polek tę zawadę usunął.

— Dzięki! — zawołała Julia — dzięki — ach! gdyby chwilą później... taka śmierć okropna... i głosu jej nie stało.

Lecz przy świetle księżyca on ujrzał jej twarz płonącą i w jej oczach uwielbienie męstwa jego i na ustach niedomówioną wdzięczność, nazad schodzącą do serca wraz z opadającym rumieńcem. Herburt nie był ani świętym, ani filozofem; miał on wszystkie wysokości i wulkany dusz ludzkich w sobie, tem samem i doliny między niemi, a w nich ukryte nory, pełne miłości własnej, silnej i znikomej, jak para. Hołd milczący, który mu złożyła Julia, spadł mu na serce wzorem listka róży i jak listek róży, zwiądł natychmiast potem, bo on zwyczajny był iskrom

w oczach piękności i pochwałom w ustach mężów. Zostało tylko błędne rozrzewnienie w duszy jego, oznaka chwilowego szczęścia, poczucie się do tego, że dwoje istot od zgonu wybawił! —

Ciotka prędzej odzyskała mowę, niż siostrzenica.

— Jam tego prawdziwie niewinną przyczyną; ona iść nie chciała, jam wyciągnęła. Ależ jakże siedzieć w domu, kiedy Niemcy w pozłocie księżyca wydają się Włochami i te krzaki dalekie jakby gaje pomarańczowe, te odległe wyziewy jak Trazymeńskie jezioro...

Herburt tu jej przerwał bo był zdania *ne sutor ultra crepidam,* a oczewiście panna wpadała w poezyą:

— I te kartofle naddrożne jak winnice — potem nagle zapytał:

— Gdzie Panie odprowadzić się każą?

— Przed kościół — odpowiedziała Julia — by tam Bogu podziękować, a wstawszy, jeszcze raz Panu.

Herburt, jak stał, tak poszedł ku wzgórzu z Julią, opartą na lewem, z ciotką, na prawem ramieniu. — Choć trudno dać temu wiary, ostatnia już się nie odezwała. — Wstępowali wszyscy troje w milczeniu, cienie ich czarne snuły się za nimi. I było coś tajemniczego, niewypowiedzianego, cichego koło dusz ich w tej chwili, jak gdyby głos anielski szepczący: »Pokój wam!«

Już przeszli bramę, już rosa kwiatów cmętarzowych letnim chłodem oblała im nogi, zbliżali się do krzyża. Patrząc na nich okiem pamięci, chciałbym przynajmniej dwojgu[1] z nich zatrzymać, nim tę mogiłę, krzewem bzu zasadzoną, przestąpią; chciałbym snem ma-

[1] Powinno być: d w o j e.

gnetycznym uśpić ich na długo w tej pierwszej chwili poznania i wielkiego pokoju, bo zdaje mi się, że później im się już nigdy druga taka niepojęta i luba nie zdarzy — ale cóżby się z powieścią stało? Dalej więc, dalej.... I otóż Julia, dłoń wysuwając z pod ręki Herburta, krzyknęła — na jej rękawiczce świeże czerwone nabrzmiewały krople: »Zgubionam!« Lecz on swoją rękę także ujrzał zbroczoną, wzniósł ją do góry i w pełni miesięcznego blasku dostrzegł na jednym z palców lekkie zadraśnięcie i znak zęba ledwo już widomy. Karol XII[1] byłby się wzdrygnął na takie odkrycie; zbladł też i Herburt.

— Nie ty — zawołał — ale ja; nie twoja to krew, ale moja, Pani!

Julia nagłym, mimowolnym podrzutem skoczyła i porywając go za rękę:

— Gdzie, gdzie rana? — zapytała rozdzierającym głosem.

Lecz on ją odepchnął:

— Nie dotykaj mi się, uciekajcie odemnie!

Wtedy schylając głowę niżej od głowy Bogarodzicy, klęczącej przed krzyżem:

— O, ratuj — zawołała — Matko litości, tego, który nas ocalił!

Potem się zrywając z murawy:

— Śpieszmy do miasta — rzekła.

Lecz na więcej sił jej nie stało po tylu niespodzianych wzruszeniach, musiała usiąść na mogile w ob-

[1] Karol XII, król szwedzki (ur. 1682, zm. 1718), znany z szalonej odwagi.

jęciach panny Kazanowskiej. Herburt gorzko powtórzył słowo »ratunek«.

— Pół godziny do miasta; przed pół godziną jad w moich żyłach będzie. Tu albo nigdzie na ziemi zbawienie moje — i rzucił się ku domowi grabarza; ale znać gospodarz nie wrócił dotąd, bo w oknach ciemno, bo pies tylko w sieniach zaskowyczał. Drzwi chciał wysadzić, żelazne rygle się nie dały. — Odskoczył, z cienia wyszedł znów na światło miesięczne, zdało mu się, że wśród plam księżyca widzi istotę jakąś spętaną, konającą w rozpacznych podrzutach. Spuścił oczy w dół, cmętarz cały wydał mu się ciemny, jak duo grobowe, oparł się o krzyż i rzekł sam do siebie:

— Przepowiedziano mi w dzieciństwie, że zginę gwałtowną śmiercią; czemuż nie na polu bitwy, za tych, których ukochałem? — I złożył ręce na stopach Zbawiciela, czując, że mu coraz zimniej i smutniej.

Ale nagle cała siła ducha wystąpiła na lica jego. O kilka kroków dojrzał dół świeży, przygotowany jutrzejszemu gościowi, nad nim migocącą siekierę. — Skoczył i porwał ją z ziemi. Siła ducha przez chwilę kołysała się w jego oczach, jak niepewne światło, przez chwilę jeszcze usypiał woli przemocą wstręt nieporównany, lecz kiedy zawołał: »Odwróćcie się, nie patrzcie!« głos jego już był spokojny. — Oparł lewą rękę na kracie poblizkiego pomnika, potem w prawej wzniósł żelazo i jednym zamachem uciął palec skrwawiony. Wlokła się k niemu Julia, drżąc i jęcząc i załamując dłonie, nie słyszała krzyku ni słowa żadnego. On się tylko pochylił i upadł zemdlony.

III.

Jeśli mnie się kto spyta teraz, czy osobom, publiczności przedstawionym, ułożyłem jaką przyszłość w głowie mojej, czy choć błędnie widzę, jak gwiazdę za mgłami, cel, do którego dążę, odpowiem stanowczo, że nic nie wiem i nic nie widzę. Nie jestem ja z tych pisarzy, co przewidzieli każdą barwę, mieniącą się na licu swoich bohaterów, co tak ich skrępowali, że martwe tylko machiny, wyrachowane na każdą kartkę i rozdział, miasto dusz nieśmiertelnych trzymają w ręku. Ja piszę, jak żyję, wraz z towarzyszką moją, ludzkością całą, nie wiedząc, co się stanie jutro.

Od wieków dwu rodzajom wieszczów przygląda się ziemia. Jedni pojęli, co zewnątrz nich żyje, drudzy czują własne wnętrzne ducha głębie. Pierwszych ludzie sztukmistrzami przezwą, bo tęcza z tysiącznych barw świata igra po ich strunach, brak tylko jednej: za strunami lutni nie widać ich serca! Jak woda — kształtów wszystkich sługa a żadnego pani, jak dusza bezwolna w snu cudownych przemianach, jak bóg starych Indyan i współczesnych mędrców, tak każdy z nich wszystkiem wszędzie, nigdzie sobą samym. I choć stu postaci po sobie zostawią imiona, własne ich imię samotne martwem słowem będzie. Kto ich oglądał kiedy na polu bitew? Jakich serc namiętnych przylgnęły do ich piersi grona? Czem oni wśród ludzi? Ach! patrzcie, w zwierciedle mijają obrazy, odbite w całej chwale piękności i prawdy; przeszły, cóż po

nich zostało? Nicość mdłego blasku tylko, szklannej przejrzystości próżnia! I wiatr ślepy zamąci piany na falach, tchem wiosny róże wywoła w dolinie; one kwitnąć będą, a on sam zginął i sam nie wie o nich! Czemże taki wieszcz wśród ludzi? — Może gromem burzy, może światłem wschodu, może rosą opiekuńczą niebios, lecz żaden z nich wśród braci nie był nigdy bratem!

Drudzy, pełni krwi bijącej, wyrośli w silniejsze ramiona i świat jeden ogromny trzymają w objęciach, własnych trosk i żądz i pociech nieskończone dzieje! Łza litości im z ócz własnych płynie, krzyk »Do broni!« zerwie się na ich ustach, włożą im na dłonie kajdany za to, że całą duszą kochali! Ale sztuka cierpliwa, jak starzec, zimna, jak samolub, twarda, jak rzeźbiarza dłuto, skąpi im zebranych chytrą pracą skarbów; nocy bezsennych jadem zmęczone zrzenice daleko, szeroko nie sięgają zewnątrz, tylko patrzą w przepaść, tylko patrzą w siebie, bo tam mąk rozwieszone lampy kołyszą się wśród cieniów, tam serca ich podrzuty drgają w połyskach jaskrawego światła. Z tych głębi wschodzi każda gwiazda ich śpiewów. Jeśli płonie dziko, to ich krwią zbroczona; jeśli pędzi chyżo, to ich siły pełna; jeśli słodka, jasna, to tych, których kochali, owiana wspomnieniem. Pierwszym nie dowierzaj, choć ich imię nieśmiertelne, bo wydadzą cię, jak dziecko, zdradzą, jak kobieta. Kocham Romea[1], a Szekspirowibym dłoni nie podał. Za

[1] Romeo — bohater tragedyi Szekspira p. t. »Romeo i Julia«.

Małgorzatą[1] pójdę do więzienia, idącbym salon Göthego ominął. Drugich się nie lękaj; może chwała, co dzisiaj goreje im nad czołem, przejdzie, jak wszystko, co na ziemi siłę, wieczność w jednej chwili zwarło, jak rozpacz, miłość, jak Etny płomienie! Lecz dopóki żyją, gotowi, wierni, pójdą, kędy pieśni swoje przesłali przed sobą; nie ujrzysz ich księżycem blednącym u nizin zachodu, kiedy ich marzenia wschodzą, jak słońce z drugiej strony niebios, bo każde ich natchnienie obietnicą świętą. Wolno wam Don Juana[2] nie cierpieć, lecz do Grecyi — do Grecyi popłyńcie z Byronem.

To wszystko jednak o nitkę jedną osnowy mojej nie poprzędzie dalej. Jakem stanął, tak stoję dotąd i gdyby na nieszczęście w tej chwili powstał jaki recenzent czyli człowiek podobny do much, co szukają wszędzie zgnilizny, osądźcie sami, coby się ze mną stało. Zrazu nadąłby się straszny sędzia, jak wekslarz, kiedy mu targowe ceny sprzyjają, otucha zwycięstwa mignęłaby na jego okularach i rzekłby głosem cnotliwej matrony, co ubolewa nad młodą mężatką: 1-o Autorowi zaprzeczyć nie można zdolności i wyobraźni. 2-do Jednak powinienby wiedzieć, że każde dzieło sztuki, jeśli się nie rusza, umiera. 3-o A zatem autorowi radzę, by przestał pisać, bo sądząc z niniejszego utworu, brak mu zupełnie na potrzebnych zdolnościach i wszelkiej wyobraźni.

---

[1] Małgorzata *(Gretchen)* — bohaterka utworu dramatycznego Göthego p. t. »Faust«.

[2] Don Juan — bohater poematu Byrona pod tymże tytułem.

Chciałbym wiedzieć, czy kto z was był w Rzymie, czytelnicy moi. A kiedy mi który odpowie: »A pewno«, to go się dalej zapytam, czy widział cmętarz angielski pod murami miasta, w cieniu piramidy Cestyusza[1]. Tam kilka postaci, przybyłych z mglistej wyspy po promienie słońca, śpi wśród wiecznej nocy. Róż wdzięczne rumieńce, murawy cichy kobierzec marmurów białe, lodowate lica, rozmarynu poziome gałązki pamiętacie zapewne; lecz może uszedł wzroku waszego kamień, tam wśród wielu innych leżący, z napół wytartym nagrobkiem: »Tu spoczywa młody poeta[2], zawiścią nieprzyjaciół zepchnięty do trumny, który w ostatniej godzinie żądał, by ten jedyny napis stał na jego grobie: »Imię moje oby na falach wyrytem było«.

Po Johnie to Keatsu jedyna pamiątka. W tym samym czasie, co Byron i Shelley[3], i on podlatywać zaczął. Lecz oni orłami później słońcu spojrzeli w oczy; on, jak skowronek, raz tylko zanucił i padł, śrótem przekłuty. Krytycy edymburscy mordercami jego; czytając ich wyrok, zbladł, zwątpił o świecie ducha własnego i skonał. Nie myślę iść za jego przykładem; recenzentom oświadczam, że nie dbam o ich sądy, a jeśli

---

[1] Piramida Cestyusza — grobowiec w kształcie piramidy C Cestiusa, zmarłego przed rokiem 62 przed Chr., obok *Porta s. Paolo (Porta Ostiensis)*, w pobliżu cmentarz protestancki.

[2] John Keats (ur. 1795, um. 1821)—poeta angielski, autor »Hyperyona«; »zabiły go suchoty i krytyka« (Słowacki). Sam sobie skreślił nagrobek: »Here lies one whase name was written in water«. »Tu spoczywa ten, którego imię pisane było na fali«.

[1] Percy Bysshe Shelley (ur. 1792, um. 1822) — poeta angielski autor »Prometeusza«, »Rodziny Cencich« i i.

im ofiar trwożliwych koniecznie potrzeba, niech dyliżansem pojadą do Rzymu, by hymn zwycięstwa zaśpiewać ponad grobem Keatsa! Ze mną nie tak łacna sprawa; wosk i lak tylko topnieją pod płomyczkami świec, jedno serca dziewcząt dostają konwulsye w salonach, uczniom szkolnym tylko straszne są Pamiętniki, Pszczółki, Przeglądy[1] i te wszystkie, jak księżyc, raz na miesiąc lub, jak ciasteczka obiadowe u Niemców, raz na tydzień wychodzące poszyty. Zresztą nie wiem, coby za prawo sobie mogli rościć do mnie? Albożem z braku myśli się zatrzymał? Owszem, owszem dla ich natłoku, dla nawału zdarzeń, wypadków, pomysłów, musiałem na chwilę odetchnąć! Patrzcie, nie wiem, co z nich wybrać. Mógłbym wam pokazać w świetle miesięcznem grabarza z synem, niosącego Herburta na plecach, ale tegoście się już domyślili zapewnie! Mógłbym, zostawszy z tyłu, towarzyszyć Julii i pannie Kazanowskiej do domu, tam u wejścia spotkać pana Perseusza, widzieć jego gniew, podziw, oburzenie, kiedy się dowiedział, że ktoś więcej, a nie on, żonie życie ocalił, kiedy przewidział, że ten ktoś w progi dotąd samotne będzie uczęszczał; stąd więc napominania i skargi: »Czemuś wyszła na przechadzkę, przecześ się w cudze powierzyła ręce?« dalej groźby: »Ale niech sobie ten pan pamięta, że choć on psa zabił, ja go, jak psa zabiję, jeśli...« następnie oświadczenia: »Bo widzisz, Julciu, ja cię tak, tak — tak kocham!« Julia stała, bledsza jeszcze, niż

[1] Pamiętniki, Pszczółki, Przeglądy — nazwy czasopism, które w owych czasach wychodziły, umyślnie ogólnikowo wymienione.

w chwili niebezpieczeństwa, nie była to jednak bladość trwogi. — Ale to wszystko tak głośnem później stało się w Polsce całej, że nie mam co opowiadać; każdy wie o tem. — Nie tyle znajoma gorączka trzydniowa Herburta i dzikie obrazy, które snuły się przed nim i boleści nieznośne, których doświadczał. Lecz o niej doktór tamtejszy Fabrycy szesnaście recept napisał i jeden artykuł w lekarskim dzienniku; zatem ja milczeć będę. —

O Malwino Fasalska, bądź więc mi tej pieśni treścią! Ty albowiem żyjesz ciągle i czuwasz, kiedy drudzy chorują lub płaczą. Gdzie kto jest, musisz być z nim razem i jeszcześ obecna, gdzie nikogo niema. Co się kiedy stało bez ciebie? Ksiądz, w kościele mszę czytając, myśli o tem, coś mu powiedziała wczoraj, ambasador pisze zeszyt dyplomatyczny pod wpływem twych uwag. — Panna służąca, ubierając panią, ochmistrzyni z dziećmi na przechadzce, lekarz, naradzając się z współuczonymi, kapitan na służbie w koszarach, nie domyślają się sami, że twój duch ich wiedzie. Co twój rozum może! Ty jedna wiesz tylko i powtarzasz nieraz, że w królestwie niebios głupca żadnego nie będzie. Potem, składając nabożnie dłonie, szlesz wzrok nadziei ku Bogu. O radbym cię wynieść nad wszystkie niewiasty i pokazać światu!

Kiedy wszedł zrana pan Astolf do siebie i krzyknął: »Nowina«, porwałaś się z sofy, na którejś leżała; kiedy ci opowiedział rzecz całą, odzyskałaś na chwilkę świeżość, którąś słynęła przed dziesięciu laty; wnet jednak dodałaś z westchnieniem:

— Biedna Julia, Julina moja biedna!

— Zapewnie, bo choć strachu nigdy jeszcze na świecie od urodzenia nie czułem, jednak pojmuję, że się Horyńska musiała na widok psa tego gracko przerazić.

— To nie to, mój domyślny Astolfie; tu jeszcze coś gorszego zachodzi: z tego kłębka wysunie się nić długa trosk i niepokojów dla niej, kto wie, możeby lepiej, gdyby była zginęła. Ona taka niewinna, złego się nie strzeże, bo złego się nie domyśla. Herburt młody, pałających oczu, mówią, że rozumny. Ot! widzę jej przyszłe losy, jak gdyby przedemną w tym pokoju, naprzykład na tej mapie, którąś wczoraj rozwinął, leżały.

Pan Fasalski pokręcił wąsa na znak, że nie zrozumiał.

— Patrz! — odrzekła Malwina, spuszczając palec proroczy i zajmując nim całą przestrzeń od Rzymu do Genui — Włochy—to serce Julii, kiedy ci już tak trzeba najłatwiejsze rzeczy tłomaczyć. Dajmy, że z drugiej strony Dania—to serce Herburta, bo serce mężczyzn zwykle siedzi wśród lodów. Hamburg niechaj wystawia osobę pana Perseusza. Może słyszałeś kiedy, że ludy północne zawsze dążą ku południowi, że południe, osobliwie Włochy słabo się opierają, a że po drodze wszystko w gruzach leży, teraz sam powiedz, co się stanie z Hamburgiem, tem bardziej, że miasto nieprzyjaźni, teraz Włochy wdzięcznością przepełnione ku —

— Danii — przerwał Astolf naprędce, chcąc jasnym dowodem przenikliwości zajaśnieć. — Zresztą kiedy

kto dostał za męża taką figurę, jak Perseusz, to dalibóg, nie dziw żaden, jeśli się w drugim pokocha.

Malwina spojrzała na Fasalskiego wzrokiem szyderskim:

— A ty co? — i dodała:

— Może jej lepiej będzie z Herburtem, atoli trudna ścieżka ją do szczęścia dowiedzie. Rozwód — tak, rozwód jedynym środkiem, a zatem niech się tylko mnie trzyma, ja jej do rozwodu pomogę.

Rozgniewany pan Astolf żony poprzedniem spojrzeniem, ujął się za boki pięściami.

— Mościa Dobrodziejko — zawołał — chciałabyś rozwieść wszystkie mężatki, by tobie potem łacniej poszło ze mną — rozumiem.

— Nie zaprzeczam — szczerą mnie znałeś zawsze i taką pozostanę do grobu.

Tu Fasalski spojrzał w niebo, jak gdyby chciał szukać sprawiedliwości w piorunach, co przypadkiem grzmiały podczas tej rozmowy. Ona dalej ciągnęła:

— Spojrzyj się w zwierciadło, a przekonasz się, że mimo gniewną postawę straszny wcale nie jesteś, przynajmniej dla mnie; proszę cię, nie udawaj Ajaksa.

To stało się hasłem do boju. Nadął się graf naumyślnie, by mu się oczy roziskrzyły i rozgorzały lica, kiedy uczuł krew bijącą do skroni, zaczął tupać nogami, porwał za krzesło: krzesło przeklęte nie pękło — porwał za filiżankę: szkoda jej stłuc, bo zawczoraj drogo ją zapłacił; porwał więc za szal żony, leżący na fortepianie i rzucił w kąt; potem się odezwał:

— Przez honor mój i jak kocham ojczyznę, przez wszystkich czartów, *parole d' honneur!* nie wytrzy

mam dłużej z taką czarownicą. Tyś mi życie całe zatruła, od lat ośmiu cierpię i męczę się; czas, bym znowu był panem w domu, i będę panem i nauczę ciebie. Ha! rozwodu się Pani chce, by potem świat cały żartował ze mnie!

Pani Fasalska siadła i wyciągając nogi, legła na sofie.

— Pan się mylisz; jeśli pragnę rozłączenia, to na to, iżby szczęście jego mogło się ustalić z tą hrabiną niemiecką, rozwódką także, której Pan tyle pięknych czynów życia swojego opowiada, jedno w drugie licząc, przez dziesięć godzin na dzień.

— To grzeczność, Pani, jedynie tę przyzwoitość mi nakazuje towarzyszyć znajomej osobie, kobiecie wielkiego urodzenia, z którą się zapoznałem i która zdaje się, lubi mnie słuchać — odparł znacznie już zmiękczonym głosem i podstąpiwszy bliżej, rzekł zupełnie łagodnym:

— Widzisz, znasz mnie: żywy jestem, unoszę się, jak proch bucham, lecz to z czułego serca pochodzi; przecież nie możesz wątpić, że ja kocham ciebie.

— Kochałeś mnie, Astolfie — odrzekła z uśmiechem zwycięstwa — dopókiś nie zjadł Wólki Szawelskiej; potem wzrosła twoja miłość do klucza czernickiego, a kiedy i ten zadłużyłeś, co ci po mnie dalej? Zostało mi się niewiele. Wkrótce stary twój ojciec umrze, skąpstwem jego nazbierane dostatki przejdą w ręce twoje; możesz być jeszcze szczęśliwym, ale nie zemną, z drugą jaką. Wierz mi, bądźmy przyjaciółmi, pracujmy wspólnemi siły i dążmy do jednego celu.

— Do jakiego, droga?

— Do rozejścia się jak najprędzej. Tymczasem dowiaduj się o wszystkich szczegółach, co Julia, co Herburt, co Horyński robią, myślą, zamierzają. Czy mi obiecujesz?

Graf Astolf rzucił się do kapelusza.

— Idę spełnić twe żądania — i wyszedł, gwiżdżąc dla dodania sobie straconej otuchy; czuł albowiem, że mu się w tej walnej nie poszczęściło bitwie. —

Kilka chwil potem ujrzała pani Malwina kozaka Horyńskich, przechodzącego śpiesznie ulicą. Skinęła z okna na niego. Kozak wnet stanął przed nią na pierwszem piętrze, jak wyżeł, zawołany do nogi.

— Skąd, gdzie i jak? —

Na te trzy zapytania odpowiedział:

— Od grafa Herburta, nazad do domu, posłany przez panią.

— Czy pierwszy raz dzisiaj?

— Już trzeci.

Malwina spojrzała na zegarek, dopiero dochodziła druga popołudniu. Jej domysły tem jaskrawszą barwę rzeczywistości przybrały. Dziwnie jej lubo i miło się stało, rzuciła talara posłańcowi. — Jemu także dziwnie miło i lubo się stało, pełno w tej chwili chrześcijańskich uczuć krążyło między temi dwoma duszami.

— Jakże graf się miewa?

— Bardzo niedobrze; konsyliarz stał nad łóżkiem i kiwał głową, pan kamerdyner płakał, a sam on leżał z otwartemi oczyma i gadał od rzeczy.

Tu Fasalska serdeczną modlitwę wzniosła ku Bogu za życiem Herburta, bo gdyby umarł, cóżby się z roz-

wodem i przedrozwodowemi wszystkiemi, nieocenionemi, zajmującemi plątaninami stało?

— A pani twoja?

— Pani siedzi przy stoliku i haftuje.

— Ale jakże: czy zdrowa, czy słaba, czy spokojna czy nie?

— Nie wiem, bo nic mi nie mówiła.

Tu Malwina rzuciła na stół drugiego talara, którym w oczekiwaniu zabawiała palce i pożegnała kozaka. Ledwo jednak wyszedł, zawołała go nazad.

— Zapomniałam spytać się o zdrowie pana.

— Pan zdrów bardzo; już mnie dzisiaj złajał dwa razy i za powrotem do kraju kuć obiecał.

— Kłaniaj się państwu odemnie i powiedz, że będę sama wieczorem, choć mnie głowa nieznośnie boli.

Zły humor pana Perseusza przylgnął, jak balsam, do rany, którą nieszczęśliwy kozak zadał Malwinie, nie umiejąc nic stanowczego powiedzieć o pani swojej, bo stąd zaraz wniosła, iż przeczucie mężowskiej przenikliwości zgadzało się z domysłem jej przyjaciółkowego serca. Jak niegdyś Medea nad morzami greckiemi, zbrojna w przywoźne od Kolchidy czary, roztaczała ramiona na znak potęgi, tak teraz Malwina w swoim salonie rozciągnęła ręce, ziewnęła, nie z nudów, ale z przebranej nadziei w piersiach i spotkawszy siebie samą w przeciwległem zwierciedle, powitała ową wysmukłą postać, wstępującą na ruchome fale plotek, na ocean życia! Poprawiła loki, fałszywe loki na czole, odrzuciła je w tył. Natchnienie błysnęło

w jej oczach, rękę wyciągnęła do widma, widmo z lustra do niej. Teraźniejszość stała między niemi, jak plamka czarna, ledwo drgająca, z niej trzeba wydobyć świat cały zdarzeń; na to nieba obdarzyły rozumem, a odjęły wdzięki, bo gdyby dotąd trwały powiędłe kwiaty lica, ach! na cóżby nam władać myślą, siać rozterki, układać powieści, cudzemi zawiadywać sercami? Byłybyśmy bez tego paniami ziemi. Widmo odpowiedziało: »Tak«, pokazując zmarszczki koło powiek. — Wtedy Malwina przysięgła zgubę Julii, pięknej, młodej, własnymi warkoczami oplatającej skronia! I odwróciła lica i zły duch jej zniknął. —

IV.

Wydało się Herburtowi, kiedy minęła gorączka i jej piekielne marzenia, że z bezdennej przepaści wraca na powierzchnią ziemi; zerwał się z łóżka, jak z trumny, i nie zważając na osłabienie ciała, ubrał się i z ręką na temblaku wyszedł świeżem odetchnąć powietrzem. Kiedy stanął na progu, właśnie zachodziło słońce; ostatnie jego promienie łamały się wśród drzew ogrodów, naprzeciwko stojących, i przyćmione, umajone zielonością, nie rażąc, jedno spokojnie żegnając, oczów jego dochodziły. Są chwile, jedyne w życiu, chwile zmartwychwstania, czy po cielesnych czy po duchownych cierpieniach. Wtedy mimo doświadczone zawody na nowo łudzim się nadzieją, serce nam rośnie w taką szerz, że gdyby te chwile o mgnienie dłużej trwać mogły, objęlibyśmy świat

cały i spłynęlibyśmy z wiecznością. Herburt doświadczył teraz tego znikomego objawu. Zrazu okolica wydała mu się śliczną, tak prześliczną, że mimowolnie modlić się zaczął, nie słowami, nie myślami nawet, ale całym duchem swoim i nie wiedzieć, czy do tego nieba, na którem przewijały się powoli chmury, ciągnąc niby ku szczęśliwszym stronom, czy do tych kwiatów, śnieżnie i wonnie kołyszących się na krzewach, czy do tych dźwięków wieczornych, krzyżujących się w powietrzu tam, kędy w dali fala rzeki pluśnie, tam, kędy bliżej z domów ozwie się przemijająco struna harfy lub klawisza; on nic nie widział, jedno czuł jakąś obietnicę świętą, rozlaną wszędzie i zewnątrz i wewnątrz siebie, jedno stał, wolny wszelkiego cierpienia, sam jeden wśród świata, a jednak pełen pobratymstwa i wiary, jak gdyby świat i on byli tąż samą pięknością, jednym i tym samym duchem. —

Lecz nie wytrzymał długo tej boskiej ułudy; ciało mu się przypomniało głowy zawrotem, oprzeć się musiał o poręcz ganku, wnet cały obraz zamącił się przed nim i powlókł się niepojętą goryczą. Ta ironia natury odbiła się natychmiast w duszy jego, rozprysnęło się czucie na myśli i każda ciągnęła za drugą poważnię, rozumnie, ale i w nieopisanej cierpkości. »Dopókim na ziemi, pokoju mi nie będzie. Jak ocean niewidomego światła, noc otacza mnie zewsząd; ale gdy chcę się weń zanurzyć, odpychają mnie fale i tłuką, jak rozbita o twarde cyple rzeczywistości! Czemże ty jesteś, rzeczywistości lodowata, w ostre wykrojona kolce, ty, do której przylgnąć nie sposób, a któ-

rej wszędzie i zawsze dotykać się trzeba, ty, co się śmiejesz z myśli i żądz tak, jak one szydzą z ciebie, ale cię skruszyć dotąd żadna dusza nie zdołała, choć tyle dusz zmarnowałaś, kładąc w nie rozpacz, potem niepewność, a w końcu znużenie?

»Ach! i ty umiesz darzyć pokojem zwolenników twoich, trupów twoich! W dziwnej się oni ciszy pokotem kładą koło ciebie.—Kto kochał, przestanie kochać; kto broń podniósł, rzuci ją na ziemię, kto lubił wejrzeć ku gwiazdom, oczy niechaj spuszcza na dół; kto witał w głębiach duszy wschodzący zaranek mądrości, niech przysięga, że to sen był marny i przewróciwszy się na drugą stronę, niechaj śpi w ciemnościach. Za to, skrzętna gospodyni, przyniesiesz każdemu czarę wina i podostatkiem chleba. Oni jeść będą, pić będą, zobojętnieni, spokojni! Przebudzić już ich nikt nie przebudzi; kto wie, czy usłyszą głos anioła ostatniego sądu!

»A jeśli ci fałsz zadam, jeśli ciebie właśnie nazwę zmorą boleśną ócz moich i palców, lecz nie serca panią, i wszystkie prawa twoje złudzeniemi wszystkie dary twoje zgnilizną, cóż mi odpowiesz? Jak opoka, niewzruszona zostaniesz na miejscu. Wszystkich lubych moich, wcześniej czy później, ujrzę bielejące kości na urwiskach twoich; wcześniej czy później, przyciągniesz mnie samego i przykujesz do łona i jako chmury lekkie, jako pary przejrzyste, odpłyną moje nadzieje i ja nie pójdę z niemi. Głos przelatujący zawoła »Patrz«! a ja nie spojrzę w górę i choćby mi umrzeć trzeba było, ja pić będę, jeść będę, zobojętniony, spokojny!

»Wyzywam cię jednak, póki mi czegoś w piersiach

staje — czegoś, co tobą nie jest i co, gdy ty mnie obejmiesz, z jękiem się rozpłynie w przestworach. Jeśli cię prawdą uznam, wygrałaś! Jeśli pokój ciała straszną wielu braci moich myłką nazwę ducha pokojem, wygrałaś. Jeśli przestanę cierpieć i nienawidzić ciebie, wygrałaś; ale dopóki cierpię i żądam, nie masz prawa do mnie!«

Tu rękę położył na piersiach, gwałtownym bólem serca dotknięty. Ból minął po chwili; wtedy odsuwając dłoń, uczuł pod nią medalion, wiszący na łańcuchu, i wyciągnął go i roztworzył i wlepił oczy w pierścień włosów, wstążeczką czarną spiętych. Niegdyś byłby je do ust przycisnął i tchem budził ich omdlałe wonie; teraz czemuż zbladł, smutnem spojrzeniem witając je tylko?

»Matyldo — rzekł słabym głosem, bo znać potrzebował mówić w tej chwili, jak czasem potrzebujemy dla ulgi westchnąć lub stękać — czyż ci dotrzymałem obietnic, na przekór rzeczywistości czynionych, na przekór czasowi i przestrzeni? Czyż twój obraz, zrazu taki świetlany, przytomny, dotykający prawie włosów moich, nie wybladł, nie oddalił się stopniami? A czemże ten rozdział nastąpił? Aniś przestała być piękną i cudnej słodyczy, aniś wyzwoliła się z mąk, które sprowadziłem na głowę twoją, aniś mnie zdradziła; ale nieprzebłagana konieczność, prawa codzienności wypracowały na mojem sercu, że powolniej teraz bije, gdy wspomnę o tobie!

»Wszystko, co kochałem, co ukochać mógł duch mój, nosiło imię: »Ty« przed duchem moim.

»Wszystko, co mną nie jest, wszystko, co kochałem, to było Ty, Ty, bez końca Ty.

»Omdlewały siły moje w rozpamiętywaniu ciebie, słyszałem wewnątrz duszy mojej jęki, wznoszące się tłumnie; jak dusze wszystkich umarłych żalą się przed Bogiem, tak każda żądza, tęsknota, każde wspomnienie moje płakało przedemną samym.

»I mówiłem sobie: Co ja poczne z niemi? Mogęż im wrócić tę, której wymagają odemnie, tę, której płaczą? Lud duszy mojej woła, woła ciebie. Gdzież znajdę anioła, by im pokazać: »Oto jest, oto ona sama«? A nie uśpię ich obietnicami, a nie przymuszę ich nawet w imieniu nadziei, by wrócili w pokoju do głębin, z których wyszli, by szukać, by ujrzeć ciebie!

»Nieznośnie, nieznośnie! bo oni, jak wzburzone fale, przewracali się w piersiach moich; kiedy myślę, że opadły, one tylko zniżyły się, by powstać wyżej, by miotać silniej, by huczeć głośniej. W tym świecie nieszczęśliwym, w tym świecie mnie samego nie było potęgi, któraby bezpiecznie stąpała po falach i uciszyła burzę! Tobie jednej, myślałem, że to danem było!

»A dziś, chociaż nie przybyłaś, choć nie jesteś przy mnie, znalazła się potęga. Na imię jej odległość, niewidzenie, niepamięć, rzeczywistość! Ta sama, którąm wyzywał przed chwilą, już teraz we mnie naigrawa się ze mnie! W jednej już walce nie dotrzymałem jej kroku, czyż w innych jej podołam? Mniejsza o kobietę; są świętsze miłości, ukryte głębiej, serdeczniej z naszą duszą splecione, a gdy się objawią, straszniejsze na świecie!

»Nie, ty mi ich nie wydrzesz, czasie, wieku niepamięci i ty, najpodlejszy gadzie, ubrany w najpiękniejsze łuski, ty, synu pierworodny rzeczywistości, dobry bycie, ty, coś jedynym stulecia mojego Chrystusem!«

Tu konwulsyjnym ruchem podniósł włosy lubej do ust i całował je z wściekłością, jak gdyby chciał sam wmówić w siebie, że ją kocha dotąd, jak gdyby mógł pojęcie obowiązku wolą zamienić w czucie miłości; przynajmniej on pragnął tego!—Czegóż więcej na ziemi żądać od człowieka, czytelnicy moi? — nawet pewny jestem, że w tej chwili i że przez kilka następnych uczuł coś podobnego do dawnych szałów namiętności.

Tych chwil zaś zliczyć nie potrafię, sądzę tylko, że przerwało się ich pasmo, kiedy wszedł do salonu pani Horyńskiej. Tam albowiem kazała mu grzeczność pójść nasamprzód i nie tylko grzeczność, bo on, jakośmy już wspomnieli, lubił Julią za to, że jej życie ocalił.

Porwało się grono, siedzące przy herbacie, zadziwione z niespodzianego zjawienia się Herburta, osobliwie pan Perseusz, który go jeszcze zrana odwiedził i leżącym widział. Pani Fasalska wdała się w oświadczenia szczerości, panna Kazanowska w szumne uniesienia nad cudem sił, tak nagle wróconych, sam gospodarz ścisnął gościa za rękę dwa, trzy razy, czerwieniąc się coraz bardziej. Fasalski wspomniał o kilku ranach, z których także nadzwyczajnie prędko się wyleczył, choć go byli już opuścili lekarze. Julia tylko nic nie mówiła, stała pośrodku izby, patrzała na

zwieszone ramię przybyłego, ani ruchów ani spojrzeń ani słów swoich pewna. Wreszcie zaprosiła go raczej wyrazem twarzy, niż przerywanym głosem, do stołu i on siadł przy niej, ognikiem błękitnym, co szumiał i wzdymał się pod srebrnym samowarem, blado oświecony. Była to godzina zmierzchu, świec jeszcze nie zapalono; przez chwilę umilkli wszyscy, jak się zwykle zdarza po niespodzianym wypadku. — Z pośród tej ciszy wzniósł się głos Herburta, dziwnie kojarzący wyraz boleści cielesnej z żywością ducha, i pytał się Julii o wrażenie doznane, przypominał jej szczegóły zaszłego zdarzenia, przepraszał wreszcie, że ją tak musiał przerazić. Głos ten tyle był ponętny, miarowy, że zwolna jej duszę przywiódł do równowagi i zaczęła odpowiadać bez pomieszania. Tymczasem pan Perseusz się skarżył, że mu żona za wiele cukru do filiżanki sypnęła, wlała zaś za mało śmietany. Nie wiem, czy te słodkie wyrzuty uwagi jej doszły, bo w tej chwili herbatę ofiarując gościowi, całkiem ku niemu obróconą była. Pani Fasalska czajnik z jej rąk odebrała.

— Daj pokój, moja dobra Julio, i nie troszcz się o nas; sama sobie naleję, bo widzę, że cię dzisiaj opuścił wszelki talent w tej mierze.

Z tych słów, z niewinnym przyciskiem wymówionych, rumieniec szeroki, jak zorza północna, wydobył się na lica Julii.

Jeśli się nie mylę, pan Perseusz takowego był składu, że ogniwił w sobie dwie zupełnie sprzeczne przeciwności: zazdrość pana feodalnego średnich wieków i przezorność kramarza naszych lepszych czasów. —

Z tej uwagi wypływa, że się czytelnicy nie zadziwią, kiedy im powiem, że nie dopiwszy herbaty, wstał, wziął słomiany kapelusz i skarżąc się na bicie krwi do głowy, wyszedł, ostatnim wzrokiem grożąc i polecając się zarazem dobremu sercu żony. Herburt ledwo spostrzegł, że gospodarz zniknął, i powodujących nim przyczyn wcale się nie dorozumiał. On tymczasem, wzdłuż i wszerz mierząc zasępionymi krokami ulicę przed własnym domem, wołał nie patrzeć, nie widzieć, nie słyszeć i tem samem uniknąć zwarcia się z Herburtem, nie mógł albowiem utrzymać się w przyzwoitej mierze, kiedy kto z żoną jego tak żywo rozmawiał, a skądinąd czuł całą śmieszność gniewów swoich i bardziej jeszcze całe ich niebezpieczeństwo! Ten człowiek, że kochać umiał, to nie tajemnica żadna!

Wniesiono lampy i świece do pokoju, wyszły z cienia rozstawione donice kwiatów, fortepian i nuty, wszystkie Julii porządki i ozdóbki, w których jej smak przebijał. Herburt jednem spojrzeniem je przebiegł i doznał lubego wrażenia; tem milej ciągnął dalszą rozmowę. Dziwną poezyą kobiety chwytają za męskie serca, poezyą mikroskopiczną, że tak się wyrażę; my zaś, by je podbić, musim im zwiększające szkło stawiać przed oczyma, one tylko kochają olbrzymów!

Wzrok pani Fasalskiej latał, jak robak świętojański, tu i tam i nazad. Jak sędziwy bohater, patrzący z ubocza na pole bitwy, co się działo, co się dziać miało, odrazu pojęła. Skinęła na męża, by się oddalił. Graf wstał i poszedł, jak mówił, grać z Mortemarem; ona,

kilka chwil przeczekawszy, także zaczęła się skarżyć na ból głowy i prosiła panny Kazanowskiej o podanie ręki, gdyż nagłych zawrotów się lękała.

— Pójdziem tylko się przejść do ogródka za domem i wnet wrócimy; nie szukaj wódki kolońskiej, Juleńko — dziękuję ci za tę sól angielską, świeże powietrze najlepsze.

I oparta z całej siły na towarzyszce, wyszła, zostawując wyobraźnią Julii sam na sam z natchnieniem Herburta.

Właśnie Julia mówiła coś o szczęściu, podobno się skarżyła, że nie znaleźć go na świecie, a zgasić nie sposób marzenia o niem. Herburt wzorem wszystkich mężczyzn, odpowiadających na taki zarzut niewieści, odparł, że są chwile szczęścia, chwile, godne niebios, dodał zaś zaraz, jednak znikome, jak błyskawice. Julia oczy roztworzyła i z nieopisanym wyrazem zadziwienia wlepiła w jego oczy i z nieopisanym wyrazem niewinności trzymała je wciąż wlepione.

— Myślałam, że znikomość nie zgadza się z tem słowem szczęście, że to, co minąć może, zwać należy zabawą, przyjemnością, błyskotką. Sądziłam i wierzyłam, że albo niema nigdy szczęścia, albo kiedy się objawi, to na wieki.

Westchnął w głębi duszy Herburt, bo sam tak niegdyś marzył, i wstając nagle, poszedł do fortepianu, prawą ręką pociągnął; chciał w zapomnieniu lewą wziąść w pomoc, ruszył ją, zbladł od bólu, a tymczasem prawą skakał po klawiszach, łamiąc w fałsz prawdę akordów. Julia zdziwiła się przerwaniem nagłem rozmowy; potem, gdy dostrzegła ruch lewej ręki, gdy

pomyślała, że on może już nigdy nie będzie mógł grać, żalem tknięta, poszła do niego.

— Ach! — rzekła — dla mnie to, dla mnie się stało.

On w tej chwili także to samo myślał i gryzł się tą myślą, bo muzyka nieraz była mu aniołem, bo z jej dopiero tonów mglistych umiał wydobywać jasne słowa i rytmy, a bez niej nie pojmował natchnienia; lecz gdy spojrzał na smętne lica Julii, natychmiast odparł żywo i szlachetnie:

— Nic sobie nie wyrzucaj, Pani! Głos, dopiero co słyszany, stanie mi za wszystkie dźwięki, które mógłbym był obudzić w tych strunach.

I szczerze podał jej rękę; ona bez wahania dała mu swoją. Ni on ni ona żadnej dalszej myśli nie mieli w tej chwili. Ten uścisk był pełnym prostoty i z obopólnej wdzięczności; na nieszczęście w tejże samej chwili wszedł pan Horyński.

A to tak się stało. Pani Fasalska, przewlókłszy się kilka razy po ogródku, udała, że coraz słabszą się czuje i prosiła panny Kazanowskiej, by ją odprowadziła do domu. Wyszły zatem obie na ulicę, kędy pan Perseusz przechadzał się, powtarzając sobie z cicha, że mu Bóg dał boginię wierności za żonę.

— Cóż Pani tu robisz? Cóż Panna tu robisz? — zapytał zaraz — a Julcia gdzie?

— Została z panem Herburtem — odrzekła Fasalska, jęcząc i wieszając się na towarzyszce. — Mój Boże! jakże mnie głowa pęka! Dobry wieczór, do jutra! — Mój Boże! mój Boże!

I przesunęła się. Pan Perseusz przeklął ją w duszy i jak strzała, puścił się do domu. Wbiegł na wschody,

podstąpił podedrzwi cichutko, chciał zajrzeć do dziurki; klucz w dziurce nie przepuścił wzroku, jedną razą zatem drzwi roztworzył, z całych sił uderzywszy pięścią, i stanął na progu. Pomimowolnie nagłym trzaskiem przerażona, a może naumyślnie, lękając się zazdrości męża, żywo wycofała dłoń swoją Julia z ręki Herburta. W pierwszem przypuszczeniu nazwałbym to nieszczęściem, w drugiem grubą pomyłką, błędem niedarowanym kobiecie. Lecz ona nie była jeszcze kobietą. Przeczytane romanse nie wtajemniczyły jej do rzeczywistości życia, świat jej marzeń zaludniły tylko, i to błędnie, nierozeznalnie. Dotąd serce jej było dzieckiem. Nic z tego wszystkiego nie pojął pan Perseusz, choć o tem on najlepiej ze wszystkich ludzi żyjących winien był wiedzieć na ziemi. Ujrzał błysk śnieżnej ręki, śpieszącej napowrót między fałdy szalu, ujrzał dłoń Herburta, jeszcze wyciągniętą i powoli zniżającą się ku klawiszom. Krew oblała mu twarz po koniec czoła, poza brzegi uszów; nie zdjął kapelusza słomianego, postąpił naprzód krokiem podwojonym, rozśmiał się w głos i zdawało mu się, że niezmiernie szydersko, że piekielnie! Ognistem spojrzeniem żonę zmierzył, drugiem Herburta i zawołał:

— Cóż to za duo romantyczne przy fortepianie? Czy wolno się zapytać?

Wtedy Herburt, nie odpowiadając mu, rzekł do Julii:

— Oto jeszcze raz Pani daję rękę moją na znak, że nigdy nie będzie żalu we mnie, iż dla niej kaleką zostałem. Bądź Pani spokojna.

I ścisnął dłoń Julii z taką godnością i uszanowa-

niem, z takim wyrazem spokojnej wyższości, że Perseusz oniemiał.

Julia padła na krzesło z głuchem westchnieniem, przeczuwając, co ją czeka tego wieczora. Herburt ukłonił się jej i przechodząc mimo pana Perseusza, rzekł:

— Czy to z słomy ryżowej florenckiej ten kapelusz? Pozwól mi się przypatrzyć!

I zdjął go z głowy gospodarzowi i złożył na sofie obok pani Horyńskiej, potem raz jeszcze się jej ukłoniwszy, wyszedł.

[1837 r.]

UŁAMEK Z POEMATU.

. . . . . .

. . . . . .

Noc skwarna — ciemna — piorun grzmi i bije —
I pies, stróż zamku, gdzieś pod zamkiem wyje;
On idzie — w ciemność stawia śmiało nogę —
Lecz coś z umysłu wykradło mu drogę —
Okiem nie zbada — myślą nie pamięta,
Jak się przepaści czepia ścieżka kręta;
To jedno tylko wie, że przepaść blizka,
I stopą czuje, że ścieżka mu ślizka. —
Wtem nagle burzy rozdzielą się chmury —
I księżyc błyśnie — jak twarz trupa — z góry
I ogrodowe, białe, błysną mury!...
Już stał nad samym przepaści wiszarem
W miejscu, gdzie droga przerywa się jarem;
Lecz z drugiej strony, zaraz po prawicy,
Mur ogrodowy — i na wzgórzu zamek,
Siny w miesiąca sinej błyskawicy,
Jak miast olbrzymich sterczący odłamek,
Piramidalnie w powietrzu wspaniały,
Stoi, w ogrody popiętrzony cały. —
Spojrzał młodzieniec — i w tej skoczył chwili —
I w skoku zwisłe chwyciwszy powoje,

Z brzegów się jaru na mur wedrzeć sili,
Pnie się i zwija, przegięty we troje —
Pod ręką jemu bluszcz zmięty szeleści,
Choć on go ręką jak najciszej pieści.
On się nie przeląkł otchłani, co w tyle
Czyha na niego — lecz ten szept liściany
Strachu nieznośną ciska mu w pierś chwilę —
Grzmot ścichł już — może ten szmer dosłyszany
Czujnych przywabi — lub ze snu przebudzi
Słuch nieprzyjazny śpiących w zamku ludzi.
Wreszcie się dorwał szczytu gładkiej ściany
I nagłym rzutem pchnąwszy się w dół muru,
Spada pod znaną fontannę z marmuru.
Księżyc znów kryć się w piersi chmur zaczynał —
On nie wstał z ziemi — pełznie w cieniu wężem —
A pełznąc, ściska w prawicy puginał —
Niech go wróg zejdzie — a zerwie się mężem
I gdy śmiertelnej klingi tej dobędzie,
Wróg na tem miejscu — lub on — trupem będzie!
On dba o szczęście — lecz nie dba o życie —
Dla szczęścia tylko tak wije się skrycie
Wśród tych drzew — kwiatów — i milczkiem przez
[wschody
W coraz się wyższe przepełza ogrody.
Już na ostatniem stoi gajów piętrze —
Już widzi zamku podwórcowe wnętrze
I bramę, zbrojną żelaznemi kraty,
W których się plączą winny bluszcz i kwiaty.
Znów się zatrzymał — skryty za kolumnę,
Ku blizkiej wieży podniósł czoło dumne,
I westchnął ciężko — znów potem się zniży

I do bram dworca podsuwa się bliżej. —
Wszystko śpi wkoło — ach, serc dwoje tylko
W tej snu pustyni z każdą czasu chwilką
Wrą coraz straszniej — jej serce w wieżycy
I jego tutaj, w tych gajach na dole.
Ona tam czeka w żałobnej tęsknicy —
Uczy się duchem, co konania bole,
Każden ją szelest — szmer — dźwięk po kolei
To strąca w piekło — to rwie w raj nadziei!
Myśl jej, schwytana kleszczami czekania,
Raz wątpić musi — znów wierzyć się wzbrania;
Ni lampy drżącej bardziej drżącą ręką
Śmie zwiesić w oknie — ni śnieżnego czoła
Z okna wynurzyć i spojrzeć dokoła —
Wszystko jej grozi — i wszystko jej męką,
Nawet nadzieja — bo nadziei chwila
Błyśnie — i w wieczność strachu się przesila!
W nim bunt, gniew, wściekłość, piekło także gości,
Ale nie strachu — tylko namiętności!
Bo chciałby skrzydeł anielskich obwodem
Porwać do nieba tę, co z nieba rodem,
A nie, jak zdrajca, przeguby kłamnemi
Ku niej się czołgać w milczeniu po ziemi.
Lecz darmo — trzeba — inaczej nie zdoła
Swojego ujrzeć tej nocy anioła.
Dalej więc, dalej — ostrożnie a cicho —
Nazad w głąb serca z hardą serca pychą! —
Ujrzeć ją — oto cel jedyny drogi
I dzięki losom — już stanął przy bramie.
Dotąd omylił śpiące w zamku wrogi;
Teraz krat cieniem własny cień swój łamie

I czas wybiera, nim z ciemnej uboczy
Zerwie się lotem i w podwórzec skoczy. —
Ot! chwila jeszcze — wstrzymał w piersiach ducha —
I raz ostatni zmierzył przestrzeń okiem
I raz ostatni natężenie słucha —
Nic nie usłyszał. — Więc potrójnym skokiem
Pod próg jej mieszkań przerzuca się składnie
I w sień tę wbuchnął — i na wschody bieży —
Aż za tym gankiem, jak trup pada, padnie
U stóp kochanej — i bez tchu — bez słowa —
W ręce jej drżące spiekłe czoło chowa —
I jak nieżywy, w milczeniu tam leży.
Lecz śmierć to z szczęścia — z radości milczenie —
Lepsze, niż słowo i głośne natchnienie —
Słowem chwil takich bywa łza gorąca
I w tej łzie jednej wre świat cały żaru,
Czucie bez miary — i miłość bez końca!
Ta łza podobna do bożego daru,
Do perły, z niebios spadłej na tę ziemię,
By z serc nieszczęsnych zdjąć nieszczęścia brzemię!
. . . . . .
. . . . . .
I on po chwili rzekł do niej: »Aniele!«
A ona: »Anioł nie płacze tak wiele —
Ni cierpi kiedy — ni tęskni — ni czeka. —
Jam siostrą twoją — a ty syn człowieka —
I patrz! — mam łzami spalone powieki —
I serce smętne — jak gdyby na wieki!
Bo ja umieram, kiedyś ty daleki;
Lecz gdyś przytomny, nie wraca mi życie,
Jad mnie rozdziału jeszcze trawi skrycie

O, długo, długo — i pierś umęczona
Wśród szczęścia jeszcze mąk wspomnieniem kona.—
A kiedy wstąpi w znękanego ducha
Coś jak pociecha — nadzieja — otucha —
Gdy już przywykam do szczęścia pomału,
Znów zagrzmi chwila nowego rozdziału
I znów mi duszę nóż bolu rozrzyna!
Gdzież spokojności na ziemi godzina?« —
— Lecz on jej przerwał: »Kto nie znał rozpaczy,
Nie pozna nigdy, co i niebo znaczy!
W pieklebym wieki przebyć wolał raczej,
Niźli utracić chwilę tę na świecie,
Co mi wśród nocy i piorunów burzy
Wieńczy tu czoło w twoich spojrzeń kwiecie!
Mniejsza o kolce — bo z nich kielich róży,
Mniejsza o piekło — gdy za piekłem stoi
Próg nieśmiertelnych, niebieskich podwoi!
O, patrząc w ciebie — ściskając ci ręce,
Ja błogosławię i burzom i męce!
Skorom przy tobie, wnet mi niknie z duszy
Pamięć doznanych dla ciebie katuszy!
A ty pamiętasz — bo ty bardzo smętna;
Lecz we mnie dusza taka wre namiętna,
Że dałbym głowę jutro pod miecz katu,
Bylebym dzisiaj jedną chwilą żywy
Tu, u stóp twoich, młody i szczęśliwy,
Mógł ludźmi gardzić i urągać światu
I nic nie wiedzieć, że ten świat tam w dole —
Tylko w tej mojej ostatniej godzinie,
Nim kat zapuka — nim ranek nadpłynie,
Zatknąć wdzięk szczęścia choć raz na twem czole!«

A gdy tak mówił, miał wyraz na twarzy,
Choć się nie skarżył, jak ten, co się skarży!
Zbladł i wstał z ziemi — i milczy — a ona,
Płacząc, rzuciła się w jego ramiona.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Wtem się na wieży ozwał dzwon ponury,
Jęknął raz jeden — i jęknął raz wtóry. —
Druga — już druga! — a to letnia pora —
Więc dzisiaj blizkie i mija już wczora! —
Dzień wkrótce będzie — już twarz księżycowa,
Przez okno widna, za gaje się chowa. —
On szuka broni porzuconej gdzieści —
I lekką stopą, szukając, szeleści. —
Ona broń dojrzy — i sztylet z kobierca
Podnosząc, mówi: »Wbij mnie go do serca! —
Bo stokroć lepiej tak zginąć od razu
Z ręki kochanej — niż o każdej chwili
Konać — a lica mieć, konając, z głazu —
I nie módz nawet do żywej istoty
Powiedzieć: Patrzaj! umieram z tęsknoty!
Ja bardzo biedna — jak ci, którzy pili
Stopione złoto[1], ja piję twe słowa!

[1] Obraz wyraża nienasyconą chciwość. Poeta ma zapewne na myśli M. Liciniusa Krassusa z przydomkiem *Dives* (bogacz), poległego (w r. 53 przed Chr.) w nieszczęśliwej bitwie pod Carrhae; kiedy królowi Partów, Orodesowi, przyniesiono odciętą głowę wodza rzymskiego, kazał tenże lać w gardło roztopione złoto, ażeby, jak mówił, raz wreszcie nasycić chciwość bogacza. To samo opowiada Las Casas o pierwotnych mieszkańcach świeżo odkrytej wyspy Kuby, którzy płynne złoto lali w u ta chciwym złota Hiszpanom.

A gdy odejdziesz — cóż ze mnie? — Ach! wdowa —
Marna sierota o żebranym chlebie —
Ciało bez duszy — bez ciebie — bez ciebie —
Żywe w letargu na własnym pogrzebie,
A krzykiem nawet ozwać się nie umne,
Gdy je ćwiekami zabijają w trumnę,
Lecz jasnowidne — i wszystko czujące!
Gdzie ty odchodzisz?... Zostań!... Prawda — Boże!
Uciekaj prędzej — już szaro — już zorze!...
Już z mórz tych idzie przeklęte mi słońce!«
On porwał sztylet — i razem jej rękę —
Na ręce złożył ust drżących podziękę —
I padł do kolan — i skroń zniżył dołem —
Stóp się jej dotknął bardzo bladem czołem:
»Ach, kiedyż znowu będziemy tu sami?...«
I stóp jej znowu dotknął się ustami,
Potem, jak anioł, w górę wzniósłszy ręce,
Oskrzydlił niemi ukochaną postać:
»Widzisz, nie mogę dłużej tu się zostać —
Lecz dzień ten przyjdzie, że z tobą na wieki...«

. . . . . .

A ona gorzkim głosem mu przerwała:
»Tak, kiedy w trumnie, ja zamknę powieki!
Do dnia nam tego los drogę rozjemną
Dał na tej ziemi — lecz w tym dniu ty ze mną
Będziesz — ach, prawda! — na zawsze i wszędzie,
Bo mnie tu nigdzie w tym dniu już nie będzie!...«
I jakby straszną myślą przerażona,
Że wraz z jej ciałem i dusza jej skona,
Do rąk się jego przyczepia rozpacznie —
Wlecze się — chyli — aż w końcu mdleć zacznie!

Dziwną na ustach jej struty goryczą,
Dzikiem rozpaczy przerwany znamieniem,
Rozpadł się uśmiech, co wszczął się słodyczą,
I miał się kończyć anielskiem westchnieniem!
Oko otwarte — ale bez spojrzenia,
I twarz z ocknionej w senną się przemienia,
A wszystkie życia nieszczęsnego bole,
Jak wielka ciemność — leżą na jej czole!
On w rękach trzyma tę postać, tak składną
Przed chwilą jeszcze — a teraz bezwładną,
Co gnie się dotąd, choć martwa, wysmukle
I tak, jak serał, wygląda, umarły;
Nad jej się czołem rozwiązane pukle
W dwie strugi czarne, w dół płynne, rozdarły.
On ją podrywa z ziemi — budzi — woła;
Tymczasem wzrasta światły dzień dokoła.
Westchnęła słabo — krwią nabiegną lica —
Wraca z nicości do bolu dziedziny;
Twarz się odmartwia — odćmi się zrzenica —
Spojrzała — dotąd przy niej jej jedyny!
Więc krzyknie: »Boże! — co robisz? — Uciekaj!
Mnie nic nie będzie — lecz dłużej nie czekaj!
Gdyby tu czasem ranną wpadli dobą!!...«
— »Tobyś widziała — odparł — żem tu z tobą
Na wieki został — teraz już prawdziwie!
Bo tu żelazem padłbym ich przekłuty
I tak mi zginąć byłoby szczęśliwie!
Bo wolę stokroć wziąć nożem z ich ręki,
Niż z ust twych słyszeć co chwila wyrzuty
I żyć — trucizną słów wiecznie otruty!
Jam dał ci pieśni — tyś dała mi jęki —

O boskim śniłem na tej ziemi bycie,
Lecz sen się skończył — tyś przerwała śnicie!
Niechby z snem razem prysło tu i życie!!«
. . . . . .
I łza pożegnań po licu mu płynie —
Nie ta, co w pierwszej powitań godzinie
Z burz wypłakana, nadziemsko radosna,
Tem w sercu ludzkiem, czem dla ziemi wiosna,
Lecz inna — gorzkim już zaprawna jadem. —
Ścisnął jej rękę — rzekł: »Do obaczenia!«
Lecz głosem dziwnym — bo głosem cierpienia!
Ona się wlecze ku drzwiom jego śladem —
Z ganku wyciąga jeszcze k niemu dłonie
I nic nie mówi — ale we łzach tonie.
On już przeskoczył w dół wiodące schody,
Mknął przez dziedziniec — i goni w ogrody;
Ona, jak posąg, do ganku przyrosła,
Wzrok długo jeszcze w stronę, gdzie znikł, niosła. —
Już niema jego — sama się została,
Z nim czy bez niego, zarówno zbolała!...
. . . . . .
Może, kto czyta, tu pomyśli: »Ale
Ona młodzieńca nie kochała wcale!«
Owszem — ach! owszem — lecz jej serce było
Wszelkich już złudzeń zamkniętą mogiłą
I duch jej wzniosły — lecz bolem znękany
Dźwigał przeszłości niezgojone rany!
Los na nią wylał wszystkich ponęt dary,
Lecz nie dał żadnej w ziemskie szczęście wiary!
W jej duszy każde anielskie natchnienie
Gra, jak harmonia, i jak płomień, bucha —

Lecz wnet, jak szatan — kusi ją zwątpienie —
I pierś jej znowu — jak trumna — bez ducha,
Drugich podnosi w błękitu krainy,
Lecz świat jej własny — bezbłękitny — siny
I niema dla niej — odurzeń godziny!
Niby zapomni się — nie wierz — bo czuwa!
Tobie raj daje — a siebie otruwa!
Nie namiętności — spokoju jej trzeba!
I wzdycha często — może nie do nieba,
Ale do ciszy — i powtarza sobie:
»Zasnąć na długo, choćby zasnąć w grobie!«

. . . . . .

A on cię kochał — bo nigdy wesela
Nie doznał z godów — ni z uśmiechów wiela.
Do niej mógł tylko powiedzieć: »Aniele,«
Bo miał to, czego jej brak — życia wiele.
W nim się to życie do głębi rozwarło,
By w wieniec z ognia porwać tę umarłą.
On łzy jej kochał — kochał jej westchnienia —
Bo sam czuł w sercu krwi tyle — krwi tyle —
Że nieraz myślał, iż mógłby w mogile
Leżących budzić płomieniami tchnienia!
A potem ona miała czasem chwile
Tak wielkie — piękne — boskie przemienienia,
Że cherub z nieba śmiercby wieczną ważył,
By z nią te chwile na ziemi przemarzył!
Wtedy błysk piękna uderza jej z czoła
I śpiew jej wtedy — jak głos archanioła,
Zda się, by w martwym ożywił kamieniu
Dreszcz w odpowiedzi nadziemskiemu pieniu!
On, gdy jej słucha — z dziką patrzy wzgardą

Na wszystkie inne kobiety w tym świecie,
Z losów żartuje -- do nich woła hardo:
»Wy mnie jej nigdy — nigdy nie wydrzecie!«
A choć mizg szczęścia przepada w rozpaczy,
On za ten umizg — rozpacz jej przebaczy!
I tak już kocha tę grobową postać,
Co tylko czasem w życia wraca kraje,
Że woli przy niej — niż przy żywych zostać,
Bo ona jemu — wieczność w chwili daje!
A sióstr jej innych wdzięk ciągle potoczny
I rozum cichy, słodkawo uroczny,
Nie rani wprawdzie — ale też na wieki
Pełza po ziemi, od niebios daleki —
Na wieczną wiarę tylko tam przysięga,
Gdzie błysk próżności — lub złota potęga!
Lub jeśli czasem uniesie się szałem,
Ten szał trwa krótko i w górę nie wzlata —
One są wszystkie poddankami świata!
Ona mu tylko nad świat — ideałem,
Czy w dobrych chwilach — czy o złej godzinie
Wyżej się wznosi — lub głębiej zapada,
Lecz nigdy równo z drugiemi nie płynie
I jak duch równy — duchem jego włada!
On czuł i czuje, że mimo jej żale
Oparł się na niej, jak na wiary skale —
Zawsze go życia niosą ku niej fale!
I wtedy rzuca jej z kwiatów koronę
Na czoło, cierniów wieńcem okrwawione,
Ona z wdzięcznością stroi się w te róże.
On znów ją żegna — i goni na burze,
A ile razy powraca z żeglugi,

Róż jej przynosi wieniec świeży — drugi —
Ani się kiedy żegna z tą nadzieją,
Że łzy jej kiedyś — w radość się prześmieją,
Że ból ten zniknie, co w niej się ukrywa,
Aż powie jemu: »I ja dziś szczęśliwa!...«

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

[1839 r.]

Z SYCYLIJSKIEJ PODRÓŻY
KART KILKA.

1839. Albano, 18 kwietnia w nocy.

Chciałbym ci[1] zostawić wszystkie myśli moje; chciałbym ci napisać słowo, w któremby cała dusza moja się zawarła, słowo, któreby ci wypowiedziało wszystko, com czuł i marzył, blizki, wszystko, co przecierpię, daleki od ciebie, byś, kiedy mnie już nie będzie, spojrzeć mogła na nie, jakby na drugie serce, podobne do owego, które ciebie kocha. Ale takiego słowa niema — trzeba jedność uczucia na wiele słów rozdrobnić, by pojętną się stała. Zamiast więc jednego słowa potężnego, wszechwładnego, zostawię ci zapisanych kart kilka i jeszcze w nich nie znajdziesz tego, co chciałem, byś miała po mnie; słabo i blado w nich się odbije to, czem byłem tobie, czem jestem i będę!

Otóż zacząłem pisać do ciebie w Albano[2]. Czekam na ciebie—patrzę na Kampanią rzymską, dawną znajomą, dawną przyjaciółkę—pobratałem się z nią w smutnych chwilach — ona mi zawsze wierną była i wszystkie natchnienia mojej młodości urodziły się w niej i jej ponurą barwę noszą.—Dziś ona mi się pogodną wydała—wiosna

---

[1] Osobą, do której się zwraca autor, jest Delfina z Komarów Potocka.

[2] Albano — miasto nad jeziorem tejże nazwy na południ. wschód od Rzymu, powstałe na miejscu, gdzie stała niegdyś wspaniała willa Domicyana, *Albanum*.

wszędzie się zieleni na jej ogromach.—Chodziłem długo po *Villa Barberini*, niegdyś pysznej, dziś zarosłej zielskiem, sadzonej ogromnemi sosnami, wielkiemi i smutnemi, jak Polska.—Ku Rzymowi, gdzie dotąd jesteś, wytężałem wzrok, ale Rzymu niepodobna ujrzeć, mgła w oddali go zakryła; widziałem tylko Kampanią, podobną do szarego morza, i z drugiej strony morze, podobne do białej Kampanii.—Te dwie nieskończoności przypomniały mi, że ty nie lubisz myśleć o nieskończoności. — I w rzeczy samej jest coś strasznego w każdym ogromie — w każdem pojęciu wiecznego życia lub wiecznej przestrzeni. Ale ten strach mija, gdy porwie nas wstręt do skończonych rzeczy—gdy zwrócimy uwagę na wszystkie nasze bole, pochodzące właśnie z tego, że żyjem ciągle wśród skończoności.— Wtedy nieskończoność, jak świeży napój, jak ocean, przeznaczony nam do wypicia, zstępuje w duszę naszą i odświeża nas. — Chciałbym objąć cię ramieniem i z tej Kampanii rzymskiej porwać cię do niebios.

21-go kwietnia w nocy. Neapol.

Przed chwilą, przed chwilą pożegnałem ciebie, ścisnąłem ci rękę przed Vittoryą, później widziałem twoją chustkę białą, biedną chustkę twoją, jedyny znak, którym mogłaś się odezwać do mnie ty, co godziną wprzódy byłaś zemną, przy mnie, wolno, niepodlegle, bosko i szczęśliwie. — Serce mi się ścisnęło, jak gdyby niewola jaka ciężała nad tobą, jak gdyby to morze, co przedemną się rozciągało, było klucznikiem twojego więzienia — ach! gdybym mógł był

skoczyć na kraty okna tego i porwać cię i przycisnąć do piersi i unieść na łódkę jaką i odpłynąć z tobą na zawsze — na zawsze! Jak znikome widzenie błysnęłaś tylko nad tym gankiem i znów się skryłaś i nie mogłaś słowa wyrzec do mnie, nie mogłaś raz jeden ręki mi ścisnąć. — Boże! czyż to, co zowią rodziną na tej ziemi, jest piekła przedsienią– jarzmem— głuchym bólem, tem głuchszym, że niepodobna mu wojny wypowiedzieć i obalić go pod stopy. — Przeklęty mur domu tego, że mnie tak przedzielił od ciebie — przeklęta godzina, w której cię straciłem. — Wydaje mi się, że gdzieś w klasztorze jesteś, wiecznej poślubiona niewoli.—Wydaje mi się, że cię już nigdy nie będę mógł ujrzeć sam na sam, i oczy moje snu nie chcą, czuję jakąś wściekłość w piersiach, potrzeba mi życia, życia, a nie odpoczynku, a nie snu. — Rzucę się na łóżko — wiem, że nie zamknę powieki — serce mnie boli. — Serce to moje pyta mnie się: »Gdzie ona, gdzie — że jej niemasz o tej godzinie przy tobie?« Cóż ja sercu mojemu odpowiem? Alboż ono zrozumie świata tego przyzwoitości, takie suche, jak popiół, takie zimne, jak zmarłe *frutti di mare*[1]? Alboż ono zechce przystać na konieczność, która nas przed dwoma godzinami rozerwała? Serce nie pojmie tego wszystkiego. — Nadaremno rozum z głowy, jak kaznodzieja z ambony, prawić mu będzie homelie[2] o układach towarzyskich, o pewnych powin-

[1] *Frutti di mare* — »owoce morskie«, ludowa nazwa ślimaków, ostryg, jeżowców, drobnych raków i t. p. zwierząt morskich, spożywanych w nadbrzeżnych miastach włoskich.

[2] Homelie (z greck.) — nauki moralne.

nościach etc. etc. — Serce odpowie tylko jękami — odpowie tylko pytaniem, tem samem zawsze: »Gdzie ona, gdzie ona?« i nic go nie ukoi, nic bolu zeń nie zdejmie, aż uczuje drugie serce, bijące w pobliżu, aż pozna, że ty jesteś przy niem. — Noc taka cicha — Boże! czy to wczoraj było, wczoraj, nie dalej, jak wczoraj, kiedym przyszedł, a ona, u okna pochylona z tą śnieżną chustką na czole, patrzała się w milczeniu na te cyprysów kilka i na to morze, takie uśpione, jak dziecię, takie wielkie, jak nieskończoność! I przyszedłem i milczałem, upojony jej milczeniem, i wołałem z całej duszy: »O godzino, zatrzymaj się — zostań — bo piękna i błoga jesteś!« Gdym tak wołał w duszy, anioły musiały kołysać się nademną w powietrzu. — Taka chwila szczęścia ściąga aniołów z nieba na ziemię — a dziś co? dziś sam jestem. — Co mi po tej nocy, po tem morzu? — Wczoraj boskiemi były. — Duszę ich, ciebie, przytulałem do serca — a teraz ciało tylko mi przed oczyma, ciało martwe zostało, kilka chmur na niebie, fal kilka w dole, księżyc, gwiazdy — marność—nicość — nędza — a tyś zniknęła, tyś odeszła, ty nie przy mnie! Iskra życia wycofnęła się z około mnie. — Dobra noc tobie, mój aniele — dobra noc — niech ci tak nieznośnie nie będzie jak mnie! — Zaśnij w pokoju, w ciszy i zapomnieniu — mnie zostaw czuwanie i boleść.

Neapol, 23 kwietnia po południu.

Przeklęte miasto, nagie, jak pustynia, bez cienia, bez przytułku, bez domu, krzykliwe, jak przedpokój

szkolny, gdzie smagają uczniów, niespokojne, a jednak nie ożywione i głupie!—W tem powietrzu roztopiona siarka i węgiel, jak trucizny, padają na nerwy—w blasku tego słońca jest coś wściekłego—w zieloności tych drzew coś niedoszłego, zatrzymanego przed czasem—w kształcie ich gałęzi coś garbatego.—W wejrzeniu tego ludu coś niemęskiego, słabego, jak dzieciństwo, a ohydnego, jak zepsucie i zgnilizna—ich wesołość jest błazeństwem — ich namiętności błahościami—z rzędu zwierząt nie podnieśli się jeszcze do godności człowieka, a rząd zwierząt, do którego się liczą, nie zachował nawet ozdób i sił, któremi natura dzikie płody swoje obdarza—są to swojskie psy, osły, barany, a czasem między nimi tu i ówdzie zdarzy się ostryga dla urozmaicenia widoku. Gdyby jeszcze te psy, osły i ostrygi chciały spokojnie leżeć i milczeć, ale broń Boże: co chwila ryczą, biegną, skaczą, piszczą, pozierają, puszczają fajerwerki, kłócą się o funt makaronów lub klaszczą w dłonie, kiedy się poliszynel albo król na ulicy ukaże. — Wśród nich żyć nie podobna, wśród nich kochać jest męczarnią, bo miłości potrzeba pewnej powagi, pewnej ciszy; miłość albowiem obraźliwą jest, łacno ją skaleczy, łacno w ból ją wprowadzi i w tęsknotę każden widok niezgodny z tem, czego ona pragnie, z tem, co ona czuje.

Na rzymskich cmętarzach lepiej nam było. — Tam ludzie milczą i nie słychać odgłosu ich kroków, kiedy przychodzą—tam nocy czarne i pełne pokoju — tam wszystko nosi cechę wieczności — tu wszystko, jak czas, rusza się i hałasuje. — Kampania dobrą dla

nas była — ruiny kochały nas — grób Augusta[1] strzegł nas — księżyc, co zazierał przez okna i siatką srebrną oplatał błękitną kurtynę, był nam przyjacielem.—Marzyłem w jego promieniach, żem już nie na ziemi i nic marzenia tego mi nie przerywało.—Jakbym się był dostał do świata duchów, do snów wiecznych świata tak sennie, złoto, milcząco wszystko tam płynęło i wiązało się. — Jest coś nieśmiertelnego w tych wspomnieniach moich.

A tu wszędzie i w każdej chwili ciśnie mi się do serca omdlenie, zwątpienie, smutek, śmierci przeczucie, nieszczęścia przewidywanie, rozdziału rozpacz. — Każden ich krzyk straszy ciebie i w mojej duszy się odbija.—Nienawidzę tego świata zuchwałego—tych nocy jasnych i głosami ludzi zapełnionych — tych przechadzających się żołnierzy — tych ulic, budowanych z jednej strony domami, a z drugiej morzem—nie cierpię ich, bo ciebie straszą, bo czuję dreszcz ręki twojej i włosów twoich, kiedy ci rękę ściskam, kiedy pocałunek składam na twojem czole. — O, uspokój się, aniele mój — złóż głowę na piersiach moich i zapomnij, żeś tu!

28 kwietnia, na statku parowym o kwadrans na 10.

Z najwyższego pomostu patrzę raz jeszcze ku tobie— wytężam wzrok mój, wyciągam wszystkie myśli moje

[1] Mauzoleum Augusta, zbudowane przez tegoż cesarza dla siebie i następców, dziś zasłonięte budowlami, przy *via de' Pontefici,* na dawnym *Campus Martius* nad Tybrem w Rzymie.

ku tej dalekiej, czarnej wstędze, co wije się na brzegu — to *Villa Reale*. Zdaje mi się, że dostrzegam jeszcze *Bellevue*, ale pewno raczej sercem, niż zrzenicą.— Statek porze szybko wody — otchłań z *lapis-lazuli* podemną. — Rozwieszają żagiel w tej chwili — tęskno mi, że jeszcze prędzej popłyniem.—Sam jestem wśród tej nieskończoności i modlę się westchnieniem do Boga o ciebie. Bądź zdrowa, bądź spokojna i nie czarnej myśli—niech błogosławieństwo moje, niech cała dusza moja oderwie się od tych piersi i zostanie z tobą — kiedy wrócę, oddasz mi ją, aniele mój!

29-go z rana.

W tej chwili w czarnej oddali, gdzieś wśród wyziewów pokazała się Sycylia. — Jeszcze pięć godzin drogi nam zostało.—Noc była południowo łagodna, księżycowo-złota—przeleżałem ją na pokładzie, marząc o tobie i wywołując postać twoją ze srebra fal.—Dziwnie promienie miesiąca krążyły wraz z cieniami po tym kołyszącym się statku; chmury i gwiazdy zdawały się podnosić i zniżać na przemian, kłaniały mi się z nieba.—Wśród nocy zajaśniał wulkan Stromboli[1] z daleka — jak krwawa pochodnia, przez chwilę buchnął nad tym ogromem wód i zgasł i już płomienia ni razu nie widziałem. Snuły się pod statkiem delfiny, dorady[2] także czasami z głębi morza wyzierały. Po-

[1] Stromboli — jedna z wysp Liparyjskich u północnego brzegu Sycylii z czynnym wulkanem tejże nazwy (926 *m* wys.).

[2] Dorady — drapieżne ryby z rodzaju ciernioplet wych *(acantho-*

wiadają, że w chwili konania one zwykły się stroić w najśliczniejsze farby, że stają się tęczami na falach. Lubię je za to — piękność i śmierć rzadko zlewają się razem.

Z tyłu i po bokach morze było szare — z przodu tylko szedł przed statkiem trójkąt łusk złotych, odbicie księżyca na falach, przeciągnione w nieskończoną oddal, podobne do tych ócz boskich, co po katedrach jaśnieją nad wielkim ołtarzem.—W powietrzu było coś wiośnianego.—Tęsknota moja za tobą z gorzkiej przeszła w tkliwą, prawie w szczęśliwą — zdało mi się, że widzę cię uśpioną i że błogosławię snu twojemu.—I każda fala niosła mi obraz twój, póki się nie rozbiła o boki statku—wtedy następna porywała ciebie i znowuś płynęła ku mnie, pomieszana z światłem księżycowem, ze zmierzchem nocy, z półcieniami chmur, z iskrami gwiazd, bo wszędzie, gdziem spojrzał, tam ty być musiałaś—tam ty byłaś, jakoby drugie morze, drugie niebo naokoło duszy mojej, także zagięte sklepieniem!

Ale gdy ranek wrócił, gdy weszło słońce, gdy oni wszyscy zaczęli się ruszać i rozmawiać, gdy statek przemienił się z łódki fantastycznej, niesionej ku szczęśliwszym brzegom, w bat[1] pełny ludzi z kapitanem i restauratorem, stało mi się, jakobym już ciebie nigdy nie miał obaczyć.—Ci ludzie mi twój obraz przesłonili — zabrali mi ciebie!

---

pterygia); tu zapewne d o r a d a w i e l k a *(coryphaena hippurus),* dorasta 80—120 cm.

[1] B a t (z włosk. *batto*) — okręt pędzony wiosłami, tu okręt wogóle.

Zeszedłem do kabiny—słyszę ich nad moją głową—śmieją się i krzyczą—przeszkadzają mi pisać—nie mogę przy odgłosie ich rozmów wylać całej duszy ku tobie.—By modlić się Bogu, trzeba mi pustych kościołów, a jako przed Bogiem, tak i przed tobą sam jeden być muszę.

12-sta z południa.

Przybliżyła się Sycylia, prawie schodzi się z Kalabryą. — Drzewa jednego nie znać na brzegach, same wzgórki piaszczyste — ale odwrócić się trzeba — tam z tyłu widok jedyny.

Na granicy, gdzie morze styka się z niebem, Stromboli się wznosi i dymi ku niebu. — Nic więcej nie widać na tej ogromnej błękitu przestrzeni. — Zdaje mi się w tej chwili, że świat ten cały z wody błękitnej, a na nim tylko wyspa jedna, tylko wulkan jeden—zdaje mi się, że potop zalał ziemię, nic nie zostało po ludziach, tylko ołtarz ten ogromny, stawiony przez olbrzymów, stoi dotąd i na nim dopala się ich ostatnia ofiara. — Gdy ten płomień zgaśnie, gdy ten dym się rozwieje, będzie cisza na świecie, będzie tylko ołtarz jeden martwy i morze jedno i nad niemi Bóg jeden.

30 kwietnia z rana — Messyna.

Messynę dzieli od Kalabryi odnoga morska, do rozlanej wielkiej rzeki podobna.—Na wzgórzach kalabryjskich rząd chmur zasiadł wczoraj i przymilał się Messynie ślicznemi farbami. — Miasto to różne od

wszystkich innych. — Zwykle każde miasto, choćby w najgórzystszem położeniu, choćby na szczycie skał lub na przesmyku morskim, oddziela się od natury, wycofuje się z jej łona, stawia między nią a sobą widome, dotykalne granice—Messyna wszędzie zlewa się z naturą, wrasta w naturę, jak Centaur w grzbiet konia—każda z tych ulic długich i pięknych nie kończy się, nie kona u stóp zielonej góry, ale zdaje się z nią spływać, zdaje się w tę górę nieznacznie przechodzić.— Chmury lekkie, muślinowe, ze szczytu wzgórzów się podnoszą i nad domami się nachylają, jakby nad pokrewnemi swemi.

Z jednej strony ulicy *San Ferdinando*[1] stoi rząd bram wielkich, wyglądających na port, w równych odległościach od siebie — przez każdą widać morze i okręt ten lub ów i dalej wzgórze to lub owo na brzegu kalabryjskim.—Każda z tych bram, jak ramy obrazu, chwyta i przytrzymuje część okolicy.—Wszędzie w ogrodach pomarańczowe, cytrynowe drzewa— na murach aloesy, kaktusy—powietrze takie lube, jakby z innego świata.--Lud blady smagławy w łachmanach, z płomienistemi oczyma.—Żebraków mnóstwo— widok ich nędzy dzikiej znośniejszy jeszcze od wrażenia, jakie wywiera nędza wśród cywilizacyi, doszłej najwyższego szczebla porządku i samolubstwa.—Tu żebracy pod błękitem nieba biegną, krzyczą, wyciągają dłonie, wloką się zgarbieni, rzucają się wściekle na rzuconą jałmużnę; ale żaden z nich, jak w Anglii, jak w Londynie, nie usiądzie zgłodniały na ziemi

[1] Ulica *S. Ferdinando* — dziś *Corso Vittorio Emmanuele.*

i pisać nie będzie ostatkiem sił na kamieniu: *Starvation come!*[1] Widziałem takiego, co czytał taki napis i patrzał na piszącego w jednej z zatraconych ulic Londynu.—To okropne, szekspirowskie *Starvation come*, to przystanie na śmierć, to wywoływanie śmierci z głodu, przyszło mi wczoraj na pamięć, gdym chodził po Messynie, otoczony żebrzącym ludem, dziećmi na szczudłach, lazzaronami bez nóg i rąk.—Oni przynajmniej, choć głód czują, wierzą jeszcze w życie, wierzą, że nie dadzą im umrzeć inni ludzie.—Tu zarobek i przemysł nie stał się jeszcze jedynem prawem życia — w Anglii, temu, kto pracować nie może, czy z własnej czy z losu winy, śmierć prawną się stała i wydaje się prawną.

Taka jest różnica między naturą a kupiecką cywilizacyą—w pierwszej jest nieporządek, chaos, niespokój, ale zarazem jest życie—w drugiej porządek, rozum, rozgraniczenie i opisanie wszystkiego, ale zarazem egoizm i śmierć blizka.—My, Polacy, szczęśliwiśmy, bo umiemy łączyć z nieporządkiem rozbujałego życia wszystkie pojęcia cywilizacyi—działamy zawsze w naturze, to jest, jak na istoty ożywione przystało, a zdolni jesteśmy myśleć głęboko, myślą krajać sfery najwznioślejszej matematyki, myślą objąć myśli wszystkich innych ludów świata. Takie połączenie gotowości do wszelakiego czynu z bystrością idealną, jest nam właściwym darem.—Jest to dar wiecznej młodo-

[1] *Starvation come* (angiel.) — śmierci głodowa, przybywaj!

ści i w rzeczy samej, w Europie starej kto młody dotąd? — My i tylko my!

Takie myśli snuły się po głowie mojej przez chwilę, gdym przechodził rynki i ulice Messyny.—Wszedłem potem na wschody, wiodące na wzgórze, gdzie stoi klasztor San Gregorio.—Klasztor stawiany z maurytańskich altan wysmukłą lekkością.—Kościół wewnątrz cały z mozaiki—chór kratami obwiedziony, jak w hiszpańskich klasztorach.—Z bram kościoła widok przecudny.—Czemuż ty w tej chwili nie jesteś tu ze mną, tu na tej wyżynie, tu na tych marmurowych wschodach, pod chłodem tych dwóch kolumn korynckich?—Patrz! Świat jest pięknym — świat roztoczony leży przed nami—a muszę mu powiedzieć: «brzydki«, muszę go odepchnąć od oczu, bo ciebie tu niema, bo tylko rozum mój pojmuje, że to byłoby pięknem, gdybyś wraz ze mną patrzała. Lecz serce tej piękności nie czuje—serce, jak bryła lodu, stoi zawieszone wśród tej natury, słodkiej i ponętnej—serce, jak igła magnesowa odwraca się ku morzu w stronę Neapolu.

Ot, patrz, patrz zemną razem! — Naprzeciwko ciągnie się Kalabrya. — Czy widzisz te wzgórza, jakby nożem u wierzchołka ścięte na to, by te chmury mogły wdzięczniej położyć się na nich? — Czy widzisz ten wielki rozlew błękitny? — To morze, co się ścieśniło w rzeki koryto, a tam znów się rozszerza, jednem ramieniem fal odpiera Sycylią, drugiem Kalabryą i wraca do swojej nieskończoności.—Już wieczór blizki.—Już na tych chmurach płonie odbita purpura zachodzącego słońca.—Jakie dymy przejrzyste, białe—jakie farby pstre, szare, złote, co chwila od-

mienne—pod spodem zielone wstęgi, cienie obłoków, chodzące po spadzistościach gór, światła smugi, wijące się pośród nich, a niżej, tam, na samym dole, na samym nadbrzeżu, białe domy Reggio[1].—Tu, u stóp naszych, tłum messyńskich gmachów—zdaje się, mógłbym chodzić po tej dachów płaszczyźnie, gdybym skoczył z tych wschodów — zdaje się, mógłbym dotknąć tych przelotnych chmur, co zewsząd powstają, gdybym ręce wyciągnął. — I tak stopniami gaśnie dzień, widzę ostatnie chwile słońca, odbite na kalabryjskich wybrzeżach, na kalabryjskich chmurach, jakby w zwierciedle.—Coraz zwierciadło bledsze, ciemniejsze.—Ach, gdyby nagle mi się w niem twoja postać pokazała, gdyby na tle tych wyziewów choć na jedną chwilę powiew sycylijskich wiatrów odmalował rysy twarzy lub kształt kibici twojej! Takby ci pięknie było tam, wśród tych różanych promieni! — Pokaż mi się! Czy moja wyobraźnia słaba, czy ty niedobra, że cię obaczyć nie mogę?

1 maja, Messyna.

Wczoraj dzień cały strawiłem w górach, zapoznałem się z sykulską naturą — tak samo dziwaczna i pomieszana, jak dzieje tej wyspy.— Na tej ziemi wszystko się zjawiało, wszystko rosło bujnie, rozkwitało świetnie, nic się nie utrzymało nigdy, nic owocu nie wydało.— Greckie i kartagskie osady wypleniły pierwotnych mieszkańców; Rzymianie Greków i Kartagów pomor-

[1] Reggio — m. w Kalabryi nad cieśniną messyńską.

dowali; później Muzułmanie, Normandy, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie przechodzili tędy i, kilka dni zabawiwszy, niknęli, jak mary. — Ta ziemia niegościnną a zarazem ponętną jest — kto jej się dotknął, ten doznał chwil kilku dobrych, ten posiadł znikomą rozkosz lub potęgę i zginął. — Już w starożytności głośne były syreny na progach wyspy, śpiewające słodko dla wciągnienia żeglarzy w wiry Scylli i Charybdy.[1] — Ten symbol powtórzył się nieraz w rzeczywistości. — Ta wyspa rodu wulkanicznego pożera i truje tych, którzy na niej budują mieszkania swoje — nikomu nigdy ojczyzną ni domem nie była — a niektórym służyła za biesiadę, nad którą wisiał miecz Damoklesa,[2] a wielu innym za grób, na którym pali się mogiła, Etna. Po każdem plemieniu, co tędy przeszło i zaginęło, ślad jakiś musiał się zostać jednak. — Te ślady zrosły się z sobą, powikłały się razem w języku mieszkańców, w architekturze miast.— Katedra messyńska zawarła je wszystkie w sobie.— Jej brama strojna w gotyckie liście, gałęzie, zwierzęta, na dwóch lwach mistycznych opierają się jej filary.— Sądzisz, że wejdziesz do czarnego przybytku, do mieszkania ostrołuków *(ogives)*, pod wiązania, oświecone malowanemi szybami — a tu spotykasz rzymskie ko-

[1] Scylla — niebezpieczna w starożytności dla żeglarzy skała w cieśninie messyńskiej, naprzeciw niej równie niebezpieczny wir Charybda (Charybdis).

[2] Damokles — dworak tyrana syrakuzańskiego (406—367 przed Chr.) Dyonizyusza Starszego, który nad nim kazał na włosku zawiesić miecz, ażeby go przekonać, iż nie ma powodu zazdrościć tyranowi władzy i bogactw.

lumny, białe, jak u pogan, i złote kapitele, świetne, jak w arabskich meczetach. — Ołtarze wszystkie sadzone florencką mozaiką. — Gdzieś w głębi kościoła znów przebija grób, podobny do niemieckich nadreńskich, rycerskich pomników. — I tak co chwila miesza ci się wszystko przed oczyma. — Każden naród, co odwiedził Sycylią, zdaje się wołać z podziemnych katedry lochów: »Poznaj mnie — to ja jestem!«

Taki los wysp wszystkich. — Czem oasis w pustyni, tem są wyspy w historyi narodów — miejscem wypoczynku i przechodu zarazem. — Już to zjednoczenie dwóch sprzecznych żywiołów, już ta ich wodno-ziemna natura oznacza, że raczej przeznaczone dziejom rozmaitości, niż jedności. — Morze huczy naokoło nich, dziś przynosi do brzegu okręta, jutro trupy z tych samych brzegów zabiera. — Otóż i zewnętrzne kształty natury sycylijskiej zupełnie odpowiednie temu, co się działo w tych miejscach. — Tu Europa zdaje się przelewać w Afrykę — ciągnie się łoże wyschłego potoku — na jego żwirach mruczą strumyki — z boku młyn wodny się kręci, jak w Alpach — skała się piętrzy, świeżą zielonością ubrana, jak w Tyrolu — już zdaje się, że usłyszysz brzęk dzwonków krowich — wtem z drugiej strony staje kopiec przed tobą, kopiec nagi, wyschły, żółty, kaktusami ogromnymi okryty, a liście kaktusów, obrócone ku słońcu, błyszczą suchym połyskiem afrykańskich roślin. — Dalej nad brzegami potoku w piętra sadzone sady cytryn i pomarańcz włoskich — podejdziesz w górę — nad pomarańczami blade i smutne oliwne drzewa snują się jedno za drugiem, jakby szły za pogrzebem — a wy-

żej jeszcze, na samym cyplu wzgórzów, łączki zielone, kwiatki polne, te same, co na polskich i niemieckich niwach, drobne łany zasianej pszenicy i len, rozkwitły błękitnawo. — Rzadki tu i ówdzie robotnik rolę tę wysoką pod chmurami uprawia; gdzieindziej znów chodzi strzelec i przepiórek z psem szuka. — Twarze tych ludzi zczerniałe, okopcone od słońca — ile włosów na ich głowach, tyle zmarszczków na ich twarzy. — Język ich niezrozumiały. — Bóg jeden dojdzie, ile tam greckich, arabskich, hiszpańskich i francuskich słów mowę włoską nakształt roju robaków stoczyło. — Kobiety osobliwie zeszpecone przez skwar słoneczny — podobne do murzynek. — Jakiegoś cierpienia wyraz odbija się na ich licach — siedzą pod pomarańczowemi drzewami niewzruszone, smutne, z kudłami białych włosów na czole, w milczeniu i boleści.

Ale już coś hiszpańskiego przebija w układzie tych ludzi — nie jest to jeszcze hardość hidalgów,[1] duma kastylska, nie żebrząca nigdy, w podartym płaszczu, nie odkłaniająca się samemu królowi — ale też neapolitańskiej podłości nie spotkać już tutaj. — Żebrzą jeszcze, ale krótko — nie ścigają pół mili za podróżnym, by wyjęczyć od niego bajoka — nie tyle się z nimi po sklepach targować trzeba, a za szklankę wody, za ogień do cygara, za przytrzymanie konia nie żądają nic.

Ze szczytu wzgórzów, pomiędzy które byliśmy weszli z Jerzym,[2] ujrzałem widok rozległy i wielki pię-

[1] Hidalgo — szlachcic hiszpański.
[2] Ks. Jerzy Lubomirski.

knością swoją. — I znów mi przyszło żądanie do serca, nieukojone pragnienie obaczenia ciebie — bo każda piękność, którą widzę, zdaje mi się akordem muzycznym, szukającym dopełnienia — dopełnienie, to ty!

Wzrokiem objąłem morze i ląd sycylijski — Etny jednak nie dojrzałem. — Dzikimi zakręty wzgórza uciekały w głąb wyspy — wszędzie łoża potoków, jak bite drogi, podnosiły się od brzegu morza w górę — wszędzie nad niemi pagórki się nachylały, jak bukiety zieloności, żółtymi kwiatami upstrzonej. — Jasna pogoda przypomniała mi wiersze te Byrona:

I niebo tak wszystkie chmury zdjęło z siebie,
Że ledwo nie widać Pana Boga w niebie!

Morze ściemniało, prawie granatowego koloru było.— Wykwitały na tem tle granatowem śnieżne piany rozbijających się bałwanów. — Było w tym obrazie coś bogatego, przepysznego — przypomniały mi się arabskie powieści o przestrzeniach z *lapis-lazuli*, perłami sadzonych, o namiotach, jak świat wielkich, z błękitnego muślinu. — A gdym oczy odwrócił, by spojrzeć na wyspę, gdym ujrzał owe dzikie i spokojne wzgórza, umajone tchnieniem wiosny, zdające się kiwać na mnie krzewami, bym poszedł tam, gdzie one idą, w te doliny, gdzie nikogo niema, gdzie tylko strumień rozmawia z strumieniem, gdzie tylko rozbójnik albo rozkochany wyżyć potrafi, uczułem, że Sycylia, co nikomu domem nie była, mogłaby nam być schronieniem — i zaraz stanęła mi przed wyobraźnią wieża starożytna, pusta, w której emir jakiś mieszkał niegdyś, zawieszona na urwiskach skał, płotem żywym z aloesów ogrodzona, samotna wśród gór i lasów kasztano-

wych, stóp Etny niedaleka, z oknami kratowanemi, z ostatkiem maurytańskich arabesków[1] na ścianach, z welonem bluszczu, z przepaską róż dzikich, nad wodospadem, zlewającym się na dół, jak wstęga atłasu białego. — I podałem ci rękę i weszliśmy oboje do tej wieży mojej!

Wyspo niegościnna, odpowiedz, byłażbyś mi przytułkiem? Czybyś zdołała zakryć mnie od oczu ludzkich i mnie, który nie znałem nigdy spokojnego szczęścia, dać długą ciszę i niezatrutą miłość? Głos jakiś mi szepce do ucha, że tam, za kręgiem tych wzgórzów, są milczące pustynie, które byłyby mi siostrami— tam leżą prochy narodów, co niegdyś biły się o tę ziemię i władały nią i pomarły — tam snują się po księżycowych nocach duchy Arabów, wiernych Konradynowi[2] — oneby mnie i ją oprowadziły po manowcach tych puszcz — a w czarną noc, zasutą chmurami, słup płomienisty nad Etną byłby nam przewodnikiem.

Lubię, wyspo, twoje łagodne powietrze, twoje czyste niebo, twoje pamiątki i wulkan twój — o godzinie nieszporów co dniabym ukląkł na twoich murawach i modlił się, wspominając starego Procydę.[3] —

---

[1] Arabeska (z włosk.) — ornament geometryczny lub roślinny, fantastycznie w rozmaite wzory poplątany, wynaleziony i rozwinięty przez Arabów.

[2] Konradyn, syn cesarza Konrada IV, dobijając się o królestwo Neapolu i Sycylii, wyruszył w r. 1267 na czele wojska do Włoch; pobity przez swego współzawodnika do korony, Karola andegaweńskiego, w bitwie pod Tagliacozzo, został ścięty w Neapolu r. 1268.

[3] Jan Procida — główny sprawca t. z. nieszporów sycylijskich (1282) t. j. rewolucyi, która wygnawszy z Sycylii dynastyę andegaweńską, powołała na tron sycylijski Piotra III, króla aragońskiego.

I onaby uklękła i zemną razem westchnęła do Boga za Polskę.

Takbyśmy żyli oboje, nieznani od obcych, niepapamiętani przez swoich, na tym cmętarzu ludów! —

O śnie dziki, namiętny, jasny, czego mnie dręczysz? — Już czuję jej dłoń w mojej, już ją wiodę pomiędzy te skały. Teraz zasłaniam jej czoło przed tem gorejącem słońcem, teraz znowu siadam z nią w chłodzie i cieniu nad tym ruczajem, wśród poziomych dębów, wśród sosen, do palm podobnych, okolony rzędem wysmukłych cyprysów. — Ona lubi kwiaty. — Ot, wszystkie kwiaty ziemi do stóp się jej tłoczą. — Powiedz, co wolisz: czy rozkwitły aloes, czy prostą małgorzatkę, czy tę różę świeżą, stulistną, której tu nikt nie zasiał, którą wiatr posadził? Patrz, sama tu jesteś — nie słychać głosu ludzi — nie widać śladu ich stóp na piasku! — Przywiodłem cię tutaj. — Bóg mi darował tę pustynią, Bóg mi darował te wzgórza, to morze, to powietrze, to niebo. — Tyś panią świata tego. Poczekaj, aż wejdzie księżyc, aż zamigną gwiazdy, aż te fale rozkołysane zasną w miesięcznych promieniach, aż głoś wodospadów, wołający z tych dolin, stanie się muzyką wśród milczenia nocy — wtedy mi powiesz, czy lepiej ci było na brzegach, któreś opuściła? Czy ta samotność nie jest świętą, boską? — Czy tu Bóg nie większy, jak tam? Czy serce twoje nie szersze? Czy ciało twoje nie lekse? Czy myśl twoja nie łatwiej wdziera się w nieskończoność? I dodasz jeszcze słowo jedno — słowo »kocham« — żadne go ucho nie podchwyci, żadne go prawo ludzkie nie potępi — chyba go skały ściana odbije, pieczary sklepienie powtórzy i powiew przelatu-

jący poniesie ku niebu na skrzydłach. — I wstaniem i pójdziemy dalej!

O śnie mój namiętny, jasny, jak światło południowe, czemu znikasz? — Czemu ten żagiel biały, co się ukazał na morzu, przerwał mi marzenie? Widzę — czuję, że sam jestem. — Ona nie przypłynie takim żaglem do mnie. — Ja muszę wrócić do niej, tam, gdzie lampy salonów się palą, gdzie ludzie mieszkają razem, choć jedni nienawidzą drugich. — Lecz gdziekolwiek ona, tam i ja będę. — Śnie sycylijski, bądź mi zdrowy! — Życie mnie w inną stronę porywa. — Zejść trzeba z tych gór — niech ten dzień prędzej się skończy — niech Sycylia z oczu mi zniknie — niech morze niesie mnie nazad — niech mnie rozbije u stóp jej domu, bylebym ją ujrzał i powitał raz jeszcze! —

I, schodząc z tych wzgórzów, wyryłem na murze blizkim drogi messyńskiej, wyryłem ostrzem sztyletu, darowanego mi przez ciebie: »Polak tu był«. - - Kiedyś przyjdzie może na to miejsce ktoś z Polski rodem i przeczyta i rozraduje się w duszy!

2-go maja, na statku — w nocy.

Jak żagiel szary, zwinęła się Messyna z przed oczu naszych i znikła. — Przepłynęliśmy Charybdę i Scyllę — far[1] messyński cisnął ku nam strugę światła i został z tyłu. — Koła nasze wrą znów na morzu szerokiem —

[1] Far — latarnia morska, tak nazwana od Faros, małej wysepki przed Aleksandryą w Egipcie, na której zbudowano w starożytności latarnię morską.

gwiazdy nad sznurami masztów się snują — z pod kół naszych także sypią się gwiazdy wśród piany śnieżnej, gwiazdy fosforyczne jedne po drugich bryzgają, jak klejnoty, spadające z rozerwanego naszyjnika. —

Morze takie gładkie, ciche, do szyby szklannej podobne — słychać tylko szum kół — wiatru niema na jedno westchnienie. — Mgła łagodna na pół przejrzysto zalega widnokrąg — środek nieba tylko czysty. — Księżyc wschodzi od strony Sycylii, nieśmiało wychyla się z za jej nadbrzeżów, patrzy się na nas, jak anioł, pierwszy raz posłany na ziemię. —

Aniele złoty, pobłogosław tym prześlicznym, uśpionym wodom — zlej na nie skrzydeł twoich promienie — przemień je w srebrną nieskończoność — niech twój uśmiech odbije się na tych mgłach, co, jak zasłony dziewicze, świat opasały! — Idź dalej, wzlatuj w niebo, o aniele mój! —

PRYW. SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIE IMIENIA KLEMENTYNY TAŃSKIEJ W KRAKOWIE

2-go maja — z rana. —

W tej chwili spojrzałem na nurty, które statek parowy zostawia za sobą. — Usiadłem sobie w łódce, przyczepionej z tyłu okrętu — wlepiłem oczy w dół. — Suknia, w której pierwszy raz w życiu oglądałem ciebie, przypomniała mi się — z wierzchu jakoby siatka z piany się toczy, pod nią przeczysty błękit — gaza srebrna na niebieskim atłasie. — I gdziekolwiek statek dotknie się morza, tam morze się przemienia w taką suknię twoją.

Palermo koło 12-tej z południa wyjrzało ku nam z ogromnej zatoki, wieńcem skał otoczonej. — Na pra-

wym boku stoi skała św. Rozalii,[1] podobna z daleka do zamku niebotycznego, o dwóch wysuwających się basztach, z zielonymi ogrodami w dole. — Zaraz na pierwsze spojrzenie znać, że tu panowali Araby, syny słońca i gorejących marzeń, mistrze w sztuce przemieniania głazów twardych w przejrzyste koronki, w ulotne filary. — Madonna della Catena[2] na brzegu samym stoi za bramą miasta, na pół ukryta. — Nic zarazem piękniejszego i śliczniejszego nigdym nie widział. — Sam pałac dożów nawet mniej ponętny — jest w tym kościele powab nieopisany — jest coś tak wysmukłego, tak świeżego, że zdaje się powieścią z tysiąc i jednej nocy, w kamień przekutą. — Ogromu w nim nie patrzyć — ni zbyt wysoki ni szeroki, ale doskonale miarowy, jak muzyka akordów zgodnych, wznosi się na filarach maurytańskich i haftami marmurowymi się kończy. — Gdybyś go ujrzała, pewny jestem, żebyś go zaraz wygrała na fortepianie lub wyśpiewała głosem — drzemiącebyś w tych murach pojęła dźwięki i rozczarowałabyś je — obudziła je — popłynęłyby na wolność w głosie twoim!

Teraz podaj mi rękę i oprzyj się na mnie! — Czy widzisz ten wierzchołek ostry, szary, tu i ówdzie zielonością przyprószony? — Tam żyła i skonała św. Ro-

---

1 Św. Rozalia, patronka Palermu, była córką ks. Synibalda a synowicą Wilhelma II Dobrego, króla Sycylii; wyrzekłszy się świata, wiodła żywot pustelniczy w jaskini poblizkiej góry Monte Pellegrino (»skała ś. Rozalii«), um. około 1170 r.

2 Madonna della Catena — niewielki kościół N. M. P. Łańcuchowej, nazwanej tak od łańcucha, którym zamykano sąsiedni port *La Cala*.

zalia, tam grób jej w jaskini — tam dostać się musim. — Chodź za mną!

Po tej drodze brukowanej, którą ludzie rzucili na spadzistość skały i podparli arkadami, podobnemi do wodociągów Kampanii rzymskiej, po tej drodze przykrej, kaleczącej stopy, wznoszącej się coraz wyżej w pustynie powietrza, stąpaj ostrożnie! — Nie patrz na te olbrzymie kaktusy, co rosną po bokach — nie patrz na te urwiska i pieczary — nie chciej się schylać po te dzikie kwiaty, którycheś nigdzie indziej nie spotkała! Nie podnoś oczu, by ujrzeć skrzydła ptaka, którego jęk słyszysz nad tą jaskinią — ja ci powiem, jak on wygląda, ja zbierać będę kwiaty za ciebie, ty idź powoli, by cię ślizka nie podchwyciła droga, byś stóp miękkich nie rozkrwawiła na tej grudzie kamiennej! —

To zgasły wulkan, stojący wśród własnych ruin, jak trup olbrzyma, otoczony stosami mniejszych ludzkich trupów — nie zrósł się dotąd żużel z żużlem, głaz z głazem, ale leżą jedne na drugich, przy drugich, piętrzą się w górę, rozstępują się w rozłomy, jak sterczące kości szkieletu, jak powalone gruzy miasta — ślad zniszczenia wszędzie widomy. — Choć zieleni się trawa, choć powiewają bluszcze, nie mogą one zakryć piętna śmierci i w harmonią życia przerobić tych szarpanych, rozbitych, przy sobie rozrzuconych, nie z sobą spojonych rozwalin. —

I coraz wyżej, wyżej coraz pnie się droga nasza. — Kształty skał coraz dziksze i podobniejsze do cudów. — Stań na chwilę — odpocznij i spojrzyj! — Niby to łąka — a na łące kamień grobowy przy kamieniu, jak na ży-

dowskich cmętarzach. — Tam dalej — czy widzisz? — zda się, że cały naród mnichów w kapturach i długich szatach padł twarzą na murawę i leży niewzruszony aż do końca świata. — Jak z chmurami na niebie, tak z głazami na skale tej — w co chcesz, możesz je przemarzyć.

Dziko, pusto! — Czy nie straszno tobie? Czy ci się nie wydaje, że na równinę już nigdy nie wrócim? A gdyby te wszystkie głazy nagle się podniosły, ożywiły się i pląsać koło nas zaczęły i porwały nas w twardy taniec, niosąc nas ku otchłani, ku morzu? Gdyby w tej chwili wulkan się obudził i lunął na nas lawy potokiem? Gdyby olbrzymy, przydeptane, jak wieść starożytna głosi, górami Sycylii, powstały i to jarzmo skał zrzuciły z karku? — Albo gdybyśmy głodną śmiercią w tych puszczach umrzeć mieli?

Ot! spojrzyj w tę stronę, a roztopią się czarne myśli, jak kropla rosy w piękności widoku. — Patrz! Raj kwitnie tam w dole. — Patrz! Oto masz Sycylii równinę, pokrajaną lśniącemi drogami, prostemi, jak promienie słońca — oto masz ulice, sadzone z cyprysów — ogrody, obeliski, pałace, fontanny. — Gdzieżeś podobne murawy widziała? Gdzie ślicznej rozkwitające drzewa? A między górami rozstępującemi się zwierciadło morza przebija, jakby początek świata marzeń. — Teraz odwróć się i spojrzyj nazad na drogę, którąś przyszła! — Palermo całe tam leży pod tobą na brzegach wód śpiących — korona gór ciemnych nad miastem — wyziewy z ich szczytów się odrywają i jak wielkie mary białe, stąpać się zdają po morzu. — Tak niegdyś Chrystus wydawać się musiał, gdy wchodził na fale.

Lecz nas wieczór zaskoczy — śpieszmy się.— Jeszcze kościoła Rozalii nie widać — kaplice tylko nam zwiastują, że już niedaleki. — Znów oprzyj się na mojem ramieniu! Jeśliś znużona, obwiążę cię rękoma, poniosę cię do grobu świętej. —

Wierzchołek skały okrążyć i obejść trzeba. — Ten zakręt, to ostatni — już więcej w górę wstępować nie będziem — u końca tej ścieżki pochyłej widzę już ściany klasztoru, widzę kolumny kaplicy, nad którą skała półsklepieniem się załamuje — a na tem sklepieniu bluszcz się wije i tu i ówdzie błyszczy samotny kwiatek.

Czy ci się muzyka Roberta[1] nie odezwała w pamięci? On w tych lochach wywoływał czarne duchy — on z grobu, do którego idziem, zerwał palmę czarodziejską. —

Tu synowica Wilhelma Normanda, najpiękniejsza z dziewic sycylijskich, przepędziła długie lata, modląc się z tych urwisk do Boga i pokutując w tej jaskini. — W dzień śmierci nikt nie był przy niej — dopiero po wielu latach ciało jej, przedziwnie zachowane, strzelcy w jaskini znaleźli — powiadają, że zdawała się lubym snem zdjęta. —

Czy widzisz te mozajki, wkute w ściany chropowatej skały — i ten ołtarz przepyszny i te obrazy hiszpańskich królów, a tu zaraz obok twardą, dziką opokę i bluszczu wieńce i w głębi ciemną pieczarę z stalaktytami i z drugim ołtarzem, pod którym leży posąg

[1] Robert Dyabeł, książę Normandyi (od r. 1027—35), bohater opery Jakóba Meyerbeera (ur. 1791 † 1864).

marmurowy w tej samej sennej postawie, w jakiej umarła święta leżała? —

Jabym tu chciał klęknąć i pomodlić się za ciebie! O ty, postaci, która ze mną jesteś i nie jesteś, ty, coś taka daleka i blizka zarazem, duchu tej, którą kocham, gdzież mi zniknęłaś w tej chwili? Tak ciemno w tej grocie! — Kląkłem — ten, który jest ze mną, myśli, że się modlę do świętej Rozalii — on nie wie, że się modlę do ciebie, że cię błagam, byś mi się na nowo ukazała!

3-go maja. Zisa. [1]

Czy pamiętasz, droga? — Marzyłem wieżę emira, niedaleko Etny, a teraz znalazłem moje marzenie urzeczywistnione w tych miejscach. — Znalazłem zamek arabski. — Ta dolina zowie się *Conca d'oro.* — Szmaragd nie zieleni się jaśniej. — Zewsząd góry — tam morze — tu całe Palermo.—Osiądźmy w tym pustym zamku — bądźmy następcami kalifów! — Czemuż nie mogę zerwać róż wszystkich z tego ogrodu i zanieść ich tobie? Bluszczu tylko trochę wziąłem z nad tej słodkiej fontanny, z nad tej wdzięcznej fontanny, co sączy się dźwięcznie w tej sieni maurytańskiej, freskami malowanej, napisami hiszpańskimi zapełnionej, sklepieniem z framug nakrytej.—Bluszcz ten dam tobie — niech ci będzie talizmanem wspomnienia. — Ile razy nań spoj-

[1] La Zisa — pałac na placu tejże nazwy w Palermo, własność niegdyś królów normandzkich.

rzysz, pamiętaj, że chciałbym ci darować ziemię i niebo!

Ziso, Ziso moja, czy ty wiesz, co ja marzę w twych murach?—Ot! w tej sali byłaby jej sypialnia. — Tam, na tym tarasie, ułożyłbym jej siedzenie z kaszmirowych wezgłowiów—stamtądby patrzała na ten amfiteatr gór— a wieczorem chodzilibyśmy, podawszy sobie dłonie, po tym ogrodzie, w którym słowik teraz śpiewa. — Głupi słowik, że śpiewa, kiedy jej tu niemasz!

Morreale.[1]

Chciałem z grobu króla Rogera[2] kawał porfiru wziąć dla ciebie, ale strażnik pilnował i nie dał. — Katedra pyszna — kolor arabski, jasno-zielony z złotemi gwiazdami na sklepieniu — ołtarz tylko jeden — znać, że Normandy meczet tu zastali — meczetu nie tknęli, tylko krzyż czarny, chrześcijański zatknęli w nim. Za katedrą dawny jest ogród emirów. — Wyschły fontanny, kwiatów już tam niema — zostało się tylko 216 filarów, które portyk kwadratowy podpierają, a każdy mozajką, podobną do tyftyku,[3] sadzony, każdy inakszy, z inną podstawą, z innym kapitelem, to w liście, to w kwiaty, to w głowy ludzkie, to w skrzydła ptaków.— Te wszystkie kolumny każę zabrać stąd i przenieść

---

1 Morreale, zwykle: Monreale — m. w pobliżu Palermu (słynna katedra z XI! w.).

2 W katedrze palermitańskiej spoczywa Roger II, król Sycylii (ur. 1097 um. 1154).

3 Tyftyk lub dywdyk (z persk. *tiftik)* — materya jedwabna, przetykana złotem.

do Zisy — tam one cię okrążą i krzykniesz, spojrzawszy na nie: »Jakie ładne!«. —

4-go maja — na statku.

Sycylia znika mi z oczu. — Tam raj, ale bez mego anioła. — Bez smutku więc raj porzucam i śmieję się z niego, bo jutro, jutro czeka mię szczęście — czeka mnie uśmiech jej, wzrok jej, uścisk ręki jej!

Morze, ty mi drogie, kochane, ty mi dobre dziś jesteś. Ty mnie niesiesz ku niej — przeklinałem cię niedawno — dziś ci błogosławię! — Nie zasypiaj mi tylko — nie chciej naśladować gładkości zwierciadeł, ale bądź mi na bałwany rozdarte, pianą okryte, wichrami zorane — porwij ten statek i pędź go — niech zagrzmi burza, byleby burza wiała w stronę Neapolu!

Czyż ona myśli o mnie? Czy jej tęskno było? Czy wyjdzie jutro z rana na brzeg morza, by spojrzyć ku mnie, kiedy będę przypływał do miasta? Kto mi na to odpowie?

Nikt — tylko serce moje własne — ono czuje, że ona jest zemną — ono wszędzie na tych skałach i w tych katedrach czuło, że ona jest zemną. — Zaprawdę duch twój w każdem miejscu, w każdej chwili, o droga, był zemną. — Z tobą odwiedziłem tę wyspę — tyś mi szeptała do ucha: »To piękne«, ilem razy dziwił się temu, na com patrzał. — Uścisk twej dłoni owiewał chłodno moje palce, gdym kwiaty na Monte Pellegrino zbierał dla ciebie — usta twoje niewidomie przepływały nademną w powietrzu, gdy wiatr mi przynosił woń pomarańczowych

drzew i sycylijskich kwiatów — w szumie fal zasypiających słyszałem moje imię, powtarzane głosem twoim — gdy światło księżyca wpadało do mego pokoju, zdawało mi się, że wchodzi postać twoja. — Tobą tylko żyłem i jedynie byłem tylko z tobą!

5-go maja — o 6-ej z rana na statku.

Drżę cały — za godzin cztery ujrzę ciebie — gorączka mnie pali. — Zdaje mi się, że cię zastanę umarłą — piszę te słowa, leżąc na pokładzie — nie mam dość siły, by powstać. — Ujrzeć ciebie jest takiem szczęściem, że nie spodziewam się go osiągnąć. — Lękam się w tej chwili wszystkiego. Gdyby mnie kto powiedział, że się Neapol zapadł, uwierzyłbym. — Wszystkiemubym uwierzył, bo wiem, jak życie szydzić umie z nas — temu tylko, że drugiego kochasz — nie — nie — nigdy!

O Boże! daj mi ją obaczyć — dozwól, bym raz jeszcze głos jej usłyszał i rękę jej ścisnął! — Ty wiesz, że bez niej żyć już nie zdołam. — Trzęsie mną, miota mną oczekiwanie. — Niecierpliwość, jak rozpacz, mnie rozdziera. — Oniemieję, kiedy ją ujrzę. — Zapytałem się sternika teraz, wiele drogi jeszcze. »Trzy godzin i pół«. odpowiedział. — Czy on wie, ten człowiek, co ja czuję? Czy ci wszyscy ludzie poznają się na tem, że ja konam? Może pomyślą, żem zasłabł, bo okręt buja się gwałtownie. — O znawcy serca mego, bądźcie mi zdrowi! — Życzę wam wszelakiej pomyślności. — Czego tak krzyczycie, hałasujecie, śmiejecie

się? — Przeklęci, czy nie wiecie, że ja kocham i że potrzeba mi milczenia? — O chwilę jedną milczenia proszę was, bym mógł wymówić w myśli jej imię i uwierzyć, że ją obaczę dzisiaj — dzisiaj — dzisiaj!

TRZY MYŚLI

POZOSTAŁE PO

Ś. P. HENRYKU LIGENZIE

ZMARŁYM W MORREALE 12 KWIETNIA 1840 ROKU.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regiestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla oficyalistów pisać, pisałem — ale co innego ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję — a czemu dziś biorę się do pióra, ba, do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku przypłynąłem z żoną i dziećmi do Sycylii, sam nie wiem, po co i na co — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz, pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polszcze. — Święte przysłowie: »Gdy czego zechce się kobiecie, to i sam szatan nic nie wskóra«. — Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju mnie więc powlokła aż do Florencyi, skąd chciałem powracać, a z Florencyi do Rzymu, skąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, skąd chciałem powracać: aż tu patrzaj, dalibóg, musiałem z nią popłynąć morzem do Palermu! Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustanne nam dygały pokłony na niebie — ale co prawda, to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka, gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wyspy zdają ci się pen-

dzlem malowane na niebie — a samo Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud tylko gałgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdziera, czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj, do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech moja żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse Balzaków,[1] *Szatobriandów*[2] *i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.*

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu jest wioska Morreale, w której mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie sycylijscy. — Gdyby nie katedra i cmętarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — niema nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. — Dalibóg-ci u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili, że niebezpiecznie, nająłem powóz, sadzam dzieci, pojechaliśmy. Niema co mówić — znać, że człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórza krągłe, jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie niema, krocie — cyprysów

[1] *Horacyusz Balzac, francuski powieściopisarz (ur. 1799 um. 1855).*

[2] *Franciszek René Châteaubriand — historyk, uczony, statysta i dyplomata, wreszcie pisarz powieści (ur. 1768 um. 1848).*

tyle, co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego; niby kapie ci do płuc, jak przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników; szkoda, że od urodzenia zawżdy miałem piersi, jak mur.

Jedziemy więc, bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siadła na przodzie patrzeć na dolinę w miarę, jak się odrywała. Ja fajkę palę — pułkownik Wilczek, któregom tej zimy spotkał w Liwurnie wracającego z Oryentu, dał mi dwa funty tytuniu — mówił, że sułtan innego nie kurzy. — Nic smaczniejszegom na życiu nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni — bo gospody niema. — Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi, wysypało się hultajów — każden krzyczy, że jest przewodnikiem, Ciceronem,[1] jak to tam ich zowią. — Musiałem ich sam rozganiać, bo żonę moją chwytali za suknią, wrzeszcząc »Moro di fame«, co znaczy »Umieram z głodu«; a potem »Complimentate me!« co znaczy »Daj co«, bo u Włochów kompliment, to miedziak — a jeden z nich, mniej obszarpany, poznał, że my Polacy (okropny węch mają Włochy do cudzoziemców) i, wysunąwszy się, rzekł do mnie, ja zaś po włosku nieźle rozumiem i gadam, choć nie lubię tej komedyi, z łacińskiego języka przerobionej; otóż ten Włoch prawi do mnie:

»Eccelenza (niema z czego się pysznić, bo wszyst-

---

[1] *Cicero (po włosku: cicerone) — przewodnik, oprowadzający cudzoziemca i objaśniający zabytki; w ustach jowialnego szlachcica ciągła gra wyrazów: cicerone i Cicero (sławny mowca rzymski).*

kich tak mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał, że Signor z tą piękną Signorą po polsku mówi. — O, Polacy, to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje!«

Zdziwiłem się niepomału i mówię: »Kiedyś taki sprytny, to cię biorę na Cycerona«; a innych odpędziwszy, poszedłem zaraz z żoną i z dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bajać zacznie, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co, przypłynąwszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia — że go wszyscy znali, codzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego, z którym rozmawiał tym samym językiem, co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć — że tylko o swoim panu mówił »Liienza, Liienza!« i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał, chudł i bladł, aż nareszcie umarł, a służący go na cmętarzu pochował.

— Cóż to znaczyło to Liienza? — zapytałem się.

— A to było imię młodego pana — odparł mi Włoch.

— Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się »Liienza« — to chyba Włoch, jak ty sam.

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak i że zwał się Enrico Liienza.

— Prowadź za cmętarz ty — zawołałem. — Zoba-

czym — jeśli prawdę mówisz, piastra[1] *— jeśli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć nie mieszać Włochów z Polakami!*

A on przystał, pewny swego i wesół, jak chłop, co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzódy katedrę nam pokazać.

— Na cmętarz! — krzyknąłem, już zły, a chcąc skądinąd prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów sam jeden, biedny szlachcic polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, córkę i syna naprzód i walę za Włochem — Włoch do klasztoru. — »Gdzie ty tam idziesz?« pytam. — On mi prawi, że cmętarz w środku klasztoru. — »Kiedy tak, to idź!«

I prawda — prowadził nas, poganin, przez korytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski[2] *tłómaczyć — ja go ręką w plecy, ale delikatnie. — Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży! — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny, cienkie, jak grube trzciny— dziwnie wyrabiane u spodu i góry w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie — a każda obwiedziona mozajką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.*

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Maurach — nie w ciemię bite były te Maury, kiedy takie marcypany stawiali.

---

[1] *Piaster — tu piaster włoski czyli skud, około K 3·50.*

[2] *Fresk — obraz malowany al fresco, tj. na świeżem jeszcze wapnie.*

W środku czworoboku, na łące, pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pcham Włocha przed się — a mój wiercipięta, skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy: »Eccolo!«[1] *i wyciąga rękę, mówiąc znów: »Complimentate me!«*

Dalibóg, gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczyniłem. Czym mógł się spodziewać?... Oto stał przedemną krzyż drewniany, nizki, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY
1840. ROKU, 12 KWIETNIA.

»A co, nie Liienza, a co, nie piaster?« zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem i, zdjąwszy furażerkę, mówiłem »Zdrowaś Marya«, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familia była w Polszcze, z osiem kartek w Niesieckim[2] *jest o niej; ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożal się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem, by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są, którzy go noszą, ale nie wiem o nich. — Tak, zapewnie, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie, wśród obcych, prawda,*

[1] *Eccolo! — »Patrz Pan!« — »Oto!«*

[2] *Kasper Niesiecki S. J.: Herby i familie rycerskie... Lwów 1728—1743. Drugie wydanie Jana Nep. Bobrowicza pomnożone (razem z »Koroną polską«) wyszło w Lipsku 1839—1846.*

że pod ciepłem niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy, Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką), i moja Teodolincia (matka tak ją przezwała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonii Barbarą, Urszulą) oboje uklękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić p. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd, że szlachcic polski tak nago śpi na cudzej ziemi — z takiem krótkiem słowem, przez poczciwca służącego niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się, wierszami układać.

A ja wołam: »Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, tam o wszystko się dopytać, wywiedzieć, z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz, gdy jeszcze nic nie wiesz!«

Włochowi zatem obiecuję dobry kompliment, jeśli mnie zaprowadzi do gospodarza, u którego mieszkał p. Ligenza. — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. — Żonęm z dziećmi zostawił na cmętarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach! — Wreszcie doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, skąd widać miasto Palermo i całą zatokę. — Anim patrzał — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Cyceron mru-

gnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi wszystko, co chcieli, powiedzieli. — Gospodarz jednak wyglądał na poczciwego i łebskiego ćwika — z żalem prawić zaczął o panu Ligenzie:

»Signore, szkoda tego młodego pana. — Taki był cichy, spokojny, wspaniały! — Żył miernie, ale regularnie płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda, że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówiłem służącemu: Zostań z nami, wykieruję cię na wetturyna[1] *— ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać, gdzie pan na jego ręku skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem, gdzie — podobno do Francyi — ale i on niedługo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczy«.*

Wtedym się zapytał, czy nie zostawił p. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz, jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę i przez wschody zawiódł do porządnej izby na drugiem piętrze.

»Tu mieszkał — na tem łóżku umarł, patrząc się w morze i na »Conca d'oro« (tak przezwali sobie dolinę, w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem, jak pieczętował zwój papierów i zasuwał potem w głąb tej szafy. — Służący pewno o nich zapomniał, bo gdy stąd ruszał, był jak waryat jaki«.

To mówiąc, otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery — wziąłem — ołówkiem na wierzchu

[1] *Vetturino — woźnica, dorożkarz.*

napisano było: »Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeśli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią, co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował«. I nic więcej, tylko te słowa i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydaję.

Przyznam się, że, czytając je, mało com zrozumiał — nawet nic zupełnie, prócz dobrych chęci. — Są to, i każdy powie to samo, co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo jużci, pytam się wszystkich, wobec i każdego z osobna, co te wiersze o »Cieniach« znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisywała, raz to niby o człowieku, to znów o Panu Bogu mowa? co te widzenia Chrystusów, te święte Piotry,[1] co padają, kiedy Świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie, bo tak mocno stawiony, jak żaden inny kościół na świecie — co ten niby kardynał, niby Jan apostoł, co papieża żegna i błogosławi? — A to wszystko smalone duby. — Ale darmo, woli ostatniej p. Ligenzy musiałem dopełnić, kiedy mi Opatrzność jego dziełka tak dziwnie do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można, jak z żywym! Czy umarłemu co wyperswadujesz? A kiedy już tak żądał, niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do cmętarza. — Idąc, plótł rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał, że był śniadej cery, bardzo zapadłych, ale świetnych oczu i dziwnie powolnych ruchów — lecz że, kiedy

[1] *Mowa o kościele św. Piotra na Watykanie.*

raz się rozgniewał, na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha, który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wstrząsł, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. — Często grywał na fortepianie, który sobie z Palermu sprowadził. — Lubił całe nocy czuwać i grać — to mu nawet mocno szkodziło. A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i, biorąc pałasz, kosztownie oprawny, rzekł do niego: »Nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za nic nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź, com ci winien!« A gdy to mówił, miał łzę dużą w oku.

— I cóżeś wasan uczynił? — zapytałem gospodarza.

— Sprzedałem — odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie plunął, osobliwie, kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była, po Ligenzach; na rękojeści turkus — na klindze krzyż i imię familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło.

Ale czem był p. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swoimi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędził życie w kraju, czy za granicą, czy teraz tylko z Malty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył? Tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nic a nic o tem nie wiedział.

Zatem niewiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił na cmętarz — ale już był w jej głowie

napisany. Ułożyłem się z p. Balduccinim (tak się zwał gospodarz), by mi wynalazł rzeźbiarza. — Sztukę marmuru białego kupiłem, a po tygodniu, gdym wrócił z Palermu, by przekonać się, czy mnie też czasem nie oszukali Włochy, zastałem na cmętarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sądzi, że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU ZASNĄŁ. DO CZASU.
Ś. P. HENRYK. LIGENZA.
NARODEM. POLAK.
Z ZNAKOMITEGO. NIEGDYŚ. W RZECZYPOSPOLITEJ.
RODU.
ŻYCIEM. NIEZNANY.
ŚMIERCIĄ. WŚRÓD OBCYCH.
NA WYSPIE. DALEKIEJ.
GODZIEN. ŻALU. I MODŁÓW.
POCHOWANY. PRZEZ SŁUGĘ.
WIERNEGO.
POMNIKIEM. UCZCZONY.
PRZEZ PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.
KTÓRZY. GO. NIGDY. NIE ZNALI.
TYLKO. MYŚLI. JEGO. CZYTAJĄC.
UCZULI. ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.
NA ZIEMI.
A TERAZ. ŻE. O NICH. MODLI SIĘ.
W NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała; trochę tam kadzidła co do tych myśli czytanych — no — cóż robić? — lepiej podchlebiać umarłym, niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem.—

Ale kiedy to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy nadzwyczaj podobały: — podpora w Koloseum, postawiona przez papieżów, by te stare mury nie gruchnęły, i błota Pontyńskie,[1] *całkiem do naszej Pińszczyzny podobne — chciałbym był w nich polować, ale czasu nie miałem.*

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligenzy — com mógł, uczyniłem dla niej!

Pisałem w Szafuzie na przejezdnem 1-go lipca 1840 r.

STEFAN, SZCZĘSNY, BODGAN MIELIKOWSKI[2]
przydomku i herbu Gozdawa.

---

[1] *Błota Pontyńskie (Pomptinae paludes) ciągną się na przestrzeni 50 klm. (10—18 klm. szerok.) wzdłuż brzegów Lacyum od miasteczka Cisterna aż do Terraciny.*

[2] *Mielikowski tak samo, jak Ligenza, postać zmyślona.*

SYN CIENIÓW.

5. Tedy Anioł, któregom widział stojącego na morzu i na ziemi, podniósł rękę swoję ku niebu.

6. I przysiągł przez Żywiącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w niem jest, i ziemię i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że czasu już nie będzie.

Objawienie św. Jana, roz. X[1].

Syn cieniów[2] patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
Noc go nieznana z ciemni wyrzuciła,
Dzika wilczyca[3] piersią wykarmiła —
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł wpół senny i darł się po górach.
Zawisł, ssie wilgoć na gór szczycie w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu
I światło spadło z krainy błękitu.

---

[1] Cytat wedle biblii gdańskiej (1637).

[2] Syn cieniów — duch ludzki, nieświadom siebie, który doskonaląc się ciągle, przebywa wśród walk bolesnych coraz wyższe stopnie rozwoju, aż wreszcie pozna siebie i z »syna cieniów« stanie się »synem światłości«.

[3] Dzika wilczyca — wykarmila wedle podania Romulusa i Remusa; tu symbol stanu dzikości,

Pojrzy syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata —
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar[1] gwiazd mlecznych ust jego potrzebą.

Ale nim wdzieje szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbierze z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury,
Olbrzymie, straszne Tytanów[2] męczeństwa.

Aż z starożytnej odmętu zawiei
Wyjdzie przemienion i »Jestem« zawoła;
Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła,
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei.

Choć Boga tylko zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z szatanem —
Ta dola płynie — bole te przeminą!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa
Znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa,
Myśl, która truje, krew własna, co krwawi,
Glinę[3] mu z serca wyżre i przetrawi —

---

[1] Nektar — napój bogów olimpijskich.

[2] Tytani — synowie Uranosa (Nieba) i Gai (Ziemi), kusili się odebrać bogom olimpijskim rządy świata; lecz Zeus (Jowisz) strącił zuchwalców piorunami do Tartaru.

[3] T. j. pierwiastek ziemski.

Cierniów koronę przywiąże do skroni
I łzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w Ojca niebieskiego,
Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna tęsknota,
Dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże,
Znów mu się wyda, że z niego sierota,
Rzucony oślep na zaguby morze,

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
Której kwiat płonie tam, gdzie bogów progi!

Ten, co dziś wątpi, co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

Stąpaj więc dalej, o synu światłości,
Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie!
Wszystko, co żyje, świeci, dźwięczy, płonie,
Twojem na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojął, dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki
Weźmiesz, jak perły widome, do ręki,
Gdy wrócą kiedyś, świeże i stwardniałe,
W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe,

Na wieki wieków dane tobie — tobie,
Coś marzył czasem, że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się, pielgrzymie —
Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia;
Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie,
Lecz jak kwiat róży, nim wyjdzie z ukrycia,
Jak uśmiech dziecka, nim błyśnie z powicia!
Bądź znów, jak Tytan, wielki — silny — dumny! —
Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny —
I wszędzie niebo — niema nigdzie ziemi —
I wszędzie bogi — nad tobą i w tobie,
Na każdem miejscu i o każdej dobie;
Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z niemi.
Aż kiedyś ujrzysz, jak z lazurów łona
Jasność jasności, Bóg bogów powstaje,
I znów do niego wyciągniesz ramiona,
I on cię porwie w inne — dalsze raje.

Znów za nim pójdziesz ty, anioł, ty, święty,
Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
Choć w innem ciele, choć na skrzydłach gromu,
Coraz to chyżej i wyżej niesiony,
Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —
I świat twój jeszcze nie jest nieskończony.

Choć wstęgi mleczne u stóp twoich płyną,
Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,
Ty, na nie patrząc, nowe czujesz żale:
Wiesz, że i one, jak tamte, przeminą.
Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!

Choć latasz wolny po światów przestworze,
Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
Mgła niepamięci dotąd ćmi ci oczy,
Ostatek bolu w twojem sercu gości
I jeszcze wołasz na Boga: »Ty — Boże!«
Duch twój dopiero u progów wieczności.
Aż przejrzysz Pana, jakoś ty przejrzany,
I poznasz siebie — a w tej samej chwili
Noc niepamięci w tobie się przesili —
Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad pany
Duch ten sam, jeden na wieki i wszędzie,
Co *jest* już teraz — ni był, ani będzie!

Bo pierwsze wszystkie kształty przeminęły —
To sen twój mijał, jak fal miliony —
Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony,
Boś śnił o falach, co w tobie płynęły;
Teraz żyć poczniesz — boś uczuł, żeś razem
Potęgą marzeń i marzeń obrazem.
W jednem wspomnieniu po długim pogrzebie
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie
I wszystkie dusze, co wierzyły tobie
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
Coraz to wyżej, z grobu w grób, na zmiany
Wschodząc i żyjąc — do ciebie wróciły.
Tem są na końcu, czem w początku były:
Świat jeden ducha, z twoim duchem zlany. —
Lecz każda dusza na *ciebie* wyrosła
I siebie samą w twoje łono wniosła
I wie o sobie — że stała się synem,
Równym ci, Ojcze, i wiecznie jedynym.

Bo w każdej jeden Ty jesteś, o Panie!
I w każdej wołasz »Ja«, a oprócz Ciebie
Nigdzie nic niema i nic nie powstanie!

Teraz myśl, kochaj, stwarzaj niebo w niebie.

SEN CEZARY[1].

1. Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłościbym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brzmiący.

2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystkę wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłościbym nie miał, nicem nie jest.

List pierwszy św. Pawła do Koryntyan, roz. XIII[2].

Cienie zewsząd w duszy mojej i wokoło oczów moich. — Głos mnie zawołał po imieniu: »Cezara, Cezara!« I wyszedłem i idę, sam nie wiem, gdzie, ale za tym głosem pójdę, jeśli trzeba, aż na koniec świata.

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej, wstępuję ciasnymi wschody — głos przedemną leci i woła: »Cezara, Cezara!«

I nagle grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamienia; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze, przejrzy-

---

[1] Hr. Cezara jest jednym z bohaterów romansu Jana Pawła Richtera p. t. *Titan;* stamtąd zapewne nazwa przejęta.

[2] Cytat wedle biblii gdańskiej (1637).

stsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła: »Cezara, Cezara!«

Okrążyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna podemną — nademną dzwonnica, pleciona przezroczysto, róże gotyckie, kładzione na różach, arkady, podesłane arkadom, świat ostrołuków, pnący się ku niebu — a przez każden z nich gwiazdę jedną widać, a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, cichy, tam daleko, tam, nad górami.

Głos wstąpił w dzwonnicę i jak słowik, ukryty w gaju, woła na mnie: »Cezara, Cezara!« Okolica, jak świat szeroka, roztoczyła się przedemną. Zdało mi się, że widzę pomieszane wsi, miasta, wzgórza, doliny i bory uśpione; księżyc nad niemi płynie, wszystko się stało bladem złotem i ciszą!

Wtem z pod stóp moich nagle, od razu, wzbiły się dźwięki poważne, jakby organów szum, pomieszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniej i coraz pełniej te akorda wschodzą z dolnego kościoła—idą do mnie—otoczyły mnie.

A za każdym akordem światło miesiąca żywszem się staje, gwiazdy się rozszerzają, jak zrzenice, coraz większe, ognistsze — niebo całe, jak jedno morze jasności, wisi nademną — ziemią cała, jak jedno zwierciadło, kędy się ta jasność odbija, leży podemną — wieża tylko i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i odgłos ich stąpań. — Szli, nie zawracając — gdzie się spotkali, tam wrzask się wszczynał, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli co

raz dalej w nieskończoność widnokręgu — księżyc już teraz, jak ogromne krwawe słońce, gorzał nad nimi, a gwiazdy wszystkie patrzały z góry, jak kołujące księżyce.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem, niosącą sztandar, na którym napisano było: »Naród«, ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna, jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność — a gdziekolwiek spotkało się z drugimi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel — Wielu z nich dźwigali szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bledzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlałe niewiasty, podobne do umarłych aniołów. — Wielu z nich znaczyli ślady swoje krwią, z ran płynącą, i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich ręku jakoby krzyże, zwiędłymi kwiaty oplecione, a milczeli tak, jak groby milczą, bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą!... Długom patrzał, czy też kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokoju. Tłumy narodów, jak mury czarne, stawały w poprzek im — jak potoki czarne, płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków, pastwiły się nad ich obalonemi ciałami.

I żal serce mi objął i łzy do ócz mi się cisną. Zro-

zumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akorda, bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie: »Cezara, Cezara, oto lud, co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy«.

A gdym spojrzał znowu, oni bili się, otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc, jasny, jak słońce, oblewał ich promieńmi, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła, połyskami przetkana. — I było im bardzo ciężko i skwarno. — Wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały; ich miecze, ich groty, daremno błądząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogły. I było im nieznośnie gorzko.

I każden z nich wzniósł w górę dziecię swoje i rzekł: »Leć do Boga, sieroto!« — A zdało mi się, że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazurowa wydrążyła się w niebie i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołków — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi.

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę. Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie kląkł, nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów: »Żyjcie i bądźcie naszymi sługi!« Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym, wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do boju.

Krąg wrogów, jak pierścień żelazny, ścisnął się

koło nich—nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrągla się w powietrzu. — Wtedy każden z umierających rzekł do zemdlałej niewiasty, którą trzymał w objęciu: »Obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej odemnie?«

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: »Ziemia wasza ziemią naszą i grób wasz grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy«. I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każden z umierających, jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej, którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód ku wrogom — i znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się, że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i, jak wieniec lilii nadpowietrznych, zawisły tam w przestrzeni i płakały nad tymi, którzy, walcząc, ginęli — i nad tymi, którzy jeszcze dotąd zginąć nie zdołali, nad ostatkami wielkiego narodu.

Głos słowiczy jęknął z dzwonnicy: »Cezara, Cezara! patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina!« Katedra zadrżała od akordu, co wzbił się z jej lochów. Ten akord, jak piorun, co bije z głębin ziemi ku niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie i, znów zebrawszy się razem, pieśnią żałobną wyżej podniósł się i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą, jakby, doszedłszy kończyn świata, jeszcze brzmiał tym samym dźwię-

kiem rozpaczy tam, gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów, przechadzające się, jako dawniej; na miejscu, gdzie owa garstka poległa, już trupów ni krwi ni broni nie było — murawa zieleniała. — Usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów w oddali — uczułem jakoby woń spokojnych kwiatów, lecącą stamtąd, i zdjął mnie strach, że tak cicho na tak wielkiej mogile.

A głos anielski mój zawołał na mnie: »Cezara, Cezara! patrz, co zostało się po nich!« Ja w stronę głosu spojrzałem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama, co na początku, wieńcem wzgórzów otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle: »Cezara, Cezara!« ale zdało mi się, że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodom wieży. I szedłem za nim, coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego — i nie wiedziałem, kędy idę, czułem tylko po wzrastającym smutku, że chyba do grobu.

I obrócił głos, wzdychając, ku przejściu, pełnemu blasków odbitego światła.—Szum dziwny słychać było, jakoby szelest wielu liści suchych, wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów, przyciszanych bolem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: »Cezara, Cezara, teraz módl się za nich!«— i ujrzałem przed sobą wnątrz katedry bardzo długiej, nad którą stałem, jak gdybym stał na podniosłości

chóru i z chóru zaglądał w tę głąb, pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp, płonących przed obrazami, przed posągami, tu i ówdzie nad pomnikiem rycerza, tu i ówdzie nad chrzcielnicą, nad amboną, wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiędłe, jakoby od łez, wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej, co się przesuwała w przestrzeni.

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarty, jakoby wstęp do podziemnych grobów, czekających na kogoś — i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały, jak alabaster, i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony, a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: *Naród.*

I pusto było w tym wielkim kościele. — Wtem zdało mi się, że słyszę jakoby przeczucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powschodziły słabiuchne dźwięki — i już teraz słuchem chwytam nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozpłakała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każden filar, każden głaz jej posadzki zadrgnął, jak struna — każden jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakby śpiew duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga.

Wtem grzmot z organów uderzył — raz tylko —

i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie: »Cezara, Cezara! patrz, bo to oni wchodzą!«

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc, jak za dni życia, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręże; szli, jak mgły chodzą, bez szelestu, szli ze spuszczonem czołem, pełnem wspomnień bolu. — Dzieciątek ich tylko nie było z nimi — ale, jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdało mi się, że widzę biały posąg Chrystusa, tam, kędy zdało mi się, że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień — ot, muzyka stała się miękką i tkliwą, jak szczęścia wspomnienie — ot, jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot, tych aniołków grono motylich skrzydeł opasało się tęczą i każden rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu i, ważąc się w powietrzu, jasnemi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy, leciał ku nim, ku nadchodzącym i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek, uśpionych snem śmierci.

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się, poznając przemienione dzieci — a matki, rozemknąwszy oczy, krzyknęły z radości i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i, podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po imieniu, wołały każda swojego i, wspinając się na palcach stóp, ustami goniły te nadpowietrzne twarzyczki, przesuwające się, jak kwiaty i gwiazdy, nad niemi.

Aż drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pustych

ławkach usiedli męże i odetchnęli, jakby po męce życia całego — przed nimi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade i niewzruszone i głęboko śpiące. — Męże, broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nic wyrzec, ale o nic prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiałe z bolu i znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły, zstępujące z sklepień, wiły się nakształt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tkliwe cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa, ów biały, wysoki, daleki, bielał i rósł bardziej przedemną — aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku trąb archanielskich. — I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem jasną, blizką, żywą, zstępującą się wydała. — Ona, jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący, jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad sennemi niewiasty i pojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej była to jasność biała, jak dyamentu.

Niewiasty się podniosły i, zasłaniając oczy rękoma, westchnęły: »O Panie, oddaj nam dzieci nasze!« I męże, padłszy na ziemię, zawołali: »O Panie, oddaj nam ojczyznę naszą!«

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy, powstawszy, szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwar-

tym grobom, nie tykając ziemi stopami, ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób zstąpiła, jak słońce, co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc: »Odpocznijcie — kamień nad wami, jak nademną, zasunięty będzie! — Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie?« I oni wszyscy zeszli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego, idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem, jak się podniósł ten głaz ogromny z napisem *Naród* i zapadł nad nimi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów, śpiewający ostatnie pożegnanie im:

»Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny wezgłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca! — Zapomnijcie, aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina! —

»Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną. A teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko!«

I stało się wielkie milczenie — a głos, który mnie strzegł, powtórzył z cicha te same słowa, co pierwej: »Cezara, Cezara! patrz, co zostało się po nich!« — A ja, nic nie widząc, zapytałem: — »Co?« — A głos rzekł znowu: »Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi!«

I nagłem ujrzał jakoby modrych wyziewów gromadę, a w samym środku ich jakoby obraz, malowany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią, na pozór przemijającą —

a doskonale piękną, z smutku wiecznego wyrazem na czole. — Jej szaty lekkie, jak myśli, na wzór myśli tęsknych naokoło niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnią przestrzeni. — I dumny był ten wzrok, choć łzawy — i harde to czoło, choć obarczone cierpieniem — i uroczysta ta postać, choć do snu nikłego podobna.

A głos zawołał na mnie: »Strzeż jej, Cezara, bo ona siostrą tych, którzy, walcząc, polegli! — Ona jedna ocalała na ziemi«.

A gdym drugi raz spojrzał, uczułem, że kocham ją — i zdało mi się, że idę za nią w świat mi nieznajomy, gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słychać potoków przesłonionych szumy, kędy liści zżółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś, krwią zbroczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna, zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błądząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. I gdzie ona pójdzie, tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie, tam i ja usiądę — i gdzie ona zniknie, tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się, że dni i nocy mijają, jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku. — Czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc, przesuwający się na szczytach gór — niekiedy poza mgłą słyszę miast dalekich gwary — i w górze pieśń przelatujących duchów — i gdzieś w dole, pod stopami,

zdało mi się, że słyszę płacz kopiących w kopalniach — i niżej jeszcze śmiech podziemny szatana.

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierzch nas wiecznie otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. — Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni, w którą patrzy, od przyszłości, w którą zagląda, i spojrzy na mnie — ona czasem rozemknie usta i zawoła: — »Cezara!« — czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu, aż odpocznie anioł mój. — I tak idziem w nieskończoność. — Jeśli ożyć mamy, ożyjem — jeśli zaginąć, zginiemy. — Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem, niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem, jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę, gdzie, i nie pomnę, kiedy, wydało mi się, żem ujrzał cypel skały, ponad mgłę wymknięty. — I duch tam siedział, podobny całkiem do czerstwego, starego człowieka, tylko że mu z ramion wisiały bezpiórne skrzydła, jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej strunie i zaśpiewał:

»Wstrzymaj się, niedoświadczony — tu granica między krajem życia a padołem śmierci! — Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja osłabnie na wieki«,

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

»Opuść tę, która nie ożyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz, gdy spojrzy na ciebie lub rękę ci poda — bo iskry miłości niema w tej zrzenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni!«

I znów uderzył w jednostrunną harfę.

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopełnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich i zgon ich i sen ich teraz w grobie razem w jednej chwili odbiły się na niej.

A duch znów zaśpiewał:

»Wracaj i żyj pośród ludzi żywych! — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne, przebrzmiawszy, pękły. — Wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, kochaniem — ta, jedyna dzisiaj, zowie się nicością«.

I zdało mi się, że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo i w lewo — i odsłoniły się za skałą wielkie cmętarze, stosy kości i stosy próchen, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety na ostatkach zwłok ludzkich, ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodeł — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzłego morza — i chmury niewzruszone, jakby drugi taki sam ocean, ścięty mrozem na niebie.

A duch wskazał w tę wielką przeszłość i, rozśmiawszy się, wskazał znów ku drugiej stronie skały —

a tam rozwiodła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach wież tysiące sztandarów, każden w barwach wiosny, tam białe kłęby pary i słupy żywe dymu.

Ale wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdało mi się, że zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dojść jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego rozemdleć się i zniknąć.

Duch szczytu skały, duch złego, duch, co mnie kusił, rzekł do mnie: »Wybieraj!«

W tej samej chwili głos jej zawołał: »Cezara!«

A jam poszedł za nią, za tą, która nie powróci nigdy na śmierci cmętarze.

Śnieg krąży nad nami, jak grób nadpowietrzny. — Orzeł, co leciał przed nią, padł na umarłe sępy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta, którąm ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się nie przerwał — uczułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. — Zdało mi się, że ich postać Chrystusa oszukała, zstępując z nimi do grobu, bo oni już się nie przebudzą — i że ta, którą strzegłem, oszukała mnie także, bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki. I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej, by wyszła ze mnie.

A głowęm trzymał w ręku, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego ducha z harfą, prze-

chadzający się w oddali. — I przechadzając się, śmiał się ze mnie.

Potem, usiadłszy na wzgórzu śnieżnem naprzeciwko mnie, zaśpiewał:

»A co teraz?«

I z pod stóp jego zerwało się stado kruków i każden z nich, ciągnąc mi nad głową, powtórzył, krakając: »A co teraz?«

I zdało mi się, że ze stosów kości i z głębi ziemi zamarzłej wydobyło się to samo słowo:

»A co teraz?«

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: »Wieczność się zaczęła«.

I zdało mi się, że duszę własną przeklinam, konając.

Wtem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej cudnej wieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami.

A jam się zerwał i wołam: »Ratuj mnie, bo konam; a konam, boś ty zwiódł mnie!«

Lecz słowik mój, lecz anioł mój na to: »Cezara, Cezara, czemu żałujesz, żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz, że jest zmartwychwstanie? — A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udzielą połowy? Ta, co zabrała życie twoje, odda je tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem. Patrz!«

Jak nowonarodzoną gwiazdę, ujrzałem postać, wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem, że

będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się męże i widmo Chrystusa bielało nad nimi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

LEGENDA.

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Tobie: »Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał; lecz gdy się zstarzejesz, wyciągniesz ręce Twoje, a inny cię opasze i poprowadzi, gdziebyś nie chciał«.

. . . . . .

20. A Piotr, obróciwszy się, ujrzał onego ucznia, którego miłował Jezus, pozad idącego, który się też był położył przy wieczerzy na piersiach Jego i rzekł był: »Panie, któryż jest ten, co Cię wyda?«

21. Tego ujrzawszy Piotr, rzekł Jezusowi: »Panie, a ten co?«

22. Rzekł mu Jezus: »Jeślibym chciał, żeby on został, aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za mną!«

Ewangelia według św. Jana, roz. XXI.[1]

Zdało mi się, że w samą wigilią Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu i że idę przez Kampanią. — Pogańskie tam grzały się groby[2] w promieniach słońca — ranek był — niebo czyste, jak zawsze, i pustynia smutna, jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare

---

[1] Cytat wedle biblii gdańskiej (1632).

[2] T. j. starożytne grobowce przy *Via Appia*.

wodociągi,[1] póki mogły, szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze, jak zielone żłoby Chrystusa, szumiały po świątyń ruinach. — Leciały nademną białych ptaków stada — przedemną w dole pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie.

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna, gdy słońce zgasło, a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów— a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodka jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on, jak widmo czarne, toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze. — Głos wtedy z pokładu się odezwał: »Czy dziś ostatnia wigilia Bożego Narodzenia?«

Ja, w duchu przerażony, odparłem ze wzgórza: »Zaprawdę, dziś wigilia jest«. I wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiodła się nad nim, żużle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonem zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postaci w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most, od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postaci i dążą ku mnie.

[1] Liczne wodociągi rzymskie, przeważnie w ruinach, stanowią charakterystyczną cechę Kampanii rzymskiej.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: »Kędy droga do Rzymu?«

Jam odparł: »Niema tu drogi — tu pustynia«. A oni odrzekli: »Prowadź nas zatem!« — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: »Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i słoty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy staniem w bazylice Piotra«[1].

A ja im na to: »Idźcie za mną, nieszczęśliwi ludzie!« — I nazad ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drżąc i modląc się, jakbym przechodził przez cmętarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnem, na głębokiem niebie — w dole taka czarna równina! Szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem bladych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy[2] — z daleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej, gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam szmery podziemne.

Oni idą za mną, z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąpam, bo oni się śpieszą — słyszę, jak ich czapek kity łamią się w powietrzu — jak ich płaszczów fałdy wiją się z wiatrami.

---

[1] Mowa o bazylice ś. Piotra na Watykanie.

[2] Bramy — tu w znaczeniu: arkady.

I zdało mi się, że widzę ognik, błądzący w oddali — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość świateł na równinie. — Przesuwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów, idących przez Kampanią z pochodniami w ręku. — Łuna, koło nich rozpostarta, szła razem z nimi wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiodłem hufiec mój — wtedym ujrzał zasępione lica ich — tych, którzy szli za mną, i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali, jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z nimi pód światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy, pytając ich: »Co wy za jedni i skąd idziecie?«

Oni się zatrzymali i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: »Azaż nikt nas nie poznał na świecie?«

Cichy szmer, szmer rosnący, rozległ się naokoło; zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: »Znamy was — wyście ostatnie bohatery ziemi!«

Wtedy oni ciągnęli dalej: »Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał śpieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki?«

Wzbił się wielki jęk tłumu, odpowiadający im: »Amen«. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą nad nami w powietrzu i nie dawał nam zasnąć.—»Dni onych—mówił—Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już ani umierać nie będzie na ziemi«.

I umilkło mnóstwo i stało, jakby własnemi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron Kampanii coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słychać dźwięk dzwonów — a im bliżej, tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł, i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i grzmi każden kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biały zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam, gdzie gruzy tylko, tam, gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lampy płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: »Weselmy się, weselmy, bo Chrystus, dzisiaj narodzi się nam!«

A gdy ujrzeli szlachtę polską, wstępującą w bramy, i pielgrzymów potok, płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: »Czemuście tak ponurzy, goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz! — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są mirtu gałązki — oto kamelie — skroniom je waszym rzucamy na wieńce!«

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy idą pośród

nich Polacy, a idąc, mówią do mnie: »Gdzie bazylika Piotra? Nam śpieszno — nam tęskno — wszak już blizka północy godzina?«

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się, że amfiteatr Flawiana,[1] ten pusty, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła, stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każden listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętrach gmachu i, klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni wznosi się Kapitol; od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: »Hosanna, Hosanna!« a pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego my idziem czarno — powoli — w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów, ulic spadły na nas fiałki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden sam bije teraz — głośniej ponad wszystkie inne.

W stronę wołania tego śpieszym się — most na

[1] Amfiteatr Flawiana — mylnie zam. amfiteatr Flawijski *(amphitheatrum Flavium)*, tj. amfiteatr rodu Flawiuszów, rozpoczęty przez Wespazyana (cesarza z rodu Flawiuszów, *gens Flavia)*, ukończony przez syna jego, Tytusa w r. 80 po Chr., znany powszechnie pod nazwą »Kolizeum«.

Tybrze przechodzim — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka, jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła[1] najeżon działami — co chwila jedno działo to błyśnie, to zagrzmi.

Zawracamy teraz — już wchodzim na dziedzińce Piotra. — Kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie, jak dyament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcone z ognia — fontanny pośrodku, jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem, czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wnątrz kościoła, jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach, u stóp portyku[2], mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej i z przodu i z tyłu i z boków zgraje ciążą na nich.

I powstały głosy Rzymian: »Alboż my nie pierwsi— alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki?« A wśród pielgrzymów inne słychać głosy: »Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami wejdzie do świątyni?«.

I ujrzałem, jako Polacy wznieśli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświetniały ich klingi w jaśni powietrza.

Lecz w tej samej chwili na krużganku[3] bazyliki,

[1] Zamek ś. Anioła *(castello di s. Angelo)* — niegdyś grobowiec cesarza Hadryana, przemieniony w średnich wiekach na twierdzę; nazwa od spiżowego posągu, umieszczonego na szczycie.

[2] Portyk — tu przedsionek *(narthex)* kościoła ś. Piotra.

[3] Krużganek — tu w znaczeniu: ganek, balkon.

wysoko ponad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: »Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy[1] od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami! — Umarłych puśćcie naprzód!« I wzniósł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk w sam kościół i przez kościół cały aż przed wielki ołtarz, aż przed lampy, co się palą na grobie Piotra. Tu stanęli i, zdjąwszy karmazynowe czapki, białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, nagą broń trzymając w ręku.

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustym kościele — dymy kadzideł srebrno, przejrzysto wstępują pod kopuły sklepienia, wiszące nad nami — na mozajkach posadzki rozrzucone kwiecia i palmy. — Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów, radujących się — tam, w dali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napełniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe, czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do bazyliki, hucząc.

A gdy każden orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim, przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła, jakby pustą była — śpiew ustał po ka-

[1] Naród cudzy — Litwini.

plicach — a od strony Watykanu[1] odezwą się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inni starce i znów starce jeszcze w białych habitach, w szarych włosiennicach, z krucyfiksem w ręku — przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlekąc za sobą, idą kardynały w rażącej czerwieni — koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci, niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza, tam, gdzie rozstąpiły się tłumy, tam na pustej ulicy między dwoma ścianami z żywych ludzi, które teraz uklękły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron, niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stąpał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się, że każden krok jego trwa chwil wiele i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał, jakby ulgi oczom szukał od świateł tylu — czasem nad ludem kryślił, niedokryślał drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż, stanąwszy, westchnął i wzniósł ręce ku niebu, lecz nie mógł ich utrzymać — opadły.

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smu-

[1] Watykan — pagórek na prawym brzegu Tybru, na którym obok bazyliki ś. Piotra stoi pałac papieski, zwany zwykle Watykanem.

tku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się, że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam, który wpuścić nas kazał, i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma, jak błyskawicą, wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym, co zostali z tyłu; oni pośpieszą, tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec, który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcze tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu brzmią w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy, zdało mi się, że zadrżały sklepienia. — Koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi — w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: »Chrystus się narodził!«

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbił się jęk żałosny: »Wszak nie sprawdzą się słowa anioła, że po raz ostatni?«.

A lud rzymski krzyknął wściekle: »Kto śmie bluźnić w kościele Piotra?«

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: »Oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła«.

A kardynał znów, jak książę potęgi, ręką skinął i rzekł: »Pokój ludziom dobrej woli. Niech się modlą, bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie!«

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy, gdyby chóry anielskie, pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu, który wymówił »Jestem!« A gdyśmy, drżąc, podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać, opartą czołem na środkowej bramie, znikającą zwolna, coraz bardziej mglaną, a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i, jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież, trzymając jeszcze kielich w ręku, wzdrygał się, sam rzekł: »*Ite, missa est!*« a potem zawołał głosem ogromnym: »Czasy dopełniły się!« i, rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra, mówiąc: »Obudź się i mów!«

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec promieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i, stojąc, po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: »Biada!«

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł: »Piotrze, czy poznajesz mnie?«

A ciało odpowiedziało: »Głowa twoja ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi[1].«

A kardynał odparł: »A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora«.

A ciało odparło: »Czyń, jak ci kazano jest!«

Wtedy kardynał skinął znowu, jak książę potęgi — a ciało powtórzyło: »Biada mi!« i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało! — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i, jak posąg niewzruszony, klęczy.

Kardynał rzekł: »Wychodźcie wszyscy, i wy, i wy, i wy, i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów!«

A ludy odrzekły zewsząd:» Prowadź nas Ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę!«

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: »Ojcze mój, czy tu się zostać chcesz?«

---

[1] Mowa o ś. Janie Ewangeliście; legenda, tłumacząc dosłownie słowa Zbawiciela: »Tak chcę, aby został, aż przyjdę«, utrzymuje, że apostoł nie umarł, lecz złożony w grobie, śpi, oczekując drugiego przyjścia Chrystusa.

A starzec, rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolałym: »Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie, synu!«

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: »Uciekajmy!«

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każden hufiec ruszył się z pod ołtarza swego z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy, przyklęknąwszy, raz ostatni złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek sinego światła w powietrzu; potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni szedł ku bramie kościoła. — Cały kościół giął się w podrzutach, jak ciało umierające, ale on wzniesioną dłonią zatrzymywał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzał, aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc, rzekł do szlachty polskiej: »Ludzie, idźcie za mną!«

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: »Idźcie za mną!«

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy, pędząc lud przed sobą, jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: »Nie opuścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze, jeśli nie my? Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać!«

Kardynał zatrzymał sią na samym progu i rzucił im z daleka znak błogosławieństwa, wianek sinego światła

także—i łzę miał w tej chwili w oku, mówiąc: »Chwila jeszcze, a poginiecie!«

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i połysku szabel — a owe cztery kręcone filary[1] ołtarza pękły, jak ścięte drzewa, i runęły — i baldakin spiżowy runął — i kopuła cała, jak zstępujący świat, biało spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się i rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny[2], jak dwa białe gołębie, przypadły do ziemi, konając; a lud uciekał coraz dalej, jak morze, wyparte z brzegów. I zdało mi się, że już ranek jest— że słońce dotąd nie wschodzi—i że widzę tylko gwiazdę jutrzenki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało, żem poszedł za nim, niesion ducha potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł, gdyby na tronie, i spojrzał na świat — a wnet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili, gdy wschodziło słońce: »Panie, czy prawda,

[1] Kręcone filary — właściwie kręcone słupy śpiżowe, na których spoczywa *tabernaculum* (Berniniego), t. j. rodzaj baldachimu nad wielkim ołtarzem *(altare papale)*.

[2] Obie fontanny na placu ś. Piotra przed bazyliką.

że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś niema?«

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: »Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi!«

A ja, to słysząc, zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: »Panie, a ci, których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze już leżą pod tymi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?«

A ów biały święty odrzekł mi: »Nie trwóż się o nich! Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący, tak jak wschodzący, umarli, tak jak żywi, są z Pana — owszem, im lepiej będzie i synom synów ich«.

A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i duch mój się przebudził.

1840 r.

FANTAZYA ŻYCIA.

Im dalej idę, tem się okolica
Młodości mojej bardziej rozsmętniwa;
Z jej pogrzebnego wyczytam już lica,
Jaki się koniec w losach mych ukrywa.

A zewsząd tłoczy się stek ludzi, zdarzeń,
Co rwie mnie z sobą w dalszą przestrzeń bytu —
Lecz we mnie samym wymiera świat marzeń,
Schną łzy miłości — gasną skry zachwytu.

Bo gdzie tknę ręką, płazy napotykam —
Ruchawe, chłodne — moich bliźnich dłonie;
Gdzie wzrokiem sięgnę, głąb dusz ich przenikam —
A tam fałsz czyha lub żar złości płonie.

Wszyscy szlachetni! — Tak brzydzą się złotem! —
Tacy gotowi poledz .w świętej walce! —
A każden miota na drugiego błotem —
I każden równy wiotką duszą — lalce!

Myślą, że maskę wdziawszy karnawału,
Miedziane czoło cofną mi z przed oka —

O, jest szał święty, co pada z wysoka —
Lecz wyście tylko arlekiny[1] szału!

Nos bohaterski, z papieru lepiony,
Głos, grzmiący męstwem, dopóki w przyłbicy,
Płaszcz, wzorem togi przez pierś przerzucony,
Oczy, jarzące z dwóch dziur, jak knot świecy,

Lub bladość smętku, pędzlem bielmowana,
Niewieścia słodycz na lipkim kartonie[2] —
Myśl jakaś wzniosła — szkoda, że udana —
O cierniach ziemi i o wczesnym zgonie,

Skrzydła anielskie z dwóch złotych arkuszy,
Do ramion spięte szpilkami, wiszące —
Wszystko to, pany i panie, mnie wzruszy
Tyle, co mucha, brzęcząca na łące!

O, znam się na was — wiem, co komu siedzi
Pod lewą piersią, gdy o czuciu gada,
Lub nad ojczyzną umarłą łzy cedzi
I z swych przedemną spisków się spowiada!

Gdyby w tej chwili w tym samym pokoju,
Gdzie tak rozprawiasz, drzwi się otworzyły
I wszedł duch powstań, wołając: »Do boju!«
Padłbyś na krzesło, blady i bez siły. —

---

[1] Arlekin (z włosk. *arlecchino)* — stała postać komiczna w ludowej włoskiej *Commedia dell' arte*, błazen.

[2] ... na lipkim kartonie, z którego zrobiona maska.

Lub też znienacka gdyby straż więzienia
Przyszła cię pojmać i okuć w kajdany,
Tybyś przysięgał na Chrystusa rany,
Żeś syn niewoli — dziedzic poniżenia —
I, w stotysięczne gnąc się tłumaczenia,
Sto razy wrogów nazwał twymi pany!

I nic to jeszcze — gdyby tylko trzeba
Dla grobu tego, nad którym tak płaczesz,
Zżymasz się, krzyczysz, sejmikujesz, skaczesz,
Mniej łez umarłym, tylko trochę chleba
Dać ich sierotom, by, porósłszy w siłę,
W gmach życia ojców zmienili mogiłę
I nad nią sztandar zmartwychwstań zatknęli —
Ja ci powiadam, ty, z Bergamu rodem[1],
Żebyś ty zemknął w łóżko do pościeli,
Okrył się cały malowanym wrzodem,
Jęczał bez zmysłów, a trzos, pełen srebra,
Złożył tymczasem pod poduszką w głowach
I strzegł go lepiej, niż strzegł Adam żebra,
Bobyś w malignie wciąż śpiewał o wdowach,
Dzieciach, kalekach — a sam Bóg wszechmocny
Nie mógłby spuścić na ciebie sen nocny
Tak twardy — głuchy — by ktokolwiek z świata
Z pod głów ci wyjął dla wdów tych dukata!
Choćbyś i skonał — to jeszcze twa mara

[1] T. j. arlekin. Ponieważ każdy człowiek musiał się gdzieś urodzić, więc i Commedia dell' arte powyznaczała swym postaciom miejsca urodzenia; Pantaleone np. był obywatelem Wenecyi, Scapino pochodził z Neapolu, Arlecchino wreszcie »był rodem z Bergamu« w północnych Włoszech *(il Bergamasco)*.

Trzosby ten z sobą uniosła do trumny,
Polszcze jednego nie dawszy talara!
Widzisz — znam ciebie — tyś człowiek rozumny —
Napis ci nawet wyryją na grobie —
»Cny obywatel — dobry mąż — żył nie sobie;
Co mógł z dóbr zebrać, poświęcał krajowi —
Choćby swój nawet ostatni grosz wdowi.
Po nim rodzina i ojczyzna płaczą —
Niech tu przechodnie pacierz zmówić raczą!«

Zwodź ich za życia i zwodź ich po śmierci —
Lecz mnie nie przychodź omamiać kłamstwami! —
Jam twoją duszę rozebrał na ćwierci —
Nikt nas nie słyszy — jesteśmy tu sami —
Słuchaj więc mojej o tobie spowiedzi,
Gdyś mnie tak długo spowiadał się z siebie! —
Możesz być cudem — dla głupiej gawiedzi —
Możesz być gwiazdą — na studentów niebie —
Lecz ty nie złudzisz równego mi ducha,
Gdziekolwiek ciebie spotka i wysłucha,
Bo z twoich oczu dla mnie podłość bucha
I poetyckiem odgadnień spojrzeniem,
Strasznem przeczuciem — z gwiazd spadłem natchnieniem —
Kiedy się wdzieram w jamę twego serca,
Widzę, żeś skąpiec, matacz i oszczerca!
Zedrzeć twej maski nie myślę przed światem,
Bom się nie rodził mordercą ni katem;
Wolno cię puszczam — lecz, na mojej drodze
Ile cię razy spotkam — zbledniesz w trwodze!
A twojej pustej, samochwalnej mowy

Oszczędź mym uszom — bo mnie twój fałsz parzy —
Bo mnie twe oko rani wzrokiem sowy
I gardzę ogniem, kłamanym twej twarzy!
Nie taki płomień idzie z serca ludzi,
Gdy ich myśl wielka do czynu pobudzi;
Inny koloryt wdziewa dumne czoło,
Gdy miłość w sercu — a śmierć naokoło.
Spojrzyj w zwierciadło — samo szkło ci powie,
Że wawrzyn takiej nieprzychylny głowie!
Komikiem jesteś — wróć cicho do domu —
Ja mej pogardy nie powiem nikomu!
Chybabyś dusze ufne, mdłe, dziecinnne
Chciał wieść do zguby przez chętkę próżności
I, na łup wrogom wydawszy niewinne,
Po nich wziąść w zysku blask popularności;
Chybabyś znowu ze strachu sprośnego,
Z trwogi o pieniądz lub z bojaźni kary,
Gdy długo skryte dojrzeją zamiary,
Gdy zacznie wołać głos grzmotu boskiego
I blizko będzie już tej wielkiej chwili,
W której grób pęknie i złe się przesili —
Chciał wstrzymać fale rwące się potoku —
Jednych przerazić, drugim w krzyż spleść dłonie —
Jak duch doradczy stanąć przy ich boku —
Zawrócić w lochy puszczonych na błonie —
Hasła wpół łamać i szable odbierać
I nigdy — nigdy w polu nie umierać —
Wtedy cię znajdę i takiem imieniem
Przywitam wobec zgromadzonych ludzi,
Że mi się staniesz pyłem — mgłą — tchem — cieniem —

I jak trup padniesz — i nikt cię nie zbudzi!
Teraz cię żegnam — bo mi inne mary
W rzeczywistego życia okrąg wchodzą —
Innego rodzaju upiory, poczwary
Na drodze mojej tłumami się rodzą!

A wszystkie poznać — choć wstrętno — mi trzeba.
Bo kto w czyn wcielić chce pomysł piękności,
A znałby tylko same duchy z nieba,
Ten tak pokocha tych nadziemskich gości,
Że się w nie patrząc, zatrzyma i stanie!
Lecz boski zachwyt nie jest boskim czynem,
Tęcza chmur jeszcze nie czoła wawrzynem;
Więc złego zbadać potrzeba otchłanie,
Z miłości piękna wpatrzyć się w brzydotę,
Z miłości dobra pójść odwiedzić wroga
Wszelkiej urody i cnoty i Boga,
A z sobą w podróż wziąść tylko — tęsknotę —
I cmętarz świata przechodząc pomału,
Budzić umarłych w imię ideału
I szląc z tych grobów wzrok w przyszłości stronę,
Stwarzać, co dotąd jeszcze niestworzone!

O cny Twardowski! jakież dziecko z ciebie,
Że chcąc się przyjrzeć czartów szabasowi,
Na miotle w nocy tłukłeś się po niebie
I duszęś sprzedał za to szatanowi!

Na coć Gór Łysych — gdy świat pospolity
Pełen żmij, ropuch, łez, cierni, kąkolu,
Wrzał, w świetle słońca przed tobą odkryty,
I wiał ci w uszy wieczną zwrotkę bolu!

Wyjść tylko było z domu na ulicę!
Wnetbyś napotkał duchów złych szeregi,
W tan cię porwały plotek czarownice,
Kołem ścisnęli katy, kłamcy, szpiegi!

Ach! kusiciele i donosiciele,
Którym szatani piekła nie zrównali,
Bo nie tak podli — bezdumni i mali —
Bo na nich cięży przekleństw nie tak wiele!

O mistrzu wielki! ja nieśmiertelnego
Życia nie oddam w kupnie doświadczenia,
A tyle pojmę, ileś pojął, złego
I jak ty, mądrość wybadam z cierpienia!

Choć tysiąc nożów utknie w sercu mojem,
Choć w skał się tysiąc najeży mi droga,
Będę je łamał wiarą — ducha bojem,
I nie zatracę dumy — daru Boga!

Nie Mefistofel, chudy i zszarzany,
Nie śmiech przekory — nie zębów zgrzytanie —
Ale duch inny — wzniosły, choć stroskany,
W pielgrzymce życia przy boku mi stanie!

Duch — w którym piękność urodą niewieścią —
A statek — męskim trudem i boleścią!
Duch, który dźwiga tak, jak ja, kajdany,
Choć panem tylko zna Pana nad pany,
Wdzięk mu jest kształtem — a cierpienie treścią!
Skrzydeł dziś nie ma — lecz w blask jego czoła

Spójrz — a uczujesz przytomność anioła!
W nim moja piękność i mego narodu!
Jam ducha tego pokochał za młodu,
Bo w nim jest wszystkich moich tęsknot zlanie!
I jeśli ze mnie co w świecie zostanie,
To przez piękności tej wieczne kochanie!

O siostro,[1] z którą mnie niegdyś w zamęście
Spoiły miłość — wiara — sny — szał — szczęście,
A z którą łączy mnie dziś wspólność bolu —
Ostatnie szczęście — na nieszczęścia polu,
Ja kocham ciebie głuchym serca żarem,
Ja widzę ciebie — oczyma pamięci,
Twój głos w mych piersiach brzmi echowym gwarem
I duszę moją w nieśmiertelność nęci!

Patrz! na wzór dzikich i nieznanych gości
Idą już ku mnie dni mojej przyszłości!
Wstać i pójść muszę w niewoli za niemi,
Bom sługa pracy — śmiertelnik — syn ziemi!

Patrz! suną chyżo — a zdradnie — bez brzęku —
Każden z nich larwą lice swe zakrywa —
Sztylet i czarę każden niesie w ręku —
I znakiem ręki milczącym mnie wzywa!

Czemu tak śpieszno wam, o czarne mary?
Alboż, nikczemnik, przed wami uciekam?
Nie — ja tu stoję — na rąk waszych dary,
Jak kamień grobów, niewzruszony czekam!

[1] Siostra — Delfina z Komarów Potocka.

Na walkę gorzką — głuchą — bez wytchnienia —
Na trud bezgłośny a krwią serca krwawy —
Na sądy ludzkie bez czci i sumienia,
Na śmierć w torturach — a może bez sławy!

W dniu walk przegranych — na wrogów szyderstwo —
W przedchwili zwycięstw — na szabli pryśnięcie,
W godzinie ofiar — na wrogów oszczerstwo,
Po zgonie może na prochów wyklęcie!

O truciźniki! widma konieczności!
Z dawna jam wiedział, że przyjdziecie po mnie,
Bo kwiat mi każden w ogrodach młodości
Więdł zawsze marno — zsychał bezpotomnie!
Bom ile razy już rósł w ufność wiary,
W pokój — w nadzieję — jak w anielskie skrzydła,
Zaraz mi w piersiach zbudził się wąż stary
I szepnął z cicha: »To kłamstwa — to sidła«!
Potem pierś moją oblókł w swe pierścienie,
W głęboką mądrość — w wieczne podejrzenie —
Aż mi zokrutniał rozum, jak morderca,
Co radby zabił każde szczęście serca!
Ależ i serce wyrosło Tytanem!
Choć je sęp myśli szponami rozdziera,
Ono rozumu nie uzna swym panem,
Nieśmiertelnością — konieczność odpiera!
Choć się w krwi bryzgach rozpada na ćwierci,
Znów się krwi bryzgiem w własną całość klei
I kona wiecznie — lecz bez chwili śmierci,
I kocha wiecznie — ale bez nadziei!

Tak więc, o siostro! już mi czas w tę drogę,
Skąd Pan nie raczył dać wrócić nikomu. —
Wiem — na niej wszyscy, co szukali domu,
Znaleźli tylko — wygnanie i trwogę,
Lub śmierć lub więzy lub pustynie białe
I zapomnianą od Europy chwałę!
Lecz ja przysiągłem na trumnach przeszłości,
Póki krwi w piersiach — myśli w duchu stanie —
Krew i myśl żywą wszczepiać w ojców kości,
Aż błyśnie grobom niebieskie zaranie
Przez ten krwi żywej udział i przelanie!
Godzina bije — o godzinie złego
Wszak nie opuścisz mnie, siostro, samego?

Gdziekolwiek jesteś, wywołuję ciebie!
Przez przyrzeczenia, których czas nie grzebie,
Przez rajów ziemskich straconych wspomnienia,
Przez piekieł ziemskich dzisiejsze cierpienia,
Przez wszystko drobne i przez wszystko wielkie,
Co kiedykolwiek tu nas połączyło,
Przez łzy zachwytu i łzy smutku wszelkie,
Któreśmy leli nad wieków mogiłą,
Przez każden kwiatek, co mi spadł z twej ręki,
Przez krzyż olbrzymi narodowej męki,
Przez pierścień ślubny nasz — wiesz! — przez kajdany
I ślubne serca niezgojone rany,
Przez duchów naszych, za grobem, przemiany,
Przez ból i kochanie,
Śmierć i zmartwychwstanie
I przez tę wieczność — co czeka nas w niebie —
Duszo mej duszy! — wywołuję ciebie!

Choć ty daleka,
Chcę ujrzeć twe lice!
Tęskność upragnienia
Bieg światów przemienia!
I duch ma zrzenice!

Wszak moc człowieka,
Jak promień, przecieka
Wieki i bezmiary!
Ni w tem piekła czary,
Ale siła wiary!
Wstań, potęgo woli!
Kiedy serce boli
I kapie krwią trudu,
Wstań i stwórz świat cudu!

O niezapomniana!
O wiecznie kochana!
Zstąp w noc moją ciemną!
Gdzieśkolwiek została,
O, stań tu przedemną!
Od twojego ciała
Niech kształt się oddzieli!
Ja wierzę niezłomnie,
Że przypłynie do mnie
W magnetycznej bieli!
Tak płyną anieli —
Tak umarłych cienie,
Przez świata przestrzenie!
Żarem wyobraźni
Duch mój twego draźni

I odrywa zlekka,
Choć ty tak daleka,
Twą postać od ciebie!
Bóg w wszechświecie gości
Na ziemi i w niebie
Wszechprzytomnią miłości!
Niech więc o tej dobie
Miłość da i tobie
Moc wszechprzytomności!

Z tem, za czem płaczę i tęsknię w żałobie,
Z tem, co urodą nieśmiertelną w tobie,
Niech duch mój spłynie i zjedna się mocno,
Nie, jak z snem wiotkim — nie, jak z marą nocną —
Lecz jak z ideą, od śmierci bezpieczną,
Z którą rozdziału być nigdy nie może,
Bo ją Pan stworzył, jako sam jest, wieczną!
Kazał jej tylko zbiedz świata bezdroże
I by musiała śród mąk świata zostać,
Skuł w rozmaitych ją wiele postaci —
We wszystkie moich nieszczęśliwych braci
I w najpiękniejszą, twoją, siostro, postać!

1841—1842 r.

PRZEDŚWIT.

Ultima Cumaei venit iam carminis aetas:
Magnus ab integro saeclorum nascitur ordo.
Vergilius. (Ecloga IV.)

Hodie scietis, quia veniet Dominus et salvabit nos et mane videbitis gloriam eius.[2]
Miss. Rom. in vigil. Nat. Dom.

---

[1] »Świt, kumejskiem proroctwem wróżony, już wschodzi:
Ciąg długi nowych wieków dla świata się rodzi«.

[2] »Dziś poznacie, że przyjdzie Pan i zbawi nas i rano ujrzycie chwałę jego«.
Exodus 16, 6 (z pewnemi zmianami).

A Jezus im odpowiedział: »Ojciec mój aż dotąd pracuje i ja pracuję«.

(Ew. św. Jana, r. V. w. 17.)

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był poszedł do ostatnich wyników historyi swojej — w religii do zupełnego zwątpienia — w filozofii do zupełnego obalenia zasad polyteizmu.[1] *Augur*[2] *śmiał się z augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie, żywiące*[3] *śród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć, w świecie ducha ruiny, swawola, rozstrój — »quot capita, tot sensus«.*[4] *— Epikureizm, Stoicyzm, Plato-*

---

[1] *Politeizm (z greck.) — wielobóstwo, wiara w wielu bogów.*

[2] *Augur — kapłan rzymski, wróżący z lotu ptaków. U Cycerona (De divin. II, 51), skąd to zdanie zaczerpnięte, nie występują augurowie — Rzymianin nie śmiałby zohydzać instytucyi publicznej, jaką byli augurowie — lecz etruscy pierwotnie haruspikowie, których, podobnie jak różnych egipskich kapłanów, w Rzymie tylko cierpiano. Oto cytat dosłowny: »Katon (starszy) mawiał, iż mu to dziwno, że może się od śmiechu wstrzymać haruspik, haruspika spotkawszy«.*

[3] *Żywiące — dawna forma: żyjące, żywe.*

[4] *Quot capita, tot sensus — co głowa, to rozum.*

nizm[1] *przechadzały się, jak mary, po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcyj*[2]*, rewolucyj wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem; i plebejanin Maryusz i patrycyusz Sulla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczynić. — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając, a nie niszcząc, kochając, a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy, czy »zatraciciele«, czy »odnowiciele« z ostatnich czasów Rzymu jedną cechę na sobie noszą — pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą, ku czemu dąży historya świata. — Jedni trzymają się podania Grakchów*[3] *i chcą demokracyi — drudzy wierzą jeszcze w »bogi Many« Appiuszów*[4] *i marzą o arystokraty-*

[1] *Epikureizm, Stoicyzm — kierunki filozoficzne; por. t. III, str. 160 i 277. — Platonizm — nauka Platona, znakomitego filozofa greckiego (ur. 429, um. 348 przed Chr.).*

[2] *Proskrypcye — bezprawnie przez chwilowych władców Rzymu sporządzane spisy obywateli, przeznaczonych na śmierć; z proskrypcyą był połączony zabór majątku.*

[3] *Tiberius i Gaius Gracchus, dwaj bracia z rodu Semproniuszów, usiłowali zaprowadzić pewne reformy na korzyść ludu; ale obaj zginęli, nie przeprowadziwszy swoich zamiarów, starszy w r. 133, młodszy w r. 121 przed Chr.*

[4] *Mowa o arystokratycznej rodzinie Appiuszów, której typowym przedstawicielem był Appius Claudius Caecus, cenzor r. 312, dwukrotnie konsul, twórca słynnej via Appia.*

cznej Rzeczypospolitej. — Takiem marzeniem obłąkany Brutus ojca własnego[1] *największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając, zwątpi o sobie, o ojczyźnie i bogach i krzyknie: »Cnota jest także złudzeniem!« — Dusza zabijającego się Brutusa to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego.*

A nie tylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materyalnej strony ówczesnego człowieczeństwa. Kiedy albowiem wszystko na polu ducha się rozprasza, skądinąd wszystko na polu materyalnych spraw i celów coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowywa. Rzym, choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juliusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży —

[1] *Por. t. III, str. 157, przyp.*

przejdzie Rubikon bezbożnik — powie: »Iacta alea est«[1] *— cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallią o Egipt uderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomiesza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion, nie znających siebie, zetrze na piasek jeden, ten sam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa. I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest messyaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej bogiem. — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana. — On świat przywiódł do materyalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię, znaną podówczas, zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec.*

A lat niewiele później któż zaczął stąpać po tej bitej drodze, kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr? — czy nie Paweł? — czy nie Jan święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcijan przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszko-

[1] *Por. t. III, str. 166.*

dzić rozprzestrzenieniu się nowej religii — że to samo, co ich na »krótko-« i »krotochwilnych« bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi, poczętemu z nieba — i że jedność materyalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyj podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla chrześcijaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej, o ile sił zniewieściałych im stało — a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym chrześcijaństwa wzrostem. W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historyi dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak, jak handlarze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu szatanów widomych na ziemi każden był sługą bożych myśli — każden jedną cegłą więcej, rzuconą do budowy Kościoła. — Jako Imperatory przeszli oni, obarczeni przekleństwami ludzi — jako »cegły« zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w historyi!

*

»Discite historiam exemplo moniti!« [1] *— Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznem, epileptycznem zadrgnieniu rewolucyi francuskiej. — Zerwały się cie-*

1 *»Bierzcie naukę z historyi, pouczeni przykładem« tj. przykładem pierwszych wieków chrześcijaństwa; cytat, stosownie zmieniony, z Werg. Eneidy VI 620.*

nie Maryusza, Sulli, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera[1] *— wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona. — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli Duch boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł, umierając na skale wygnania: »Odemnie liczyć się będzie nowej ery początek«. W tem słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości.— Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w »niszczeniu«, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty. — Od Grakchów świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i do pełnienia obietnicy Chrystusa!*

W okręgach religijnych wszędzie rozbrat. — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego soboru[2] *ujęty — schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa na tysiąc kacerstw*

---

[1] *Danton, Saint-Just, Robespierre — krwawe postacie z czasów rewolucyi francuskiej.*

[2] *Ostatnim soborem był wtedy sobór Trydencki (1537—1563).*

rozerwana — protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący: »Consummatum est!«[1] *W okręgach filozoficznej wiedzy pewność, ale »braku« tylko — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość nie zdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. — »Wściekło-flegmatyczne«, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej do najwyższego bezkształtu doszłe. Jednostronność »myśli« tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódy jednostronność »materyi«, której się trzymał ród Encyklopedystów francuskich.*[2] *Stąd mniemań, teoryj, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój, brzęczący nad Europą.*

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie wszystkie, panteizm[3] *indyjski cały, dualizm*[4] *perski, monoteizm*[5] *hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna, wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwające tak, iż*

---

[1] *»Dopełniło się«.*

[2] *Encyklopedyści francuscy — właściwie współpracownicy wielkiej francuskiej encyklopedyi, wydawanej przez Diderota i d' Alemberta w latach 1751—1763, w ogólniejszem znaczeniu filozofowie Diderot, d' Alembert, Voltaire, Rousseau i inni, którzy w artykułach, umieszczanych w Encyklopedyi, szerzyli swoje poglądy filozoficzne.*

[3] *Panteizm (z greck.) »wszechbóstwo« — kierunek filozoficzny, ubóstwiający wszechświat i nie uznający poza nim osobowego Boga.*

[4] *Dualizm perski — tj. wiara w pierwiastek dobrego (Aryman) i w pierwiastek złego (Ormuzd).*

[5] *Monoteizm (z greck.) — »jednobóstwo«, wiara w jednego boga.*

trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnienia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły i, nową iskrą życia pojednane, zmartwychwstały młodemi napowrót — oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchia to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka, a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech. — Kiedyż ta pomoc odmówioną była? Kiedyż Bóg opuścił historyą, kiedy historya wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: »Pokaż się nam, Panie!«

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku, tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historyi. — Gdyby inaczej było, ducha ludzkiego, własną wolą wyrabiającego się, by nie było — gdzieżby się podziała zasługa, którą on zasługiwa się w czasie? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego w historyi, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? — By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem na to, by umierać. Gdy boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie boże grób ludzki rozwala — Chrystus umarł i wstał z martwych.

I epoce, wszczętej w słowie Jego, tak samo uczy-

nić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać. — Otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości, co wiedzie do grobu — nas dalej już losy zaniosły i głębiej złożyły — my w grobie — mylę się — my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wzwyczajone poglądać na sińce zgonu, rozciągające się po ciele europejskiego świata. — Stąd ból wieczny, co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie, a nie wiecie, dokąd — i nie modlicie się już, jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: »Źle nam jest«. Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanymi — nikt naszego, aż dotąd, religijnym. — Cywilizacya się poczęła w chwili, gdy wiara konała — cywilizacya jest to jedność materyalnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się Słowa bożego. — Patrzcie, jak rosła i ugładzała wszystko na to, by idące słowo boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzieliło z domu do domu, z kraju do kraju! — Czemże Napoleon, jeśli nie tym drugim w historyi aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej, gdy już blizka godzina Pańskiej podróży? — Państwo jego uniwersalne rozwiało się, jak złudzenie — on umarł

na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny[1] *w stolicy nieprzyjaciela — bracia pozostali i ród ich miernością — gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia każde z nich nosiło królewską koronę. — A jednak mimo to pamięć tego człowieka nie pamiątką po umarłym, ale duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest. — Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń, na chwilę wszechmocna, spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. — Zapoznane ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch germański już się nie rozprzęże — włoski toż samo i hiszpański toż samo. On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.*

*

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed Nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było, bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu ciężą, jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; On to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać codzień te słowa: »Przyjdź królestwo Twoje!« — i takiem westchnieniem od lat dwóch tysięcy my wszyscy prosiemy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego niemasz — wszystko od Stwór-

[1] *Napoleon Franciszek Józef Karol ks. Reichstadt, syn Napoleona I i Maryi Ludwiki, ur. 1811, um. 1832 w Schönbrunn pod Wiedniem.*

cy, myśl i ciało, Bóg nam niejako pożyczył nas samych. — Naszym jedynie użytek, jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa, którą stajemy się tem, czem mamy pozostać kiedyś w obliczu Boga, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko śród ludzkości położoną być może; ludzkość zatem, śród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w bożym pomyśle harmonią, a nie znikomą marnostką, bez wagi i celu. Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem, ani rozumem; każden drugiego pobocznicą, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą, samego Boga potęgę.

Lecz czemże jest planetarna ludzkość?[1] *Oto całością i jednością wszystkich możności ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich, to jest, »narodowości«. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego »Ja« ludzkiego, który je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome muszą w rozmaitości swojej, a zarazem harmonii stać się kiedyś żywymi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości:*

[1] *Planetarna ludzkość — mieszkająca na planecie ziemi.*

»A wszystko sprawuje jeden a tenże Duch, udzielając z osobna każdemu, jako chce.

»Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego, choć ich wiele jest, są jednem ciałem, tak i Chrystus!«

(Ś. Paweł. I list do Koryntyan, r. XII w. 11—12)[1].

Objawienie Syna bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy. —

Słowo Chrystusowe nie mogło odrazu przetwarzać polityki pogańskiego świata, bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów, w niej żyjących; musiało zatem »schrześcijanić« szczególne dusze[2] *przed chrześcijanieniem stosunków między narodami i państwami. —*

Ale za dni naszych osobnik każden chrześcijaninem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześcijańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześcijańskiej? Oczywiście, w sferę nie dotkniętą, nie przerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. — Świat blizki nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić się nie może), ale wielkiego »przemienienia« się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia. — Już w tych wyrazach: »Oddajcież tedy, co cesarskiego jest, Cezarowi, a co

[1] *Cytat wedle biblii gdańskiej (1632).*

[2] *Szczególne dusze — dusze jednostek.*

boskiego, Bogu!« zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. — Bo ponieważ wszystko »bożem« jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią cezarową a bożą coraz bardziej się zmniejszać i to, co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonem za należne Bogu, aż stanie się państwo Cezara nicością, a Królestwo boże wszystkiem.

Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historya; wie, że nią rządzi mądrość boża i że celem jej jest ludzkość czyli cała powszechność, zgodna z wolą bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał. Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi są »narodowości«, w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie: rozmaitością i zgodą zarazem. — Bez nich niepodobna pomyślić ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka. —

Państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przysypkowym[1] cząstek.—Jedne narodowości są kreacyi bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwione jedne tylko mogą być chrześcijańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. — Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże — i oni zapra-

[1] *Zbiór przysypkowy — zbiór, powstały przez przysypywanie, t. j. dodawanie cząstek.*

gnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić w Europie. — Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność. że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckiemi, woli bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów Reformy[1] *zupełnie pogańską się stała. —*

Tu machiawelizmu[2]*, tu dyplomacyi początek; interes ziemski ubóstwiony, boże Królestwo ścieśnione do progów kościoła każdego. — Za murami przybytku wszechprzytomnego Boga już niema — umarli tylko śpią na cmentarzu — a dalej na bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy, pod nimi zaś — ucisk i niewola albo bunt i zwierzęcy szał! —*

Wszystkie państwa na przekór narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozćwiertowaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. — Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok, nigdzie jednak tak antychrystycznie, jak rozbiorem Polski. —

Trzy państwa, wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacyi, słowem na tem, co zowie się polityką, roz-

---

1 *Reforma — tu w znaczeniu: Reformacya.*

2 *Machiawelizm — system zasad politycznych, nie oparty na moralności, za którego twórcę uchodzi znakomity historyk i statysta Mikołaj Macchiavelli (ur. 1469, um. 1527 we Florencyi).*

dzierają narodowość żywą czyli jednego ze członków widomych ludzkości. — Tym czynem polityka przesięga za własne granice. —

Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo, z gry chuci ludzkich powstałe, rozszarpać byłoby to polityczną zbrodnią; ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie bożej, prawdzie wiecznej, jest świętokradztwem! Tak samo, jak z drugiej strony nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności, jest religią!

W chwili rozbiorów stało się to jako »factum[1]*«; ale duch Polski dopiero teraz wsumienił*[2] *się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem, wybranem w historyi do posunienia jej postępu dalej. — Inaczej być nie mogło — prawo boże albowiem, skaleczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci. W narodowości, której krzywdą najsroższej ludzkość pogwałcona— najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć — idea ludzkości.*

Płciowość, polarność[3] *jest prawem powszechnem,*

[1] *Factum (wyraz łaciński) — to, co się stało, czyn dokonany.*

[2] *Wsumienić się (wyraz utworzony przez Krasińskiego)—poczuć się w własnem sumieniu.*

[3] *Polarność — biegunowość np. w magnetyźmie, elektryczności.*

prawem jednem i wszechobecnem tak w naturze, jak w duchu, tylko że pod coraz wyższymi kształtami się objawia; naprzykład biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. — Prawo to na tem zależy, że jedna i taż sama siła w naturze lub idea w duchu objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między tymi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. — W stosie galwanicznym z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? — W biegun ujemny. — Mężczyzna do kogóż się ma, w kim się odbija? — W niewieście. — Myśl czem się wyraża? — Ciałem. Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą na to, by całość istnieć mogła. —

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie nadchodzący postęp historyi i Polska — koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie. Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości? — Zaprawdę, że w Polszcze. —

Trzeba było śmierci naszej, trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. — Właśnie przez naszą narodowość, umęczoną na krzyżu historyi, objawi się w sumieniu ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemie-

nić w sferę religijną — i że Kościół boży na tej ziemi to nie tylko to lub ono miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie, jakiekolwiek być mogą, stosunki tak osobników, jak narodów między sobą.

»Domini est terra et plenitudo eius, orbis terrarum et universi, qui habitant in eo«. (Psal. 23, 1)[1].

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkiem rozszerzenie obecności bożej. — Pan w całej sferze politycznej, kędy dotąd Go nie było, przytomnym się stanie, a narzędziem Jego opatrzności do tego nikt inny, jedno naród polski.

Jedno z dwojga—albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedyne, słowo Chrystusowe albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt, zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jedno bożego — przeto nazywam ją religijną. — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (»religare«[2]*) ziemię naszą z niebem. —*

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona — niech pojmie myślą, co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polszcze i przez Polskę

---

1 *»Pańska jest ziemia i napełnienie jej, okrąg ziemie i wszyscy, którzy mieszkają na niej« (Przekład Jakuba Wujka).*

2 *Religare—związać; autor jest zdania tych, co wywodzą słowo »religio« od »religare«.*

zacząć się opatrznie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się objawienia Chrystusowego w ludzkości. —

Dnia 17 marca 1843 roku.

Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany
I słyszeć zdala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany —
Jak Dant[1] — przez piekło przeszedłem za życia!

Z razu jam ufał, że Bóg miłosierny,
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny;
Zrazu jam ufał, że za dni niewiele
Zlecą zesłane anioły-mściciele
I grób ten pęknie, co stoi śród świata,
Przyparty ręką olbrzymiego kata.
Lecz dni płynęły, upłynęły lata:
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą
I coraz podlej na tej ziemi było!
Więc duch mój upadł w tę próżnią zwątpienia,
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa

---

[1] Dante odbywa w swej »Boskiej Komedyi« wędrówkę po piekle, oprowadzany przez poetę rzymskiego Wergiliusza.

I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: »*Tu niema nadziei!*«[1]

Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą —
Jak Dant — za życia przeszedłem przez piekło!
Lecz i mnie także zbiegła w pomoc pani,
Której się wzroku czarne duchy boją;
I mnie też anioł wybawił z otchłani,
I ja też miałem Beatricze[2] moją!

O równie piękna, nad planety ciemnie
Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz odemnie,
By zasiąść w niebie — bez bólu — niebiańska!
O równie piękna i bardziej chrześciańska,
Tam, gdzie ból rośnie, tam, gdzie łza się plemi,
Tyś z bratem twoim została na ziemi!
W jednych my cierniów chadzali koronie,
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie
I z jednych trucizn piekielnego zdroja
My pili razem, o Beatryks moja!

A jednak, jednak mój jęk, twe westchnienia,
Zmieszane, zlane, przebrzmiały na pienia!

---

[1] *Lasciate ogni speranza voi, ch'entrate.* »Wy, co tu wstępujecie, porzućcie wszelką nadzieję«. Tak się kończy napis na bramie piekielnej u Dantego (Piekło III, w. 9.)

[2] Beatrice Portinari, zmarła młodo, platonicznie miłowana bogdanka Dantego oprowadza poetę w Boskiej Komedyi po raju, dokąd Wergili jako poganin wstępu nie miał. Beatryczą Krasińskiego jest tu Delfina z Komarów Potocka.

Z dwóch smutków, w duszne spojonych zamęście,
Wzbił się głos jeden — a tym głosem szczęście —
Ach! szczęście wiary, ach, nadziei siła,
Co w serce moje przez wzrok twój wróciła!
Tak chmury ciemne, pełne łez na niebie,
Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,
Z ich płaczu światło wypada wnet gromem
I mgła się staje złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zacznę, siostro, twem imieniem.
O, bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy, lecz pieśń, co nie kona,
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By, jak stróż anioł, strzedz nas, śpiących w grobie!
A może przyjdzie chwila, że wskrzeszeni
W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni,
Wstaniem, jej dźwięków znów spójni[1] łańcuchem,
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,
Jak duch zbawiony ze zbawionym duchem,
Oboje czyści, świetlani i święci!

[1] Spójni — w znaczeniu biernem: spojeni.

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora[1] włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w niebo — przodem
Pną się ostrza, kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Poza wzgórzem spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże,
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug,
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie:
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi.
Widzę jeszcze, widzę ciebie:
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,

[1] Mowa o jeziorze *Como* u stóp Alp w północnych Włoszech.

Światłokręgiem twoje skronie
Rozanielił blask księżyca.
W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni
Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo
Na szafirów tych głębinie!
Za jeziora przezroczami
Majaczeją wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie!
Takem silny, takem dumny!
Siostro moja, mnie się zdaje,
Że w tej chwili ze snu trumny
Nasza Święta[1] gdzieś już wstaje!

Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal;
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

[1] T. j. Polska.

Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu:
Daj mi teraz marzyć, daj!
. . . . . .

. . . . . .

Bądźmy dumni, mój aniele,
Bo, nim zstąpi cud i zbawi
Tych, co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi,
Nam nie brudzi czoła trwoga;
My podnosim wzrok nasz w górę
I, gdy widzim tę naturę,
W niej i za nią czujem — Boga!

My, w natchnieniu wspólnych marzeń
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem, kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce
Gdy ściśniemy sobie ręce,
W niej i za nią czujem — Boga!

My, zabitej matki dzieci,
My, co nigdy nie widzieli,
Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swem anieli,
My, z mogiły naszej rodem,
Po niej wiecznie krwawym chodem,
Jak upiory, stąpać musim!

Jednak w każdej życia dobie,
Za tym grobem i w tym grobie,
Wiarą w niebo — niebo kusim,
Pozywamy na sąd wroga,
Bo dzień sądu w piersiach nosim,
I ufamy, że wyprosim
To, co boskiem jest — u Boga!

Módl się ze mną, moja siostro!
Módl się, klęknij tu w pokorze;
Lecz patrz w górę śmiało — ostro,
Jak sierota spojrzeć może!
Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca
Tkwią, jak szruby niewzruszone,
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają, w bezmiar naciągnione!
Po tych strunach duch przelata,
Na tych strunach duch przegrywa
I w tej pieśni sam spoczywa:
Ta pieśń — zgodą — ciszą świata!

Słuchaj! W dźwięków tych wszechzgodzie
Brak jednego dziś imienia!
Patrz, w tych świateł wszechpogodzie
Brak jednego dziś promienia!
Módl się ze mną, wymów imię,
Co wypadło z lutni życia,

Wskaż tę gwiazdę, która drzymie,
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
Wymów, wymów Polski imię:
Może słucha nas Duch boży
I stracony dźwięk ten przyjmie,
Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało
I spokojnie i bezpiecznie!
Jak Bóg w niebie — tak koniecznie
Bóg nas wcieli w drugie ciało!
Bośmy w żadnej zgonu chwili
Ducha nigdy nie stracili,
Próbę grobu my odbyli:
Prawem naszem — zmartwychwstanie!
Dziś lub jutro dasz je, Panie!
O, dasz w Swej sprawiedliwości,
Nie, coś winien nam — lecz Sobie!
Bo któż w naszym wyżył grobie?
Kto nam dotąd w piersiach gości? —
Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!
Żadna inna moc ni siła,
Jedno Twoja się zjawiła
Tu — po naszym w nas — pogrzebie!
Twoja wszechmoc tylko, Boże,
Cośmy znieśli, przetrwać może!
Twej potęgi tylko chwała,
Tak, jak Polski — jest bez ciała!
Duch Twój tylko jeden zdoła
Nie zatracić — w śmierci — Siebie.

Więc, gdy dzisiaj z ziemi woła,
Ty odpowiesz mu na niebie!

Gdym tak mówił, tyś uklękła,
Strunnym jękiem harfa jękła,
Bo o struny, które wkoło
Porozzłacał blask miesiąca,
Tyś oparła śnieżne czoło
I tak klęczysz, wzdychająca!
Z za tej kraty strun twe oko
Patrzy mglisto i głęboko;
Na twych ustach słów już niema,
Tylko jedno drżące tchnienie
Całość duszy na nich trzyma.
Módl się, siostro, módl westchnieniem;
Bóg wie dobrze, że westchnienie
Dziś ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
Z świętej do świata miłości;
On nam bratem — zbawić brata
Trzeba było z win podłości,
Przyjąć na się — nie grzech — karę!
My przyjęli — i widziano
Śród narodów Polski marę,
Zstępującą w grób na trzy dni;
Dnia trzeciego się rozwidni
I na wieki będzie rano!

Ha! Myślicie, że, kto kocha
I umiera, ten już ginie?
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się przelał w drugich tylko,
Mieszka w ludzkich serc ukryciu
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile,
Jak uczynił Bóg, co w niebie,
Daje wszystkim, daje siebie,
A nie traci na swej sile!
Musi długo niewidzialny,

Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,
Palić ogniem serc tych skazy,
Miękczyć łzami dusz tych głazy
I przez grobu męki, trudy,
Harmonijną pieśnią śmierci,
Choć rozdarty sam na ćwierci,
W jedną miłość spajać ludy!

Ha! Wy dziwnie tu marzycie!
Wam, śmiertelnym, się zachciało
Nieśmiertelnych zabić życie —
Raniliście tylko ciało!
Śmierć i miłość — wy nie wiecie,
Że to jedno w duchów świecie?
Wy, w piekielnej już topieli
Wyżej piersi zanurzeni,
Z Boga tylko to pojęli,
Czem objawił się w przestrzeni!
Myśl, co w mózgach waszych gości,
Myślą tylko ciał martwości![1]
Tu z was każden, jak morderca,
Chce pozbawić ludzkość serca
I kościotrup po niej nagi
Rządzić prawem równowagi,
Rozdajecie, jak świat wielki,
Wszystkim więzy albo sidła!
Nie tak — nie tak — bo duch wszelki
Ma w anielskie poróść skrzydła!

[1] Ciał martwość — meton. zamiast: ciała martwe.

Wiecznotrwały ten na ziemi,
Kto swą śmiercią życie plemi;
Lecz kto życiem swem — śmierć daje,
Ten, gdy skona — już nie wstaje!

O wy, nizcy, o wy, ciemni
I okrutni i nikczemni,
Wy, przewiędłe w nicość dusze,
Bez ducha Faryzeusze,
Wy, kuszący piorun boży,
Aż was w prochu tu położy,
Wy, szpiegowie, i wy, katy
Z wypranemi od krwi szaty,
Wy, półśrodków sztucznych pany,
Co kładziecie żar na rany,
A gdy jęknie wam męczennik,
Ogłaszacie mu, że zmiennik —
Kłamcy wieczni z prawem waszem,
Czy z kupiecką zysku szalą,
Czy z bagnetem i pałaszem,
Wy, bożyszcza, którym palą
Dym kadzidła dzieci trwogi —
Ziemia waszym struta jadem,
Wyście tylko ziemi gadem,
Choć się macie za jej bogi!

Nie znam na was hańby słowa!
Nie, że język mój ubogi,
Lecz, że boską ludzka mowa,
Nadto piękna — czysta — święta,
Bo z anielskich krain wzięta —

By was nazwać po imieniu!
Jabym rzucił w grzmiącem pieniu
Wam serc wszystkich wszechprzekleństwo
I, jak zemsty jędza wściekła,
Gnał was biczem żmij do piekła,
Starł wam z czoła człowieczeństwo,
Bladych, krwawych, skutych w pęta
Stawił w wieku sądnem kole,
By wydeptały na czole
Wam nadgrobek ten: — »Zwierzęta!« —
Ale w duchu jest pogarda,
Co ma także swe panieństwo,
I, gdy gardzi — nadto harda,
By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami?
Co tak patrzysz bezprzytomnie?
Siostro moja, wstań, chodź do mnie!
Prawda z Polską — Polska z nami!
Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —
Skroń mi oprzej na ramieniu,
Niechaj widzę twoje czoło,
Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury
Zstąpi całkiem za te góry,
Nim te gwiazdy się dopalą,
Nim powróci promień słońca
I przeminie czar, co trąca

Piersi moje nad tą falą:
Niech ci wyższy cud obwieszczę
Nad uciski, nad boleści!
O aniele mój niewieści,
Słuchaj jeszcze... słuchaj jeszcze!...

Znasz ty miłość, która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk anioła
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca,
Jak trupiego widmo lica,
I gwiazd niema — tylko ona
W środku niebios, niewzruszona,
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały?
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaspy — śniegi — lody — szrony.
Strach, jak biało — pusto — marno!
Groby tylko, z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna wola
Myśl twą rzuci na te pola,

Zda się tobie, że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą
I że wisi wciąż nad tobą
Ten przejrzysty trup miesiąca.
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy —
Nieskończoność przed twym wzrokiem —
I nad głową — ten straszliwy
Krąg ci niebios także rośnie.
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały cmętarz drga, jak żywy,
Z grobów wieją modły — jęki,
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroic słychać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze,
Pomne życia — tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały
Z boku na bok — i marzyły
Mękę Polski w snach mogiły!

Nie, co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarem bóstwo,
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz, grób każden się roztwiera,
Umarłego ci oddaje! —
Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany,
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię dokoła,
Cmętarz z lodu i z kamienia
W sejm — w zjazd — w Polskę się przemienia!

Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok próchnem błękitnieje,
Znać w nim wiarę i nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem.
Na tej białej snów mych ziemi
Jam ich widział — i przed niemi
Tak, jak pada trup, padałem.
Na ich stopach kładł ja skronie,
I podrywał ku nim dłonie,
Tam łzą — krzykiem — sercem całem
O zgon Polski ich pytałem,
Ja, urodzon po jej zgonie.

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali,
Że, tak dbając o nas mało,
Krew nam i w tej krwi — śmierć dali?

Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk,
Wszystkie zmarłe te zrzenice
Z pod ich przyłbic, jak gromnice,
Płoną ku mnie — razem, górą
Wszystkie wzbiły się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą
I tych bladych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie
W niebo rośnie ponademną!
Tak, jak rosa z polnych kłosów,
Pot mi trwogi ścieka z włosów,
A na piersiach zmora siędzie,
Ni odwrócić mogę wzroku:
Tu — przedemną — za mną — z boku
Oni stoją tłumem wszędzie,
Zewsząd słyszę ich oddechy
I pogardy słyszę śmiechy.
Patrzą na mnie ci umarli,
Jak półbogi — a z ich lica
Patrzy wieków tajemnica
I z nich każden ją rozumie.
Więc mną gardzą w świętej dumie,
Aż pogardą mi rozdarli
Serce — i serce ze stali,
Gdy tak śmiechem mi łajali,
Pękłoby! — O tej snu porze,
Ach, pamiętam, strasznie, smętno!
Więc jak mogę, tak się korzę,

Aż znów zerwie się namiętno
Duch mój — krzyknę: »O ojcowie,
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy!
Któż na świecie mi tym powie
Prawdę świętą, jeśli nie wy?
Jam was przyszedł pytać o nią,
Odpowiedzcie więc synowi!
Niech się Polska wasza dowie,
Że jej duchy wasze bronią!«

Wtedy hetman,[1] co przy grobie
Oddalonym zwykle trzyma
Na szablicy ręce obie,
Żadnych pętlic złotych nie ma,
Ni turkusów w buzdyganie,[2]
Jedno pancerz za ubranie,
A na rysiej z wierzchu skórze
Miasto haftów — kul przestrzały —
I na licu — blizny duże —
I na czole — hełm niecały,
On wódz zmarły, co tam zawsze
Na mnie oczy ma łaskawsze,
Choć z nich wszystkich najbutniejszy
I z nich wszystkich najsmutniejszy —
Jak stał cichy i ponury,
Nagle czoło wzniósł do góry,
Wyprostował się ogromnie

[1] Hetman — Stefan Czarnecki.

[2] Buzdygan (z tur.) — rodzaj maczugi stalowej lub żelaznej; nosili ją u nas dowódcy wojskowi.

I szedł, jęcząc, zwolna do mnie.
Jam znów przykląkł — i wzwyż głowy
Usłyszałem głos grobowy:

»Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli,
Ja wyrosłem — i snać, tuszę,
Że ból tylko tam, na świecie,
Kiedyś pysznych w piekło zmiecie.
Komu dawa Pan katusze,
Obietnice temu składa.
Słowo Pańskie — żadna zdrada —
Ono musi zbawić duszę.
Jakie lądy, jakie morza
Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie.
Za dni moich źle już było;
Jak się mogło, tak służyło
Szczerą chęcią, w krwawym trudzie,
Braci szlachcie. — Łaska boża
Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!
Bo ojczyźnie mojej dała
Z piekieł ziemskich wynijść łona,
Nie żyć w innych ludów modle,[1]
Raczej umrzeć — jak żyć podle;
Za to Panu wieczna chwała!

»Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo,

[1] ...w innych ludów modle — na modłę, na sposób, obyczajem.

Bo to potwarz i bluźnierstwo!
Azaż ty wiesz, jak z godziny
Dni się snują, jak z dnia wieki?
Tylko zmarły — co w żałobie
Tęskni, czeka, marzy w grobie,
A nie żywy — wiedzieć może,
Co czas blizki, co daleki,
Co noc wieczna, a co zorze
I co boskiej znak opieki.

»Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu, który stoi
Wkoło Polski, a dziś pada,
Bylibyście dziś, jak oni,
Kramem tylko — nie narodem,
Sklepem, śpiącej pełnym broni —
Wyście duchem, co nią włada!
My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się za gości
Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie
Przez rozwarte dziejów pole
Los nas pędził w wyższą dolę,
Ku tej Polszcze, która *będzie*.
I przez ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie,
Mimo wiedzy — wy musicie
Ku królestwu iść bożemu,
Co ma jaśnieć na tym świecie:

My szli tamże po staremu,
Wy dziś z młoda tam idziecie.

»Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu,
Pan powiązał ojców z syny.
Ni ten łańcuch kiedy pęknie;
Wszystkim razem dobrze — pięknie!
I z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie ludów lud jedyny:
Błogosławcie ojców winie!«

I umilka hetman mowca,
Znów wstecz idzie do grobowca.
Grobu głazy się rozwarły,
Śród czarnego ich przełomu
Ten umarłych wódz umarły
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
Rąk nademną mgła wisząca,
W oczach tają mi widm twarze —
Step się łamie — niebo kruszy —
Znów te wszystkie mi cmętarze
Zapadają w przepaść duszy.
Lecz drga w uchu, jęczy w duchu
Jeszcze z rana głos hetmana;
Ze snu tego, rozwianego,
Myśl ta jedna — nie rozwiana.

Coraz smutniej już w przestworze,
Coraz czarniej na jeziorze;
Pogrzebowa z chmur przesłona
U gór szczytu rozwieszona —
I w nią księżyc spadł — i kona.

Przebóg, siostro, co się dzieje?
To nie wiatru szum tak wieje!
Ktoś tam z cicha — płacze, wzdycha —
Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
W nocnym wietrze przez powietrze
Tysiąc jęków do nas bieży.
Już brzeg cały — wzgórza, skały
Brzmią modlitwy głuchej kołem.
Wielki Boże! czy być może?
Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami — tam, przed nami,
Jak sny lekkie — lekką zgrają
Na opokach się wieszają;
Jak płomyki — jak ogniki,
To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostro! Uderz w struny!
By ich łacniej pieśń zaklęła,

W akordowe graj pioruny,
Graj im: »*Jeszcze nie zginęła!...*«
Harfą — głosem — płacz, proś, szalej!
Pieśń rodzinna tu powinna
Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli!
Na ciemnościach tacy bieli
Z skał spływają już do brzegu!
Ot! w powietrznym już pochodzie
Po tej czarnej kroczą wodzie,
Jak olbrzymie słupy śniegu!

Czy to cuda?
Czy to złuda?
Dźwięk po dźwięku
Skrzy ci w ręku,
Harfa cała
Tli i pała,
Każda nuta,
Z strun wysnuta,
Przestrzeń trąca,
Gorejąca!
I wzwyż fali
Pieśń się pali,
Ku mar stronie
Pędzi — goni
I wciąż płonie
I wciąż dzwoni!

Przewodowo — zwolna — święcie
Przez to dźwięków rozbłyśnięcie

Idą, idą wszystkie mary.
Patrzaj, patrzaj: w dziwnej chwale,
Wszyscy z trumien polskich rodem,
Idą — idą przez te fale
Chrystusowym do nas chodem!

Tam buńczuki[1], tam sztandary,
Śnieżne pióra i korony,
Katolicki krzyż wzniesiony;
W koło herby — tarcze — znaki
I tłum szabel — i szyszaki.
Przeciągają — patrz, tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz — czy widzisz? — Anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy,
W górze, w górze zawieszona,
Wschodzi — weszła — tli — drga — płonie!
Ot! z błękitów i szkarłatów
Już otęcza ją przesłona!
Na tle z pereł, na tle z kwiatów
Dyamentowa lśni korona...
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie;
Czy poznajesz ty, kto ona?
Witaj, witaj! — To Królowa,
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie

[1] Buńczuk (ogon koński) podwójny noszono u nas przed hetmanem wielkim, pojedynczy przed polnym.

Niegdyś dali Jej ojcowie,
I tych ojców przez te tonie,
Patrz, prowadzi!

Nie graj więcej!
Z fal tych drugiej takiej tęczy
Nasza harfa nie wydźwięczy,
Ni te duchy tu przynęci!
Już ich tknęło światło boże
I gdzieś śpieszą — zbrojnie — skoro.
Złotem wokół szklni jezioro,
Na ich hełmach błyska zorze;
W dawnym polskich bitew stroju,
Przebóstwieni — rozzłoceni,
Przesuwają się w przestrzeni,
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła, w zbroję wtknięte,
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą;
Turkusami zbroje spięte,
Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy
I dobyte do połowy
Damasceńskie[1] ich szablice.
Każden oczy ma wzniesione,
W przeanielską patrzy Panią
I po falach stąpa za Nią
W nieskończoną jakąś stronę;

[1] Damasceńskie szable, demeszki — wyrabiane w m. Damaszku w Syryi.

I miecz dławi w swej prawicy
Wyżej serca, na zbroicy,
Jakby miał się ku obronie
Tej, lecącej w gwiazd koronie.
A Królowa ta nie z ziemi,
Jak sen, wije się przed niemi
Coraz dalej...

Pani, Pani!
Wszak z pomarłem sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani
Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi
I Ty powiesz szatanowi,
Że lud polski Twój — zwycięża!

Uderzyła łask godzina!
Znowu Tobą i przez Ciebie
Myśl przedwieczna, żywa w niebie,
Żyć pod niebem rozpoczyna.
Płyńże, płyńże, lilio boża,
Poza lądy, poza morza,
Nad piekielne wzbij się jary!
Świeć im oczu Twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary,
Który wieków był złudzeniem!
U stóp Twoich on polęże,
A ci zbrojni, polscy męże
W pierś mu wetkną miecz ze stali,
Podeptają w imię Boga

Odwiecznego ludzi wroga. —
Wszakżeć na to z grobu wstali!
Wtedy, wtedy na tym świecie
Wzrosną życia kształty trzecie[1]!
Wtedy, wtedy nam z powieki
Pan łzy otrze — i na wieki!

Wiem już teraz, o ojcowie,
Gdzie z Królową tą w szkarłacie
Tak śpieszycie — przemijacie!
Ale czyjże głos mi powie,
Kiedy nazad z tej oddali
Na tę ziemię powrócicie,
By i żywi w złotym świcie
Z letargowych trumien wstali?

Już daleko wy na fali;
Coraz dalej — coraz dalej
Ku wschodowi, ku jutrzence
Lśnią wzniesione wasze ręce!
Na te góry, na te brzegi
Dnia już padły jasne gońce,
Czerwienieją skał tych śniegi,
Mgła się płoni u wód końca,
Za nią pierwszy promień słońca!
I te białe ich szeregi
Idą prosto w to wschodzące
Wielkokrężne — złote słońce!

[1] Życia kształty trzecie — tj. przyszła epoka doskonalsza, Ducha św. (pierwsza Boga Ojca, druga Boga Syna).

Płoną, mdleją, nieznacznieją,
Już ich niema — z tych topieli
Poszli w światło i zniknęli,
Poszli z światłem — i z nadzieją!

Nic nie ujrzeć już w przestrzeni
Prócz lazurów i promieni;
Znów spokojna toń jeziora,
Znów te skały i te góry
I to niebo i te chmury
Tak, jak zawsze — tak, jak wczora!

Noc minęła — lecz z jej cieni
Wiara w piersiach się została,
Ni tej wiary los już zmieni;
Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty.
Ten widnokrąg objąć świata
I przycisnąć świat, jak brata,
Do mych piersi — bom szczęśliwy!
Wszystko moje, wszystko piękne! —
Moje — ziemi, nieba niwy!
Z skał tych życia głos wydźwięknę,
Bo w mem sercu słowo boże!
Wszędzie cuda — wszędzie dziwy —
Ja roztopię się w przestworze!
Ja ci mówię — żem szczęśliwy!
Polska moja — Polska *będzie!*
Dzięki wszystkim i wszystkiemu,

W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu — duchom — ludziom — tobie —
I umarłym dzięki w grobie
I każdemu, kto jest żywy,
Temu światu wszechcałemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: »Panie,
Dzięki Tobie — bom szczęśliwy!«

Wszystko ludzkie znika — ginie —
Prysła ziemskich chwil zawiłość,
Myśl już pląsa w tej krainie,
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość.
Z dusz się naszych wzbił Duch trzeci,
Wyższy od nas — niepojęty —
Bo nam w piersiach wre i świeci,
A zarazem w górę leci,
Już z tych piersi wniebowzięty.

I w tej chwili przemienienia
O, pamiętaj, wspólnym wzrokiem,
Tej istoty trzeciej okiem —
Jej, nie naszym — my ujrzeli
Głąb rozkrytą przeznaczenia!

Czy pamiętasz? — my widzieli —
Gdzie? — ja nie wiem, nie powtórzę —
Ni na dole, ani w górze,
Ni na wodach, ani w chmurze —
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
Gdzieś w odwiecznych świateł bieli,
W próżni — kędy się przed nami
Niewidzialne wskróś rozdarło,

Jak ocean się rozwarło
Ponad czasu przepaściami —
Oto nagle — tam — ujrzeli,
Jak się Polska, Polska cała
Jednem widmem zmartwychwstałem,
Archanielsko wielkiem, białem,
Z dni przyszłości wychylała
I na głębi dni tych stała,
Jeszcze widna — niby ciałem —
Lecz już w wieczność przebóstwiona —
Nieśmiertelna — nieskończona!

Jak blask słońca, tak jej lice!
I z błękitu ma zrzenice —
A jej wzrokiem — błyskawice!

Nad jej czołem z krwi korona,
Wieniec wspomnień purpurowy;
Lecz już przeszły wszystkie bole
I duch boży na jej czole —
Naokoło już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach
Miecz u piersi zawieszony,
Na tym mieczu trzy korony
Po trzech dawnych świata panach!

Choć już złego wiek skończony,
Na tej miecza rękojeści,
Oplecionej w trzy korony,
Rękę dotąd trzyma ona!

I ta ręka krwią znaczona
W Chrystusowy znak boleści,
I z tych koron czasem błyska;
I ta ręka wtedy ściska
Miecz olbrzymi — a z tej ręki
Na pamiątkę wieczną męki
Krew w wieczności jeszcze tryska!

A tam za nią — tam, wysoko —
Tam, daleko — tam, głęboko —
Za nią, w czasie i w przestrzeni,
Na tłach z światła — na tłach z cieni,
I z stron wszystkich — wkoło, wszędzie —
Jak mgły w ogniu — w tęczach pary —
Zewsząd wstają boże mary
Tego świata, który *będzie!*
Lecz już nie tak jasno-białe,
Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni zn czone krwią przeszłości,
Bohaterską krwią męczeństwa —
Tą boskością człowieczeństwa —
W znak królewski — śród ludzkości.

Wszystkie płoną pierwszym wschodem
I potęgi — i zwycięstwa.
Każda — wielkim jest narodem,
Ale tylko z niebios rodem,
A nie rodem z swego męstwa.
Młody listek ich wawrzynu,
Nie wywiodła ich z cmętarzy
Nad zgon wyższa wola czynu,

Ni im dano—czem śmierć darzy.
Bo, jak ojciec, grób ich skrycie
Nie wyuczył ścieżek Pana;
Wtóra mądrość im nie dana,
Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! Z chmur powodzi
Coraz więcej widm tych wschodzi,
Na ich skroniach róże wiosny —
Maj nadziei — maj żywota —
W ich spojrzeniach cisza złota,
Na ich ustach hymn radosny,
A pod nimi drży w przestworze
Szafirowych świateł morze.
I tam wszystkie przechylone
Z szczytu wieków swych patrzają;
Wszystkie, wszystkie, obrócone
W archanielskiej Pani stronę,
Coraz niżej się schylają.

Widzę — widzę — wzniosły ręce,
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą — ciskają życia wieńce
Pod Jej stopy — na Jej szaty!
Leci tuman róż w przestrzeni —
Na tem niebie każda róża
Nagle w iskrę się przemieni.
Wieniec każden tęczą tryśnie,
Spadająca kwiatów burza
W jedną zorzę się rozbłyśnie
I w powietrzny płaszcz z promieni,

W karmazynu wielką chmurę
Archanioła opierścieni,
Polskę moją — w jej purpurę!

Wszystkie, wszystkie duchy-ludy
Na szafirach swych dokoła
Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej, niźli wprzódy!
Rozkochane — zachwycone —
Widzę, widzę — już przyklękną,
W niej uznały boże piękno,
Dadzą jej świata koronę!

I przyklękły — i słyszałem
Głos, co woła w wiecznem niebie:
»Jak im Syna niegdyś dałem,
Tak im, Polsko, daję ciebie!
Syn Mój jeden był — i będzie,
Lecz myśl Jego żyje w tobie;
Bądź więc prawdą, jak On, wszędzie,
Ja cię córką moją robię.
Gdyś do grobu zstępowała,
Byłaś cząstką człowieczeństwa,
Ale teraz — w dniu zwycięstwa,
Imię twoje: *ludzkość cała,*
Ziemia tobie powierzona,
Byś ją wiodła *czynu* torem,
Aż się staną jej plemiona
Jednym ducha arcytworem!
Wzbij się w bezmiar nieskończony
Nad ubiegłych lat padołem,

Wtedy pójdą te miliony
Za planety archaniołem!«

I ujrzałem archanioła
Postać w bieli i w purpurze,
Z nad klęczących ludów koła
Podnoszącą się ku górze;
Obrócone wzwyż jej oczy,
Lecz ku duchów-ludów stronie,
Wyciągnięte na dół dłonie —
I tak znika wśród przezroczy.

W tę porwaną patrzą postać
Rozklęczone duchów grona;
Już nie mogą w dole zostać,
Już się wzięły pod ramiona,
Pojednane — połączone —
Wzbić się muszą — tam, gdzie ona,
Wichrem bożym poniesiona,
W coraz wyższą — wyższą stronę!
I zerwały się pospołu,
Z szafirowych niw padołu
Za mą Polską — jak za słońcem,
Popłynęły już do góry,
Narodowe — ziemskie chóry
Popłynęły tak, jak chmury,
Opasane tęcz tysiącem!

I ujrzałem wszechświat cały
Jak myśl jedną, która płonie
Skier milionem w jednem łonie!

Ach! widziałem bożej chwały
Wszechprzytomny kształt — bez końca,
Komet — planet — wiry, kręgi,
Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi,
Nad słońcami — jeszcze słońca!
Wszędzie światów, tak jak kwiatów,
W lazurowym tym ogrojcu;
I przez światła oceany
Jeden życia dźwięk rozlany,
Pieśń wszechgrzmiąca — wszechjedyna
Niebieskiego świata — syna
O niebieskim Bogu — Ojcu,
I przez wszechświat ten do Boga
Szła narodów ziemskich droga!
I wciąż Polska moja przodem
W nieskończoność z ludzkim rodem
Tam leciała!...

Czyje oko
Ją doścignie tak wysoko?
Kto uderzy ziemskiem czołem
Aż o stopy Stworzyciela?
Kto poleci z archaniołem
Tam, gdzie ludzkość się odwciela?
Już mi w piersiach serce mdleje —
Obraz znika — myśl się chwieje.
Siostro moja, czym w mogile?
Mnie tak słabo, konająco —
O, jam prosił tak gorąco,
Jam się modlił Bogu tyle

O tę jedną — jedną chwilę —
I ujrzałem !...

W tej godzinie,
O, pamiętaj, żeśmy byli
Na najwyższej dusz wyżynie —
Tam, skąd źródło życia płynie;
My u źródła życia pili!
Oko nasze już chwytało
To, co jeszcze bez imienia;
My na wolność rozpętali
Z głuchych więzów przedstworzenia
To, co jeszcze w nich drzemało,
I na chwilkę temu dali,
Co Bóg daje — kształt i ciało!
Siostro moja, my w tej chwili
Naszą wieczność już przeżyli!

Zrzuć więc smutek — zrzuć więc trwogę,
Daj mi rękę w jedną drogę!
Wiem, co trudu na niej jeszcze
I co bólu — i co klęski;
Ale ufaj w czucie wieszcze -–
Już nam błysnął świt zwycięski!

W tę ojczyznę, nieśmiertelną,
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą — naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię —
Takich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad pany,
Duch im prawdy z nieba dany
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się mnóstwo,
Cząstek rozdział lub rozbicie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie!

Krwią się brzydzą — choćby winną;
Duch już przez nich tylko stwarza
I, gdy stworzy ziemię inną,
Niema na niej już zbrodniarza!

Niema także podrzędnicy,
Bo niewieście wkońcu serce
Po lat długich poniewierce
Błysło z pączka tajemnicy.

Dawne pany biorą sami
Swe za dłonie niewolnice,
By, jak duchy, iść z duchami
I wstępować na stolicę!
Przemieniony ten planeta,
Już zapomniał, co kobieta —
Wie, co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie,
Jak świątynia, Panu rośnie;
W polskim kraju — w polskim raju —
Na wiekowych nieszczęść niwie
Już nie pusto — ni żałośnie;
Nigdzie — nigdzie już nie ciemno,
Ani za mną, ni przedemną —
Wszędzie jasno — sprawiedliwie!
Zrozumiana przeszłość święta,
Zrozumiane czyśca męki
I ten kielich z kata ręki
I te krzywdy i te pęta
I duch złego, który kusi
Do podłości serce dzielne,

I to serce, które musi
Wstać z tej śmierci — nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,
Polsko moja przemieniona!
Ponad ziemskich szum zawiei
Tyś się wzbiła w kraj idei!
Inni pomrą bez nadziei
Śród otchłani lub w dolinie,
Lecz ty stoisz na wyżynie!
U stóp twoich czasu fala
Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku,
Lecz idea nie przeminie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem — domem — obyczajem,
Państwa skonem — albo zjawem,
Ale wiarą — ale prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamie,
Kto cię zdradzi — kto cię złamie;
Bo myśl Boga w twojem łonie
I los świata — w twym zakonie!

*

Wiekuisty ojców Boże,
Ty, co górny i daleki,
Coraz jaśniej w nas przez wieki

Tu zstępujesz — i, jak zorze,
Z bram wieczności w czasu tonie
Skry Twe sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów zaranie,
Które dajesz nam z miłości,
I po grobach zadrżą kości
W szelest hymnu Tobie, Panie!

Darmo — darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły — żeś bez serca,
I mówiły — żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi,
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienią — w bogi!

Za ból ciała — za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci, o Panie!
Choć my nędzni — słabi — marni,
Z naszej wszczęło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy — my jak pyły —
I wywiałeś nas z mogiły
I nam rzekłeś: »O tej porze
»Z was Ja wszystko nowe tworzę«. —
Prochy, lecim już w przestrzenie —
I w piorunach Twego głosu:
»Światło, stań się!« — śród chaosu
Z prochów stały się — promienie!
I do świata, który kona,

Tyś nas posłał nazad w gości,
By, promyki z Twego łona,
My świadczyli o przyszłości!

Wiekuisty ojców Boże,
Błogosławim Ci w pokorze!
Gdy wiek wieków się przemienia,
Przed Twym tronem nasze duchy
Zapadają w przepaść skruchy,
W śmierć przed Tobą — z uwielbienia!

*

Alleluja! — Dniom boleści
Wnet skrzydłami zaszeleści
Anioł, zwiastun *dobrej wieści!*[1]
Alleluja! — Moc szatana,
Co udawał ziemi pana,
Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze,
Od początku walczył z nami,
Chadzał dumny w wiatrów chórze,
Wył na fali — grzmiał na chmurze
I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze, a upadnie,
A gdy czoło w pył pokładnie,
Ze zwłok jego się przetworzy,

[1] Por. str. 28, przyp.

Przeanieli — wydobędzie
Inna postać — seraf Boży,
Co planety stróżem będzie
I przejasnych widzeń darem
Poza trumien czarnym jarem
Żywym wskaże białe raje,
Gdzie duch zmarłych zmartwychwstaje.

Wszystkie, wszystkie sprzeczne siły
W jeden nastrój się złączyły,
Jedna drugiej nie przeklina —
Wirującym ziemia jękiem
Już przestworu nie przecina —
Lecz, szczęśliwa, brzmi i śpiewa,
Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!
Słabszych silny już nie gniecie:
Tak, jak w niebie — na planecie
Wszystko świętej woli słucha;
Martwa dotąd bryła ludu
Już przekuta dłutem cudu
W nieśmiertelny posąg ducha!

Piersi ludzka, na śpiew się sil!
Wił się wieków rój
I walk mijał stek;
Lecz skończony bój,
I szczęśliwy wiek
Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok, ni słyszał słuch,
Jaka piersi głąb,

Jaki serca czar;
Myśli twórcza, zstąp,
Daj przebudzeń dar,
Niech się ocknie duch!

Długo trwała snu tego moc;
Uwierzyli weń,
W wieczny ból i trud!
To przybytku sień —
To po wschodach wschód,
To zasługi noc!

Piersi ludzka, kędyż twój srom?
Spojrzyj w siebie — patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Stęk — zgrzytanie — wrzask,
Dziś z niebieskich łask
Drugi boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń
W niezmierzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z nieba kwiat,
Przyszłych wieniec lat,
Jedna w Bogu pieśń!

Tak śród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec — marzyła wygnanka;
Co czuli w sercu, rzucili w te słowa.
Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydzieł życia: modlitwa jedyna,
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomału
W kształt dotykalny — aż tak, jak Duch boży,
Świat rzeczywisty wokół siebie stworzy,
Równy pięknością światom ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo, póki łódka na marzeń jeziorze,
Fale natchnienia w samotności porze,
Myśl tylko weszła — nie człowiek — do nieba!

Cokolwiek będzie — cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojmą szyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce
I tu jest nasze ze słowem rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne —
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję!
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zginście, me pieśni — wstańcie, czyny moje!

Lecz ty, piękności, którą ukochałem,
Siostro jedyna w mojem życiu całem,
Ducha męskiego niewieści aniele,
Czuwaj nademną — i zostań się przy mnie,
Aż zginę cząstką w trudów arcydziele —
Aż skonam zwrotką w poświęcenia hymnie!

1843 r.

DODATEK KRYTYCZNY.

SKRÓCENIA.

Rps — rękopis.
A — autograf.
K — kopia.
Pdr. — pierwodruk.
W^2, W^3 — wydanie drugie, trzecie.
w. — wiersz (wiersze liczą się zawsze od góry z wyłączeniem tytułu lub motta).
Nawias ( ) oznacza, że autor sam przekreślił wyraz lub zwrot, tym znakiem objęty.
Nawiasem [ ] objęte są uzupełnienia i dodatki wydawcy.
Pisownia ta sama, co w tekście, tj używana w wydawnictwach Akademii Umiejętności.

str. 1.

WANDA.

Nr. 14 Rps (A) 24·7×20, 17 luźnych półarkuszy, liczbowanych przez autora (część I), i 2 półarkusze cz. II, czyli razem k. 38; na osobnych kartkach *a)* 20·7 × 13·8 i *b)* 20·8 × 13·9 plan dalszego ciągu cz. II i cz. III. Znak wodny półarkuszy *J. Whatman Turkey Mill 1837*, kartki *a) Sez...* (dalsza część wyrazu odcięta) kartka *b)* biała z słabym odcieniem fioletu, niema żadnego znaku. Osobna kartka z tytułem: ‚Wanda' i mottem ‚Wanda leży...', wypisanem ręką poety, dziś nalepiona na półarkuszu siwego papieru, służącego za okładkę — wszystko w teczce tymczasowej nieco mniejszych rozmiarów.

Rps jest, przynajmniej pierwsze 17 półarkuszy, odpisem na czysto; pismo jednolite, poprawek stosunkowo niewiele. Natomiast półarkusze II części wyglądają na brulion, poprawki liczne, cały jeden ustęp przemazany, pismo, jakkolwiek jednolite, ale drobniejsze, nieco odmienne, późniejsze; pismo kartek to samo, co na 2 półark. cz. II. Wanda cz. I pochodzi niewątpliwie z początku r. 1837, gdyż już 5 kwietnia w liście do Gaszyńskiego (Listy I, 116) jest o niej wzmianka, a rysy pisma temu przypuszczeniu nie sprzeciwiają się wcale. Będzie to jedna z owych »kilku rzeczy«, które autor, jak sam donosi przyjacielowi w tym samym liście, »zaczął, ale ich dalej ciągnąć nie może«. Ta »niemożność dalszego ciągnienia« jest też widoczna w cz. II rpsu Wandy, w którym się poprostu roi od mazań i poprawek; rysy pisma zdradzają przymus i zniechęcenie.

Jeżeli »wypisy z mitologii słowiańskiej«, wspomniane w li-

ście do ojca z d. 11 kwietnia 1838, są, jak wszystko za tem przemawia, owymi »wypisami«, które się znajdują w papierach zachowanych, to druga część »Wandy« pochodzić musi z czasu pobytu zimowego w Wiedniu, tj. albo z końca 1837, lub z samego początku następnego roku 1838, gdyż owe »wypisy mitologiczne« są tam już wyzyskane.

Odmianki tekstu.

str. 5 w. 7 ‚żeś (zamek) raczył zamek ten (raczył odwiedzić) nawiedzić' A.
» — » 13 ‚rycerze (i minstrele)' A.
» 6 » 14 ‚on (mężny nad męż) zamożny' A.
» — » 16 ‚niech(aj) dziewica' A.
» 8 » 16 ‚uci(nam)ałem' A.
» — » 24 ‚(wroga) króla' A.
» 9 » 4 ‚(Co nowego) Co słychać' A.
» — » 23 '(Biskup dobywa także miecza swego kładzie) Biskup dobywając' A.
» 10 » 19 ‚w sile — (Równi jesteśmy)' A; wyrazy przemazane przeniesiono później na początek w. 18, jak w druku.
» 11 » 5 ‚(ty pijesz z czaszki) lica moje' A.
» — » 15 ‚żubry (łosie?)' A.
» — » 27 ‚ja wiem (że i ty) księże biskupie (będziesz) że i ty' A.
» — » 29 ‚o takiej (ziemi) nietkniętej ziemicy' A.
» 12 » 5 ‚łańcuchy — (noś ją na pamiątkę Rytygiera)' A.
» — » 16 ‚od (czerni) ciemności' A.
» — » 25 ‚(bo) ślubem' A.
» 13 » 20 ‚obiecaną (pl)' A.
» 14 » 2 ‚(ciemn) czarnobrewą' A.
» — » 18 ‚(krok za) cichym' A.
» 15 » 1 ‚spada(ły)ją A.
» — » 10 ‚(zapalił) w świątyni zapalił' A.
» — » 12 ‚i (miecz) obosieczny miecz' A.
» — » 13 ‚(drżąc) drąc' A.

str. 15 w. 26 ‚smoka'; ‚smoku' A.
» 16 » 5 ‚(dep) pod jego stopą' A.
» — » 10 ‚on (nieżywy) się już nie ruszy' A.
» — » 12 ‚ojca (a (on) Leszko śmiał się[1]... przedłużonym echem), a inni' A.
» — » 19 ‚(schwytać) chwytać' A.
» 17 » 6 ‚(wassale) Lennicy' A.
» 18 » 6 ‚(księże) ojcze biskupie' A.
» — » 17 ‚(białe) śnieżne' A.
» — » 19 ‚królem (mężów)' A.
» — » 26 ‚(precz) precz stąd — mija' A.
» 19 » 2 '(chłodne) rumiane' A.
» — » 3 ‚w którem'; ‚w której' A.
» 20 » 3 ‚(ludzi) języki ludzi' A.
» — » 17 ‚(służebnych) lenników' A.
» — » 18 ‚ale (zacznijmy od słów łagodnych) przybywszy' A.
» — » 27 ‚lemieszem (— na przewróconych skibach dopiero krzyże zakwitają)' A.
» 21 » 1 ‚(ust) odstąpić możemy (dla obrzędów) obrzędom' A.
» — » 10 ‚przystaję, ojcze biskupie (przystałem)' A.
» — » 15 ‚jego (jutro pod noc zamek opuścim). Ślubowałem' A.
» — » 25 ‚(wreszcie) nareszcie' A.
» 23 » 2 ‚(z nimi) chcą mieć z nimi' A.
» — » 9 ‚Wiatrany (ona sama) znamci' A.
» — » 16 ‚(gdyby) nie mówię, gdyby' A.
» — » 20 '(widziało) oglądało' A.
» 24 » 3 ‚(a jeśli śmierć) a gdy wprzódy' A.
» — « 10 ‚na (ten) ogień' A.
» — » 16 ‚(Rozb) Rozpędzisz' A.
» 25 » 12 ‚(z podarunkami i) z hołdem i podarunkami' A
» — » 14 ‚ni razu (porzucił łowy, biesiady i boje z rozpaczy) i znikczemniał' A.

[1] Wyraz nieczytelny.

str. 25 w. 17 ‚(i spętawszy) Ha! spętać' A.
» 26 » 27 ‚Hamder'; w A przez pomyłkę ‚Rytygier'.
» 28 » 1 ‚(w obu dłoni) oburącz' A.
» 29 » 13 ‚oboje'; ‚obojo' A.
» — » 29 ‚której (ni) płomień stosu (nie spali) spalić ni skorupa popielnicy (nie zamknie) zamknąć nie zdoła' A.
» 30 » 7 ‚(nam) wojowników' A.
» — » 18 ‚a potem (znów)' A.
» — » 19 ‚aż (zstąpi) znów zstąpi' A.
» — » 23 ‚na (ziemię) ziemi' A.
» 31 » 12 ‚tych (stóp) nóg' A.
» — » 19 ‚wszystkim (wobec)' A.
» 32 » 10 ‚(Księża) Tymczasem' A.
» — » 12 ‚(godzina) wojny godzina' A.
Po w.12 następuje w A pięć przemazanych wierszy:
‚(Lud) Ludgard śpiewa pomiędzy ludem'
Ludgard (... [1] pomiędzy ludem)
Miła moja miłeńko
Przemów do mnie słoweńko
Tobiem jednej służyć chciał'
» — » 27 ‚(Fałsz) Kłamstwo' A.
» 33 » 7 ‚(Jeden z ludu) Głosów kilka' A.
» — » 10 ‚stoi (niewzruszona)' A.
» — » 18 ‚pod (jej) tą' A.
» — » 24 ‚pyszny uśmiech (jej pychy)' A.
» — » 31 ‚Wy, (któr) coście' A.
» 35 » 11 ‚pierś jego (jak żart wolna się zdaje)' A.
» — » 20 ‚jak (to) ono' A.
» 36 » 11 ‚(ktokolwiek) Cokolwiek' A.
» — « 14 ‚(Dobrześ) Zacnieś uczynił' A.
» 37 » 15 ‚Przez (boga) czarta' A.
» — » 17 ‚(cię bracie) ciebie' A.
» — » 22 ‚(ona zakryła) co przesłoniła' A.

[1] Wyraz nieczytelny.

str. 37 w. 23 ‚bosk(a)ie (postać) czoło' A.
» 38 » 2 ‚(ws) świtać' A.
» — » 23 ‚(śnieżną) białą' A.
» — » 29 ‚na (dł) ręku' A.
» 40 » 6 ‚(bronić) dobywać' A.
» — » 7 ‚w których (nas hoże) hoże' A.
» — » 12 ‚za (nią) nimi' A.
» 41 » 13 ‚gracko się (giermek) sprawił giermek' A.
» — » 23 ‚(czyż tak) inaczej' A.
» — » 26 ‚(zwieszone) igrały ci (na ramionach) zatknięte' A.
» — » 28 ‚(To jeden) Chyba to jeden' A.
» 42 » 1 ‚Ach (książę, książę) Ziemowicie' A.
» — » 8 ‚teraźniejszość (za włosy) stoi' A.
» — » 21 ‚(umiera) żyje' A.
» 43 » 16 ‚(co) która nad ziemią (naszą) przelatuje' A.
» — » 18 ‚w tem (różna od nich) od nich różna' A.
» — » 19 ‚a (bogi wasze) one zgrzybiałe' A.
» — » 24 ‚bom (rzucił na targ życia wszystkie) jedne po drugich' A.
» 44 » 10 ‚(w) na prawo, (w) na lewo' A.
» 45 » 19 ‚(Czekał tam na ciebie cień zielonych kłosów domowego Potrympa). Byłbyś zasiadł' A.
» — » 22 ‚(złotego) księżyca' A.
» 46 » 2 ‚(Polanie) Sławianie' A.
» — » 17 ‚spojrzyj (na te) w górę (gwiazdy)' A.
» — » 27 ‚(ludzie tylko) jedno ludzie' A.
» 47 » 2 w A dopisano u góry nad ‚nawiedzę' ‚stratuję'. Poeta zapomniał jednak przemazać ‚nawiedzę'.
» — » 8 ‚(plącząc się kołem w nocy na żalnikach) w nocy po żalnikach i t. d.' A.
» — » 14 ‚(w) z twoją (kładzie) wiąże' A.
» — » 20 ‚(Na cóż) Przez co' A.
» 49 » 9 ‚(wieszczkowie) wróżbiarze' A.
» — » — ‚(syny) ludzie' A.
» — » 10 ‚(których) Chrobaty' A.

str. 50 w. 7 ‚(a przodem iść będzie syn mój Hardymir) oparty' A.
» — » 9 ‚panią (naszą)' A.
» — » 10 ‚(walczcie) bijcie' A.
» — » 11 ‚(ruszać gotowiśmy wszyscy) niech przepadną Niemcy' A.
» — » 13 (*Żelisław.* Dzięki wam, dzieci! *(Wstaje)* Z tego samego głazu ofiary, na którym ojciec mój i (ojce) wszyscy ojcowie moi siadali, by nieśmiertelnych bogów błagać o zwycięstwo i ludu serca zagrzewać (przed) — na tym samym głazie siadał ojciec mój i sprawy ludu rozsądzał. Wszyscy ojcowie jego zwykli na tym samym głazie ofiary Bogów prosić o zwycięstwa. Na tym samym wzgórzu, na tym samym głazie, wszyscy ojcowie moi składali bogom ofiary i serca (ludu) ludzi zagrzewali — sądzili sprawy ludu. Stąd waszym naddziadom, nim (zeszli na równinę) przeszli na równiny, przepowiadali zwycięstwo. Na tem samem wzgórzu, na tym samym głazie, naddziadom waszym, ilekroć zgromadzili waszych. Ja wam błogosławię teraz, słyszę, słyszę, dzieci moje, żeście schylili czoła, żeście upadli na ziemię. Tak naddziady wasze zawdy przed mojemi (czynili) zwykli czynić, kiedy (im) godzina walki uderzyła i wielu z nich przyszło umierać).
Żelisław. Dzięki wam, dzieci...' A.
» — » 18 ‚(teraz) na tem samem' A.
» — » 21 ‚do ziemi. (Ja wasz ojciec i wojewoda, ja ręce wznoszę ku niebu) Niech siła' A.
» — » 23 ‚(w) (na) piersi wasze' A.
» — » — ‚przystąp (powierzam ci tych wszystkich)' A.
» — » 26 ‚Hardymirze (bracie)' A.
» — » 27 ‚(Hardymirze) gdzież twój brat' A.

str. 50 w. 30 ‚(własnych) swych – (Hale, polelu! Halele, lele)' A.
» 51 » 4 ‚on (uciekł) skoczył' A.
» — » 9 ‚pytasz (mnie teraz)' A.
» — » 12 nad ‚lechickiej' w A dopisany wyraz nieczytelny.
» — » 14 ‚(Milcz synu, milcz, zaklinam ciebie) Skąd w takiej chwili' A.
» — » 17 ‚przyrzekły (się)' A.
» — » 19 ‚krzyknie im (Na pomoc) (Do broni) Na pomoc (krzyk) Jej głos' A.
» — » 20 ‚zawczoraj — (teraz) z doborem' A.
» — » — ‚śpieszaj (do Wandy pani twojej, tu na pomoc) do Wandy' A.
» — » 23 ‚(się obrócę) spojrzę' A.
» — » 25 ‚(ulatuje przedemną w powietrzu) chadza' A.
» — » 28 ‚(gdyby) krzycząc' A.
» 52 » 1 zamiast ustępu ‚I wszędzie ...rozstrzygną' po ‚słyszę' na boku wpisano ustęp: ‚Wszędzie jej pełno a (nigdzie) gdy chcę przystąpić, ujrzeć ją, dotknąć się jej, nigdzie jej niema — nawet kiedy stanę obok niej, niema jej jeszcze bo nie śmiem oczu podnieść i przemówić do niej. — Długom znosił tę męczarnię, teraz nie służę już dalej. — Dziś niechaj się losy Hardymira rozstrzygną!' Poeta jednak nie rozstrzygnął ostatecznie, której z tych dwóch wersyi należy się pierwszeństwo.
» — » 2 ‚teraz (niechaj raz jej koniec będzie) nie służę' A.
» — » 11 ‚(szczerozłotym) śnieżnobursztynowym' A.
» — » 13 ‚niech (jako dziewosłęby) ją proszą' A.
» — » 16 ‚(a tam (?) dziewosłęby) teraz dopiero' A.
» — » 17 ‚(oni) dziewosłęby' A.
» — » — ‚(Niema więc straty czasu ni ujmy jakiej

(obawi) (służebności naszej) powinnościom naszym) Ojcze' A.

str. 52 w. 21 ‚co (uczynisz) (wtedy) ty poczniesz' A.
» — » 24 ‚nie będzie (Ojcze)' A.
» — » 25 ‚(dzika) tura' A.
» — » 27 ‚z (nich) dzikich zwierząt' A.
» — » 29 ‚(u stóp) przy Leszka mogile' A.
» — » 30 ‚gdy (zstępuje obaczywszy niemieckiego bohatera twarz odsłonioną) przed straszną twarzą bratobójcy (twarz straszną)' A.
» — » 31 'z (kopca) świętego kopca (nim stanęła na wozie)' A.
» 53 » 1 ‚(pochylona stojąc na wozie) z wozu' A.
» — » 3 '(przy)witała lub (po)żegnała' A.
» — » 5 ‚słowa (młodzieńcze)' A.
» — » 6 ‚(Lecz) Niedość' A.
» — » 8 ‚(kto sierdzistych mężów przywiedzie jej odemnie, czyż odrzucając prośbę moją) kto jej będzie' A.
» — » 10 ‚(Czyż sama...[1] wojnę. Zwycięstwo to). Któż jej' A.
» — » 11 ‚(kto z rodu bogów) Czy Mestwin' A.
» — » 13 ‚(na łąkach swoich takich chłopów wyszuka) (z pośród łąk swoich) z nad piasków' A.
» — » 15 ‚posiłki' dopisane nad ‚poddani', które poeta zapomniał przemazać' A.
» — » 16 ‚Kraków (stoi)' A.
» — » 17 ‚(Ojcze (ona) jej potrzeba męża, któryby zdołał) Rytygier' A.
» — » — ‚bohaterów (a ich dwóch jest, ojcze) Ta wojna' A.
» — » 18 ‚ojcze (wysłuchaj pr) szlij' A.
» — » 20 ‚z (Polski) kraju' A.
» — » 21 ‚(a jutro ona moją będzie) (ja królem będę

[1] 2 wyrazy nieczytelne.

jutro Hardymir twój (...[1] królem polskim) będzie królem polskim) a jutro, jutro' A.
str. 53 w. 24 ‚Teraz(eś)' A.
» — » 28 ‚(dzień) pole, (w) na którym' A.
» 54 » 6 ‚(hufców) ludzi' A.
» — » — ‚jeśli (będzie tego połrzeba)' A.
» — » 7 ‚z (tymi) nimi' A.
» — » 8 ‚bo (ojcu jej ojciec) jej ojcu' A.
» — » 9 ‚(przyjaźń) wierność' A.
» — » 13 ‚(stoicie) klęczycie' A.
» — » 14 ‚o (weselu) zapoinach' A.
» — » 15 ‚(myśli) duma — (wstańcie) Zejdźcie' A.
» — « 20 ‚(na dziewosłęba) się wybiorę' A.
» — » 22 ‚(trzy) dwa' A.
» 55 » 1 ‚(ósmej) jeszcze jednej z (nieba) błękitów' A
» — » 2 ‚królem (Wandy) moim' A.
» — » 9 ‚(W głębi) Leszka' A.
» — » — ‚i (przed) żyrowiec' A.
» — » 13 ‚(za którem) na lewo' A.
» — » 14 ‚(w głębi) ciągnące się' A.
» — « 16 ‚(przed wnijś) straż' A.
» 56 « 17 ‚(z woln) uderza' A.
» — » 18 ‚i (sądzi) radzić' A.

str. 59.

NOC LETNIA.

Nr. 15 Rps (A) 24·4 × 19·5, k. 37, z czego 34 zapisanych, na 35-tej tylko 4 wiersze, str. 12' i 13 przez pomyłkę nie zapisane. Zeszyt nieoprawny, znak wodny na pierwszych 3 k. *J. Whatman Turkey Mill 1836,* na następnych takiż sam, jednak z rokiem *1837.*

Na k. 1 ręką Delfiny Potockiej:

‚Zygmunta ręką pisana Noc Letnia'

[1] Wyraz nieczytelny.

Na k. 37' tąż samą ręką:

‚Zygmuntowi Krasińskiemu oddać, gdy mnie nie będzie'.

Na k. 2 tytuł ręką poety: ‚Noc Letnia' i 2 motta, jak w druku.

Na k. 3 wiersz dedykacyjny: ‚Jeżeli dotąd jedno serce jeszcze'..., który poeta począwszy od w.: ‚Gdziekolwiek jesteś' przerobił, dopisując tak między liniami, jak i z boku, a nawet u góry innym, bledszym atramentem i odmiennem nieco pismem, a więc później, $12^1/_2$ wierszy; pierwotna dedykacya liczyła 25 wierszy, gdy obecna liczy ich 33. Tytuł i motta, o ile z pisma sądzić można i znaku wodnego, który jest ten sam, co w kartkach z Sycylijskiej podróży, zostały dołączone w r. 1839, a tylko dedykacya pochodzi z r. 1840.

Autograf jest odpisem na czysto, z dość licznemi poprawkami podczas przepisywania, a jeszcze liczniejszemi przy następnem czytaniu i przeglądaniu; jedna cała stronica (k. 15') została po napisaniu zupełnie przemazana.

»Noc letnia« należy z »Pokusą« do owych ‚kilku rzeczy', które autor w początkach roku 1837 zaczął (Listy I, 116) i których już nie porzucił, jak Herburta, lecz dokończył w jesieni tego roku, gdyż w maju roku następnego (Dzienniczek, d. 5 maja 1838) »zaczął opowiadać«, »Noc letnią« i »Pokusę« pani Bobrowej. Widać oba utwory już były wtedy gotowe.

Pdr. »Noc letnia« w Paryżu, w drukarni i litografii Maulde i Renon przy ulicy Bailleul 9—11, 1841, 12, str. 124 (od str. 91—124 »Pokusa«).

W^2 »Noc letnia«. Berlin, nakładem B. Behra 1850, 12, str. 124, jest łudząco wiernym przedrukiem wydania pierwszego, różni się jednak znaczną ilością błędów drukarskich, których naliczyliśmy w »Nocy letniej« 25, w »Pokusie« 26.

Odmianki tekstu.

str. 59 Motto w. 8 ‚która... usypia' Pdr.; ‚która wszystko (usypia) w kolebce swojej usypia' A.
» 61 w. 11 ‚ścierpło' Pdr.; ‚skrzepło' A.
» — » 15 ‚(wziętej) spadłej' A.
» — » 20 do końca brzmiały pierwotnie:

,— Gdziekolwiek jesteś, znane czy nieznane,
O serce dumne, o serce stroskane,
Serce niewieście i prześladowane,
Gdziekolwiek jesteś, z blizka czy z daleka—
Ty przyjm, co (ty) przyjąć możesz od czło-
[wieka,
Tę pieśń mej duszy ja poświęcam tobie'. A.

str. 61 w. 20 ,(dawniej) mi znane' A.
» 62 » 2 ,(nie z tego) z innego' A.
» — » — ,jak i ty świata' Pdr.; ,jak ty — jest świata'A.
» — » 4 ,w marę' Pdr.; ,marę' A.
» — » 8 ,w świętej' Pdr.; ,świętej' A.
» — » 10 ,15 sierpnia' Pdr ; ,(2) 15 września' A.
» 63 » 5 ,kwiatami' Pdr.; ,różami' A.
» — » 6 ,patrzali' A; ,patrzyli' Pdr.
» — » 10 ,w jej (ślicznej) kibici' A.
» 64 » 13 ,sięgnął' Pdr.; ,siągnął' A.
» 65 » 3 ,(ze skroni zerwane) opadłe' A.
» — » 9 ,(ołtarze szczęścia i pokoju widzą w każdej fali, co przelewa się w drugą) każda fala ...pokoju — potem (każą przysięgać córom, i synom ludzkim na wierność przed nimi) córom... przed nimi' A.
» — » 17 ,tłum (przed nim) rozgina się' A.
» 66 » 13 ,mrok' Pdr.; ,zmrok' A.
» — » 25 ,(płynęło) szło' A.
» 67 » 2 ,tylko umarli' Pdr.; ,umarli tylko' A.
» — » 5 ,rozchełznany' A; ,rozkiełznany' Pdr.
» — » 11 ,w nią' Pdr.; ,na nią' A.
» — » 22 ,onego' A; ,owego' Pdr.
» 68 » 11 ,w (duchu) duszy szczęścia (błędnego) przeczucie' A.
» — » 12 ,cienie (niezliczonemi fałdy) owionęły (ziemie) pola' A.
» — » 13 ,duchów, w błękicie ukrytych' Pdr.; ,duchów (zanurzonych w błękicie) w błękicie zanurzonych' A.

str. 68 w. 14 ‚Ziemia ... spojrzenia' Pdr.; ‚Ziemia (kochanka) wstydliwie ukryta w ciemnościach wonią kwiatów (tylko) tylko i westchnieniem wód (płaci) odwdzięcza się im za złote spojrzenia' A.
» — » 17 ‚trzeba (tak) dla tak świetny(m)ch ślub(om)ów' A.
» — » 24 ‚mu dni' Pdr.; ‚dni mu' A.
» 69 » 11 ‚w tym (ostatnich) ostatnim' A.
» — » 18 ‚dnia tego' A; ‚tego dnia' Pdr.
» — » 20 ‚usta (w nim) małmazyą odwilży' A.
» 70 » 1 ‚ni odkrył' A; ‚ani odkrył' Pdr.
» — » 3 ‚naprzemian... połączony' Pdr.; ‚naprzemian z tą i z ową (mijającym) znikomym połączony' A.
» — » 11 ‚ona (sama) z oczyma spuszczonemi (oczyma bawiąc się wiązką róż) ku wiązce róż' A.
» — » 14 ‚(aż) wreszcie' A.
» — » — ‚w (jej) ręku jej się zostały' A; ‚w ręku się jej zostały' Pdr.
» — » 21 ‚ostre' Pdr.; w A brak.
» — » 22 ‚zadraśniętych' Pdr,; ‚skaleczonych' A.
» — » — ‚Czemu płaczesz (jedynaczko moja)' A.
» 71 » 1 ‚tyś się skaleczyła' Pdr.; ‚tyś się zraniła' A.
» — » 2 ‚jej (przejrzyste) dłonie' A.
» — » 4 ‚zaraz dodała' Pdr.; ‚nagle dodała' A.
» — » 7 ‚drżą podemną' Pdr.; ‚drżą już podemną' A.
» — » 9 ‚(w około) naokoło' A.
» — » 22 ‚blednącą' Pdr.; ‚i blednącą' A.
» 72 » 4 ‚bramowane' Pdr.; ‚lamowane' A.
» — » 5 ‚na grób... się stoczyła' Pdr.; ‚na grób matki się stoczyła' A.
» — » 16 ‚probuje' Pdr.; ‚gruntuje' A.
» — » 17 ‚tylko coraz' Pdr.; ‚coraz tylko' A.
» — » 23 ‚(Córko) Dziecię' A.
» — » 27 ‚bom chciał' Pdr.; ‚bo chciałem' A.
» 73 » 1 ‚(choćby) słowo' A.

str. 73 w. 2 ‚się skarżyć' Pdr.; ‚skarżyć się' A.
» — » 4 ‚(obuma rękami) oburącz' A.
» — » 17 ‚(dzikie) spiski' A.
» — » — ‚żem... gotował' Pdr.; ‚żem go wychował, żem mu świetne losy gotował' A.
» — » 20 ‚buntownika' Pdr.; ‚go' A.
» — » 23 ‚smętna' Pdr.; ‚słodka' A.
» 74 » 1 ‚zakręciło mu się w głowie' Pdr.; ‚zakręciła mu się głowa' A.
» — » 2 ‚jak' Pdr.; ‚tak jak' A.
» — » 7 ‚(pieśni) ślubnej pieśni' A.
» — » 8 ‚(w tem) przechodziły' A.
» — » 10 ‚(Ich głosy zapowiadają rozdział ojca z dziecięciem) Za każdem słowem' A.
» — » 18 ‚(raz) ostatni raz' A.
» — » 22 ‚a rozkazując' Pdr.; ‚a każąc' A.
» — » 23 ‚nie było jej nigdy' Pdr.; nie była nigdy' A.
» — » 24 ‚(rozkwitała) leżała' A.
» 75 » 9 ‚dyamentami' Pdr.; ‚dyamenty' A.
» — » 12 ‚(kielich) puhar' A.
» — » 14 ‚(nic nie odpowiedział) nie podziękował' A.
» — » 17 ‚płowych' Pdr.; ‚czarnych' A.
» — » 23 ‚buntowników motłoch' Pdr.; ‚motłoch buntowników' A.
» — » 25 ‚odkrzyknęli chórem' Pdr.; ‚chórem odkrzyknęli' A.
» 76 » 7 ‚(Zniknął) On wraca' A.
» — » 9 ‚Świeżąm' A; ‚Świeżom' Pdr.
» — » 12 ‚greckim' Pdr.; ‚włoskim' A.
» — » 18 ‚ostro, brzęcząc' Pdr.; ‚ostro, lekko brzęcząc' A.
» — » 21 ‚wdzięcznie' Pdr.; ‚wzdzięcznie' A.
» — » 23 ‚oko' Pdr.; ‚wzrok' A
» — » 24 ‚w sercu (zimno) pusto jak u zalotnicy. (Taka biesiada wesoło i zapamiętale (wzdłuż nocy się ciągnęła) (się biesiada) ciągnęła się (wzdłuż) śród nocy)' A.

str. 77 w. 3 ‚(dotąd) odtąd' A.
» — » 5 ‚mowa (wasza) (ich) wasza' A.
» — » 8 ‚(kąpały) kąpają' A.
» — » 11 ‚(Boga) bożego' A.
» — » 16 ‚powstają' A; ‚powstaną' Pdr.
» 78 » 2 ‚(nie żałujcie mnie) ale strzeżcie' A.
» — » 8 ‚(Dalekie książęta hołdowały ich opatrznej radzie) a pod cień' A.
» — » 12 ‚z (niewolniczym ludem) służalców tłumami' A.
» — » 19 ‚(zdobywcy) najezdnikowi' A.
» — » 20 po słowach ‚na was' następują w A ustępy przekreślone przez autora: ‚I już zorzę Jego widziałem. — Od dwóch lat jedenże gród królewski spłonął? gdzie najemni, ciężko-zbrojni żołnierze, co nas zdeptać mieli? Słyszeliśmy w powietrzu dziękczynienie sępów, psy nad ich trupami noc całą skowyczały z radości! Lecz by skończyć zwycięstwem a odzyskać Ojców dziedzinę — (długo) długo (jeszcze) wam trzeba jeszcze krwią ciała i potem myśli pracować!'

*

‚(Z) (Gdyście) Z pokątnych terazeście na groźne męże wyrośli, teraz właśnie łudzić was zaczną królewscy różnemi ponęty — strzeżcie się kusicieli — obietnice ich, złote góry — ich dary, marne garście błota. — Podnieście (czoła) oczy, spojrzyjcie w błękity. — Dość miejsca dla dusz waszych (w) po tych błękitnych przestrzeniach zostało, nie lękajcie się więc w boju umierać! — (Ale) Lecz kto broń złoży, temu twarz Boga niechaj czarną będzie z tamtej strony grobu'.

*

,Nie rozsypujcie się po równinie, by gonić za plonem. — Anioł stróż wasz mieszka w tych (wzgórzach) górach (i dla was jeszcze nie nadeszła pora łupów). Dopiero później przyjdzie pora łupów! Słuchajcie onych Siedmiu, którzy mnie wodzem postawili (nad wami) nad waszymi młodzieńcy. — Znużone siwym trudem ich prawice lecz (ich) (Rozum w nich króluje) w nich Rozum króluje (nad ciała) (na gruzach ich ciała) (nad ciała gruzami) (gruzach ciała)'.

str. 78 w. 24 ,Wszak... dziękczynienia' Pdr.; ,Wszak słyszeliśmy (nad ich trupami) w powietrzu dziękczynienia' A.

» — » 26 ,wilki noc całą' Pdr.; ,wilki nad ich trupami noc całą' A.

« — » 27 ,(jeszcze) trzeba jeszcze' A.

» — » 28 ,krwią ciała (i potem myśli) pracować' A.

» 79 » 1 ,garści' Pdr.; ,garście' A.

» — » 4 ,(Za to od was syny wasze szczęśliwszemi będą) Lecz kto broń złoży' A.

» — » 5 ,niechaj na zawsze' Pdr.; ,na zawsze niechaj' A.

» — » 10 ,onych' A; ,owych' Pdr.

» — » 21 ,(otoczą) obwiązują' A.

» — » 25 ,To (stój)' A.

» 80 » 5 ,(Teraz) Nadeszła' A.

» — » 6 ,(wy już prawa nie macie nademną) i przechodził' A.

» — » 7 ,pukle ciemnych włosów' Pdr.; ,pukle (czarnych) włosów' A.

» — » — ,(fałdy) zwoje' A.

» — » 8 ,(ręką) dłonią' A.

» — » 12 ,(młodą) oblubienicę' A.

» — » 14 ,oni (postawią na swojem, gotowi za sprawę wodza jakby za ojczystą dać gardła) go zdobędą' A.

» — » 15 ,wdzięczny' Pdr.; ,wzdzięczny' A.

str. 80 w. 17 ‚ale (dopóki żyję) starca' A.
» — » 19 ‚On pierwszy usta moje nauczył imienia ojczyzny' Pdr.; w A brak.
» — » 23 ‚mnie' A; ‚mi' Pdr.
» — » 26 ‚zwiąże' Pdr., ‚połączy' A.
» — » 27 ‚(zatem) chyba' A.
» — » 28 ‚(w promieniach) w miesięcznych promieniach' A.
» 81 » 6 ‚(pożegnania) rozstania' A.
» — » 9 ‚sny (jego) własne' A.
» — » 11 ‚im już' A; ‚już im' Pdr.
» — » 13 ‚(śmiało biegną) powiewając' A.
» — » 14 ‚(wznosiły) coraz wznosiły się' A; ‚coraz' w Pdr. brak.
» — » 15 ‚(oni) rzucili się' A.
» — » 17 ‚(Stamtąd) Stąd' A.
» — » 19 ‚wód (białawych) śniadych' A.
» — » 20 ‚mostem' Pdr.; ‚(pomostem) pomostem' A.
» — » 24 ‚olbrzyma' A; ‚olbrzymią' Pdr.
» — » 25 ‚co go' A; ‚które go' Pdr.
» — » 29 ‚lecz (już) zapóźno — (już się on tym jarem od nich przedzielił na zawsze) darmo' A.
» — » 30 ‚ręce' Pdr.; ‚ramiona' A.
» 82 » 2 ‚(swemu) swojemu' A.
» — » 6 ‚(echów) opok' A.
» — » 7 ‚(Lecz on) w tej chwili' A.
» — » 9 ‚(nie mówi do nich) nie mówi do nich' A.
» — » 10 ‚błysła iskra' Pdr.; ‚(wstała gwiazda) lśni się iskra' A.
» — » 15 ‚(sobą samym) zemstą' A.
» — » 16 ‚sadzisz' Pdr.; ‚skaczesz' A.
» — » — ‚(Obudzona) Przelękła' A.
» — » 19 ‚milczkiem sunie' Pdr.; ‚zrywa się milczkiem i sunie' A.
» — » 20 ‚(przebiegłeś) przeleciałeś' A.
» — » 22 ‚Ty już (dopadasz równiny) (doleciał) (stanął) stajesz na równinie (przez łąki i łany

bieżysz, kąpiąc stopy w zimnej, nocnej rosie)' A.

str. 82 w. 23 ‚Ognik' Pdr.; ‚Ognik nocny' A.
» — » 28 ‚zgasł' Pdr.; ‚zgasnął' A.
» 83 » 1 ‚przez łąki gonisz i zbliżasz się' Pdr.; ‚(gonisz) przez łąki, przez łany gonisz (jak przedtem) i zbliżasz się' A.
» — » 4 ‚leżą tak przejrzysto' Pdr.; ‚leżą tak słodko' A.
» — » 5 ‚(w promieniach księżyca) że zdają się' A.
» — » 7 ‚do murawy. — Zdało mu się' Pdr.; ‚do murawy. — Ten odgłos jak potok duszę mu obalił i przepływa po niej. Wtem zdało mu się' A.
» — » 8 ‚(pieśni) śpiewu' A.
» — » 9 ‚snem' Pdr.: ‚mglistym snem' A.
» — » — ‚ale w tej mgle dźwięków' Pdr.; ‚ale w tym śnie' A.
» — » 14 ‚zawisł... się oparł' Pdr.; ‚zawisł — (szuka) stopami (oparcia) na garści (mchu) mchu się oparł' A.
» — » 15 ‚rękoma... bluszczów' Pdr.; ‚na niej dorwał się spływających bluszczów' A.
» — » 16 ‚znów' Pdr.; ‚znowu' A.
» — » — ‚(mury) mur' A.
» — » 17 ‚On (dotknąwszy się ziemi, powstał, z potrojoną siłą) z potrojoną siłą' A.
» — » — ‚z potrojoną' A; ‚z potrójną' Pdr.
» 84 » 3 ‚koło' Pdr.; ‚obok' A.
» — » 5 ‚strażom... dziewica' Pdr.; ‚strażom, wygnanemu bratu objawiała się dziewica' A.
» — » 10 ‚granitowe' Pdr.; ‚marmurowe' A.
» — » 22 ‚szklanne, rozwarte' Pdr.; ‚roztwarte, szklanne' A.
» — » 23 ‚(okno tam zasłoną purpurową zaćmione) i niby jęk' A.
» — » 27 ‚krytego, podobny' Pdr.; ‚krytego chwilą nadziei omamiony, podobny' A.

str. 85 w. 1 ‚podany naprzód' Pdr.; ‚naprzód podany' A.
» — » 3 ‚zasłonę' Pdr.; ‚zasłony' A.
» — » 4 ‚śnieżnie w powietrzu igrała' Pdr.; ‚śnieżnemi w powietrzu igrały fałdami' A.
» — » 6 ‚dłonie, na niego czekają' Pdr.; ‚dłonie razem (czekają na niego) (nań) na niego czekają' A.
» — » — ‚(dłoń) rękę' A.
» — » 7 ‚bo mu (serce mdlało) się zdało' A.
» — » 11 ‚(same) plamy' A.
» — » — ‚iskry... sypnęły' Pdr.; ‚ogniste iskry co mu się z głębi (własnego mózgu na zewnątrz mu się) mózgu własnego sypnęły' A.
» — » 15 ‚zniknie. — Ogromne' Pdr.; ‚zniknie — dopiero co (schwycił) Widział donice pełne kwiatów i już ciemno — (Teraz) (ogrom) (Zwierciadło o ramach złotych) Ogromne' A.
» — » 17 ‚manele' Pdr.; ‚dyamenty' A.
» — » 18 ‚Pod wiązaniem... siedzi' Pdr.; ‚Na łożu (pod wiązaniem w głębi komnaty) pod wiązaniem (z) makât (różanych) purpurowych siedzi' A.
» 86 » 1 ‚(szacie) sukni' A.
» — » 3 ‚po jej białem licu. Drzwi' Pdr.; ‚po jej białem licu. — Rozdzieliła dłonie spojone razem i szukała czegoś na piersiach — krzyżyk tam migał, u rzędu pereł zawieszony — koło nich chodziły jej palce — dotknęła się jego, a nie znalazła go i opuściła rękę zmęczoną i westchnęła smutniej jeszcze — (Drzwi oddalone skrzypnęły) Drzwi' A.
» — » 5 ‚obudzona' Pdr.; ‚przebudzona' A.
» — » 8 ‚w (samą) głąb' A.
» — » — ‚obicia (mury strojących)' A.
» — » 10 ‚dalej, wreszcie' Pdr.; ‚dalej, (szuka ukrycia) twarz dłoniami zakrywa, wreszcie' A.
» — » — ‚na kolanie (z niemocy)' A.

str. 86 w. 12 ‚(całą rozpacz) ostatnią nadzieję' A.
» — » 16 ‚(jak szyba gładka)(co się) (w pył stłuczona odrazu) — Ten' A.
» — » — ‚wezwała' Pdr.; ‚ona wezwała' A.
» — » 19 ‚Ożyła' Pdr.; ‚(Ożyła — dziwnym uśmiechem szczęścia (zakwitły) zakwitły jej usta) W jednej chwili ożyła' A.
» — » — ‚uśmiechem (szczęścia)' A.
» — » 21 ‚tyś' A; ‚ty' Pdr.
» — » 25 ‚(wszędzie) myślą' A.
» — » 26 ‚(wracając, po cichu szeptałam sobie: on spotka nas po drodze) — na zamku' A.
» — » 27 ‚mi wszyscy' Pdr.; ‚wszyscy mi' A.
» 37 » 8 ‚we śnie' Pdr.; ‚w śnie' A.
» — » 10 ‚gdy (niespodzianie w serce) piorun' A.
» — » 12 ‚zapom(ina)niał (o ziemi) o zemście i śmierci (o losie) potężnym' A.
» — » 19 ‚chmury wyobraźni' Pdr.; ‚chmury w powietrzu jego wyobraźni' A.
» — » 25 ‚teraz (cię zb) one' A.
» 88 » 3 ‚czy ty wątpisz' Pdr.; ‚czy wątpisz' A.
» — » 8 ‚(wiesz jak mnie obronić) rzucę się' A.
» — » 12 ‚przeklęstwa' Pdr.; ‚przekleństwa' A.
» — » 16 ‚(położył) moją położył' A.
» — » 23 ‚(rys) oczu' A.
» — » 24 ‚(twej) szabli (nie) twej nie nosi i twoją (duszą) myślą' A.
» — » 26 ‚(ród nasz nie przepadnie) tysiąc' A.
» — » — ‚(jego) rodu naszego' A.
» — » 28 ‚lud (mój) twój' A.
» — » — ‚(moim ludem) Bogiem moim' A.
» — » 29 ‚(czy) wieszli' A.
» 89 » 4 ‚wyrzutów. (Śmiercią! bo żona innego człowieka nie może być twoją na ziemi. — Ale odzyskasz mnie w świecie duchów. — Tam jeszcze dziś dostać mi się trzeba, a ścieżka niedługa — patrz — takiej samej dłuży,

co żelazo twoje) (Śmiercią, — kto się staje) (Śmiercią! Żona innego człowieka nie może być twoją na ziemi — ale odzyskasz) nie wątp' A.

str. 89 w. 15 ‚Ta jedna' Pdr.; ‚Jedna' A.
» — » — ‚co już przeszła teraz' Pdr.; w A brak.
» — » 16 ‚siłę mu wszystką' Pdr; ‚wszystkie mu siły' A.
» — » 18 ‚kochanej' Pdr.; ‚kochanki' A.
» — » 23 ‚przed (nim) jego wzrokiem' A.
» — » 25 ‚(takążeś mi opiekę obiecał) albożeś' A.
» 90 » 3 ‚(ustami wroga) a jeśli' A.
» — » 4 ‚(a) wieszli' A.
» — » — ‚przyszłość' Pdr.; ‚przyszłość moja' A.
» — » 7 ‚swemu' Pdr.; w A brak.
» — » 17 ‚gdy ty' Pdr.; ‚gdy' A.
» — » 18 ‚może będą powtarzać' Pdr.; ‚powtarzać będą może' A.
» — » — ‚przy (pełnych czarach) puharach' A.
» — » 21 ‚w obłąkaniu' Pdr.; w A brak.
» — » 22 ‚widmo' Pdr.; ‚widmo jakieś' A.
» — » 24 ‚(Raj) Piekło' A.
» 91 » 1 ‚krew... piją' Pdr.; ‚krew (dziewiczą) moją piją' A.
» — » 10 ‚spokojność (zwierzchnia wszystkich bolów pani)' A.
» — » 11 ‚do (serca) piersi' A.
» — » 13 ‚imienia (swoje)' A.
» — » 15 ‚(szedłem tutaj) szedłem' A.
» — » 19 ‚módlmy się (razem)' A.
» — » 21 ‚przewodzić' Pdr.; ‚przewodniczyć' A.
» — » 22 ‚ja (w czyścu) w (czyścu) czyścu' A.
» — » 23 ‚(na) tam' A.
» 92 » 5 ‚póki mogłem' Pdr.; w A brak.
» — » 7 ‚on (przejdzie) przekroczy' A.
» — » 8 ‚(w co) czyjebym' A.

str. 92 w. 9 (w czyich komnatach zasiąść) na czyich podwórcach' A.
» — » 11 ‚O (chodźmy) idźmy' A.
» — » — ‚stąd' Pdr.; w A brak.
» — » 12 ‚(niemasz zdrady) przeciw starcom' A.
» — » 13 .i ucisku' Pdr.; ‚ni ucisku' A.
» — » 19 ‚pan' Pdr.; ‚pan mój' A.
» — » 21 ‚On ukląkł' Pdr ; ‚On zbliżył się i ukląkł' A.
» — » 23 ‚(porwie się zawoła) i rzekł' A.
» — » 25 ‚(w) z okolicznych (gajach) gajów' A.
» 93 » 4 ‚(ukośnie) śniado' A.
» — » 6 ‚(wśród nich igrają jutrzenki) przetkane' A.
» — » 9 ‚(wzro) oczyma' A.
» — » 12 ‚pola (wolności)' A.
» — » 17 ‚w (niebiosa) góry' A.
» — » — ‚a śmiało' Pdr.; ‚i śmiało' A.
» — » 18 ‚k niemu' Pdr ; ‚ku niemu' A.
» — » 23 ‚rann(e)y (igrały powiewy) powiew igrał' A.
» — » 26 ‚może (nie słyszała) (nic) już nie słyszy' A.
» 94 » 2 ‚z ukosa' Pdr.; w A brak.
» — » 5 ‚odbite wzorem piłek, skaczą' Pdr.; ‚odbite skaczą wzorem piłek' A.
» — » 9 ‚jaki piękny' Pdr.; ‚to (anioł mój) piękny' A.
» — » 11 ‚przycisnął do piersi, w drugiej ręce' Pdr.; ‚zawiesił na piersiach, (drugą ręką) w drugiej ręce' A.
» 95 » 1 . spuszcza smętnie) smętnie spuszcza' A.
» — » 4 ‚(w) z (duszy) duszą' A.
» — » 7 ‚na skrzydłach' Pdr.; ‚na karku' A.
» — » 9 ‚innych' Pdr.; ‚świeżych' A.
» — » 12 ‚nad zrzenicą' Pdr.; ‚nad (chciwą) ich zrzenicą' A.
» — » 24 ‚(z babiej) z babiego' A.
» 96 » 1 ‚padać mu' Pdr.; ‚mu padać' A.
» — » 3 ‚kroki (na przemiany króla i zięcia i siebie jękami przeklina. — Odmęt zgrozy dumy (p) wahań i postanowień wplótł mu serce

na koło męki — Lecz nie pęknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca). A.

str. 96 w. 6 ‚(odmiennych) wahań' A.
» — » — ‚postanowień' Pdr.: ‚i postanowień' A.
» — » 8 ‚przeklina' Pdr.; ‚jękami przeklina' A.
» — » 14 ‚mu' Pdr.; ‚jemu' A.
» 97 » 8 ‚aż spotka' Pdr.; ‚aż spotka na drodze' A.
» — » 10 ‚(jak lód) zimną' A.
» — » 19 ‚(z rękoma w krzyż złożonemi na piersiach) ręce' A.
» — » 21 ‚Twarz... kiedyś' Pdr.; ‚Twarz znana (kochana twarz to żony nieboszczki) (kochana niegdyś) kochana niegdyś' A.
» — » 24 ‚(potulny i) rzewny i potulny' A.
» — » 25 ‚odpowiedzieć, a nie mógł — chciał się jej (dłoni) dotknąć, a nie mógł' A; ‚odpowiedzieć, a nie mógł' Pdr. Powtórzenie się zwrotu, a nie mógł' było powodem opuszczenia wyrazów ‚chciał się jej dotknąć' oddzielających oba zwroty od siebie.
» 98 » 1 ‚ręki' Pdr.; ‚dłoni' A.
» — » 5 ‚zbrojownię' Pdr.; ‚zbrojownią' A.
» — » 6 ‚wschody; drzwi' Pdr.; ‚wschody, snuła się aż do pierwszych drzwi; drzwi' A.
» — » 11 ‚ślubnem' Pdr.; w A brak.
» — » 13 ‚(synowca) wygnańca' A.
» — » 14 ‚(a głos córki brzmiał jak) usłyszał' A.
» — » 16 ‚ojciec już mnie wprzódy' Pdr.; ‚wprzódy już mnie ojciec' A.
» — » 17 ‚(mdlejąc) to mówiąc' A.
» — » 22 ‚wołał' Pdr.; ‚woła' A.
» 99 » 1 ‚(Zerwał się starzec i patrzy i czeka, niemą rozpaczą Boga wzywając) — Pan młody (wpada do komnaty)' A.
» — » 2 ‚przyrósł' Pdr.; ‚nagle przyrósł' A.
» — » 4 ‚(z wyniesionemi rękoma rzucił się na wygnańca) Strach' A.

str. 99 w. 5 ‚starca ogarnął' Pdr.; ‚ogarnął starca' A.
» – » — ‚(rzucił) rzuca się' A.
» — « 10 ‚po drugich, Pdr.; ‚po drugiej' A.
» — » 14 ‚znowu' Pdr.; ‚znów' A.
« — » 19 ‚znowu' Pdr.; ‚znów' A.
» — » 23 ‚mu' Pdr.; w A brak.
» — » 27 ‚odpowiedział (im)' A.
» 100 » 1 ‚kurytarze' Pdr.; ‚korrydarze' A.
» — » 21 ‚(nie milcz) — Mów' A.
» — » 23 ‚(sam) śmierci' A.
» — » — ‚(teraz jak) jak teraz' A.
» — » 24 ‚(był) stał' A.
» — » 25 ‚(Wszak) Powiedz, wszak' A.
» 101 » 18 ‚prze(chodzi)kroczył' A.
» — » 19 ‚teraz on już' Pdr.; ‚teraz już on' A.
» — » 23 ‚odjękuje .. kroków' Pdr.; ‚odjękuje ich (krokom) następującym krokom' A.
» — » 26 ‚(weselnej) ślubnej' A.
» — » 30 ‚wschodzącemu słońcu (A kiedy stawał na progu, właśnie rumiana, ogromna twarz słońca wlepiła mu się w oczy. — Olśniony, (idzie na przebój) idzie omackiem na przebój, aż ciemności spadły mu z oka — lepiej było (oku) zrzenicy przytulić je do siebie na wieki! bo senne mary stały się jawem, stopy Jego w krwi brodzą, (tuż przed nim leży ciało córki, ciało synowca, chyba że on już nie na ziemi, ale w czyscu złudzeń, w piekle nasłanych widziadeł) Tuż przed nim ciało córki i ciało synowca — szklnią się ich nieprzywarte zrzenice w promieniach coraz bielszych słońca — głowa jej spoczywa na kolczudze rycerza — snadź on jeszcze padając (znać) otoczył jej szyję ramieniem —).
» 102 » 3 ‚ujrzał krew' Pdr.; ‚krew ujrzał' A.
» — » 12 ‚(rycer) służebni' A.
» — » 18 ‚(rękojeści tkwiącej) sztyletu, co tkwi' A.

str. 102 w. 21 ‚naokoło... ścina się' Pdr.; ‚naokoło na śnieżnych szatach (dziewczyny) panny młodej i na pancerzu (męża) wodza ścina się' A.
» 103 » 11 ‚w ich postaci' Pdr.; ‚w ich postacie' A.
» — » 14 ‚skamienieli' Pdr.; ‚zmartwieli' A.
» — » 17 ‚(schylił) spuścił' A.
» — » 25 ‚wyszli sobie' Pdr.; ‚sobie wyszli' A.
» — » 27 ‚w(z)dzierał się' A.
» 104 » 1 ‚wiara' Pdr.; w A brak.
» — » 5 ‚(tam) ściskały się' A.
» — » 6 ‚(lub) to wbiegając' A.
» — » 8 ‚córki' Pdr.; ‚córkę' A.
» — » — ‚naokoło' Pdr.; wokoło' A.
» — » 13 ‚rękoma' Pdr.; ‚ramionami' A.
» — » 15 ‚(pasuj) mocuj się' A.
» — » 17 ‚sługa' Pdr.; w A brak.
» — » 20 ‚ten sen okrutny' Pdr.; ‚tę okrutną próbę' A.
» — » 21 ‚(spokojniej szedł dalej) szedł spokojniej' A.
» — » 26 ‚(Na) U brzegu' A.
» — » 27 ‚o (flagach powiewnych herbami) herbownych flagach' A.
» 105 » 1 ‚śmie' Pdr.; ‚śmiał' A.
» — » 25 ‚dobre' Pdr.; ‚(moje) słodkie' A.
» 106 » 3 ‚(rozśmiał się) głośno się rozśmiał' A.
» — » — ‚(słuchają) czekają' A.
» — » 8 ‚przebudzić (przebudzić) — ja' A.
» — » 14 ‚Wrócili (na wier)' A.
» — » 17 ‚pod (chłodami) błękitami' A.
» — » 20 ‚(trup) ciało' A.
» — » 24 ‚(udali się wszyscy) na rączych koniach' A.
» — » 26 ‚(księciu) książęciu' A.
» 107 » 3 ‚(zdobyć) szturmem zdobyć' A.
» — » 4 ‚na zwiady' Pdr.; ‚na wzwiady, A.
» — » 16 ‚nie wspomina (o tobie) ciebie' A.

str. 108.

POKUSA.

Utwór ten nie zachował się ani w autografie, ani nawet w odpisie. Pdr. zob. »Noc letnia«.

Odmianka tekstu.

str. 116 w. 11 ‚pieszy'; ‚pierwszy' (pomyłka drukarska) Pdr

---

str. 133.

HERBURT.

Nr. 16 (K^1) 29×23, str. 48, zeszyt nieoprawny. Odpis Ignacego Janickiego.

Nr. 17 (K^2) 27·8×22, str. 75, 3 zeszyty nieoprawne i 2 półarkusze luźne. Odpis nieznanej nam ręki.

Oba odpisy sporządzone niezależnie od siebie z istniejącego jeszcze wtenczas autografu; odpis Janickiego, jakkolwiek późniejszy, znacznie lepszy. W K^2 poczyniła nieznana ręka poprawki, zwykle trafne, ołówkiem.

Na obydwóch odpisach umieszczony przy tytule r. 1837, przepisany oczywiście z autografu; nie ulega wątpliwości, że Krasiński właśnie ten utwór miał na myśli, pisząc do Gaszyńskiego 5 kwietnia 1837 (Listy I, 116): »Różne takie komiczne humorystyczne wiły się zamiary w głowie jego (tj. Krasińskiego); ale to wszystko oporem stąpa i najczęściej leży odłogiem«.

Odmianki tekstu.

str. 136 w. 5 ‚mógłbym' K^1; ‚mógł by(m)ć' K^2.
» — » 6 ‚spadły' K^1; ‚spadały' K^2.
» — » 11 ‚o(s)kradł' K^2; ‚skradł' K^1.
» — » 17 ‚powierzę' K^1; ‚powie(rzę)m' K^2.
» — » 21 ‚da(w)nych' K^2.
» 137 » 26 'cny' K^1; w K^2 brak.
» 138 » 1 ‚czyż' K^1; ‚czy' K^2.

str. 138 w. 15 ‚przypuścić, K¹; ‚przypuszczać' K².
» — » 16 ‚ktośby' K² (*ś* wpisane ołówkiem); ‚ktoby' K¹.
» — » 21 ‚chłodnawy' K¹; ‚chłodny' K².
» — » 22 ‚kiedy na powieki padnie' K¹; ‚kiedy pada na powieki K² (*pada* wpisane ołówkiem).
» 139 » 11 ‚że (i) wspomnę i o kozaku' K²; ‚że i wspomnę o kozaku' K¹.
» — » 16 ‚opędzał' K¹; ‚odpędzał' K².
» — » 25 ‚niewieścich' K¹; ‚niewinnych' K².
» 141 » 6 ‚upadła' K¹; ‚upadł' K².
» — » 13 ‚pamiętniki' K¹; ‚pamiątki' K².
» 142 » 8 ‚zacząłem' K¹; ‚załączam' K².
» — » — ‚Mylisz się' K² (*isz* dopisane ołówkiem); ‚Myl się' K¹.
» — » 19 ‚sam niema' K¹; ‚sam nawet niema' K².
» — » 25 ‚może' K¹; ‚mo(że)gę' K².
» 143 » 2 ‚śmieszność' K¹; ‚śmieszności' K².
» — » 14 ‚(przeciwko) wobec' K²; ‚przeciwko' K¹.
» 144 » 3 ‚(W tych dniach) Tych dni raczej (w) tych (nocach) nocy' K¹.
» — » 13 ‚blado' K¹; w K² brak.
» — » 14 ‚jakoby' K¹; ‚jakby' K².
» 145 » 23 ‚i pola' K²; ‚pola' K¹.
» 146 » 20 ‚jakoby' K¹; ‚jakby' K².
» 148 » 12 ‚jakoby' K¹; ‚jakby' K².
» — » 27 ‚ech(ów)' K²; ‚echów' K¹.
» — » 28 ‚skaczące' K¹; ‚skacząc' K².
» 149 » 11 ‚dyamenty' K¹; ‚dyamentami' K².
» — » 18 ‚słyszał' K¹; ‚szukał' K².
» 150 » 8 ‚podniosły lub zniżyły' K¹; ‚podnosiły lub zniżały' K².
» — » 12 ‚kiedy' K¹; ‚każdy' K².
» — » 22 ‚powstawał' K¹; ‚powstał' K².
» 154 » 25 ‚z pod parasol(u)a' K²; ‚z pod parasolu' K¹.
» 156 » 7 ‚przy blizkim stoliczku' K¹; ‚przy blizkim stoliku' K².

str. 156 w. 15 ‚talie' K^1; ‚tablice' K^2.
» 157 » 15 ‚moje'; ‚może' w K^1 i K^2 jest, jak sens wskazuje, pomyłką odpisywaczy, tem łatwiejszą, że autor napisał 'moie', a nie ‚moje'.
» 158 » 27 ‚cienistych' K^1; ‚ciemnistych' K^2.
» 159 » 25 ‚z opadającym' K^1; ‚z odpadającym' K^2.
» — » 31 ‚zwiądł' K^2; ‚zwiędł' K^1.
» 161 » 27 ‚tylu' K^1; ‚tych' K^2.
» 162 » 16 ‚lica' K^2; ‚lice' K^1.
» — » 28 ‚zemdlony' K^1; w K^2 brak.
» 163 » 4 ‚dążę' K^2; ‚dążą' K^1.
» — » 14 ‚wnętrzne' K^1; ‚wewnętrzne' K^2.
» 165 » 5 ‚zwart(o)a' K^2; ‚zwarło' K^1.
» 165 » 4 ‚Cestyusza'; ‚Sykstusa' K^1 i K^2.
» 167 » 6 ‚pamiętniki' K^1; ‚pamiątki' K^2.
» — » 19 ‚u wejścia' K^1; ‚w miejscu' K^2.
» — » 22 ‚napominania' K^1; ‚napomnienia' K^2.
» 168 » 11 ‚czuwasz' K^1' ‚czemuż' K^2.
» — » 19 ‚współuczonymi' K^1; ‚współuczonym' K^2.
» — » 23 ‚nabożnie' K^1; ‚nabożne' K^2.
» 171 » 11 ‚swojego' K^1; ‚swego' K^2.
» 173 » 5 ‚jakże' K^1; ‚jednakże' K^2.
» 174 » 21 ‚jedno' K^1; ‚jeno' K^2.
» 175 » 8 ‚śnieżnie K^1; w K^2 brak.
» — » 12 ‚struna' K^1; ‚słońca' K^2.
» 176 « 3 ‚zdołała' K^1; ‚zdoła' K^2.
» — » — ‚Choć' K^1; w K^2 brak.
» — » 29 ‚jeść będę' K^1; ‚jeśli będę' K^2.
» 179 » 10 ‚więcej' K^1; ‚więc' K^2.
» — » 26 ‚uniesienia' K^2; ‚uniesienie' K^1.
» 180 » 3 ‚przerywanym' K^2; ‚przerwanym' K^1.
» — » — ‚do stołu' K^1; ‚do sali' K^2.
» — » 11 ‚przypominał' K^2; ‚przypomniał' K^1.
» 183 » 7 ‚rytmy' K^1; ‚rymy' K^2.

str. 187.

UŁAMEK Z POEMATU.

Nr. 18. Rps (K) 27·2×21·5, 3 luźne półarkusiki cienkiego papieru. Odpis ręką Delfiny Potockiej.

Że to utwór Krasińskiego, zbyteczna szeroko się nad tem rozwodzić; pominąwszy bowiem ogólny ton i duch Krasińskiego, jaki z tego poematu wieje, wystarczy zwrócić uwagę na mozolne tu i owdzie rymowanie, takie rymy, jak: g d z i e ś c i (wyraz Krasińskiego) i p i e ś c i; nowotwory: droga r o z j e m n a, o d m a r t w i a s i ę, o d ć m i s i ę, łzy w radość się p r z e ś m i e j ą, a zwłaszcza na przecudnie piękny obraz Delfiny Potockiej w wierszach:

...,lecz jej serce było
Wszelkich już złudzeń zamkniętą mogiłą' itd. do końca...

Data powstania poematu nie jest na odpisie wyrażona, lecz domyślić się jej nie trudno. Forma wierszowanej powieści pierwszy i ostatni raz tu użyta, zbliża nasz utwór jeszcze do Herburta, a zwłaszcza zwrot:

»Może, kto czyta, tu pomyśli: »Ale
Ona młodzieńca nie kochała wcale«.

Z drugiej znów strony »ciało, cierniów wieńcem okrwawione« i ten brak nadziei przy pożegnaniu w końcowym ustępie:

»Że ból ten zniknie, co w niej się ukrywa,
Aż powie jemu: »I ja dziś szczęśliwa«.

przypominają »ciernie w wieńcu twego czoła« i »Gdybym mógł marzyć, że będziesz szczęśliwą« i t. d. w wierszu pożegnalnym: »Ledwom cię poznał...«, który ma wyraźną datę 14 lutego 1839. Podobieństwo myśli i zwrotów, a nawet nastroju w obu utworach przemawiają stanowczo za tem, że nasz »Ułamek z poematu« powstał niedługo po poznaniu się z Delfiną, t. j. w pierwszych miesiącach r. 1839, zapewne jeszcze przed »Sycylijską podróżą«.

O d m i a n k a t e k s t u.

str. 190 w. 9 ‚przebudzi'; ‚przybudzi' K.

str. 201.

Z SYCYLIJSKIEJ PODRÓŻY KART KILKA.

Nr. 19 (A) 22·3×19, k. 18, z czego $15^1/_2$ t. j. 31 stronic zapisanych, zeszyt oprawny w skórę brunatną, podklejoną siwym papierem. Papier ma znak wodny *J. Wahtman Turkey Mill 1836*, a nadto w lewym rogu u góry na sucho wyciśnięty znak: korona z krzyżykiem i słowa w otoku: *‚Superfine—Bath'*.

Na k. 18 przyklejona roślina zasuszona (złotowłos, *Adiantum capillus Veneris)* z napisem własnoręcznym poety u góry: ‚Z nad Fontanny w Ziza'.

Dopiski ręką Delfiny Potockiej:

K. 18' ‚Journal de Sicile 1839'.

Na wewnętrznej stronie przedniej okładki: ‚Naples — Rome — Golfe de Naples — Mediterranée — Como — Splugen — Frey... — Naples — Molo di G. — Albano — Rome'.

Czy nasz autograf jest pierwszym rzutem na papier, czy odpisem na czysto? Znając sposób tworzenia i pisania Krasińskiego, możemy na pewno twierdzić, że mamy przed sobą odpis z dorywczo pisanych i zapewne gęsto poprawianych kartek, tak że w Rpsie poprawki są już *rari nantes*, i to robione przeważnie podczas przepisywania; sądząc ze zmiany pisma, lub może raczej pióra, przepisywanie na czysto odbywało się na 4 lub 5 zachodów. Powyższy domysł potwierdza okoliczność, że napis ‚Z nad fontanny w Ziza', pod którym miała być lub była zasuszona roślinka, znajdował się pierwotnie na k. 16; przy przepisywaniu jednak okazało się, ze pierwotne obliczenie kart, przeznaczonych na tekst, było mylne; stronica więc z napisem została także zapisana, a sam napis przemazany i dla ostrożności przeniesiony aż na k. 18, czego znów nie było potrzeby, gdyż tekst zajął tylko k. 16, więc napis z rośliną mógł być umieszczony śmiało na k. 17.

Pdr. »Pisma Zygmunta Krasińskiego. Za zezwoleniem rodziny poety wydał Tadeusz Pini. Wydanie krytyczne zupełne ze słowem wstępnem prof. dra Józefa Kallenbacha«. T. II, we Lwowie 1904, str. 61—81. W »odmianach tekstu« zaznacza

wydawca, że »tekst i odmiany wedle autografu«; w drukowanym tekście brak jednak ustępu drugiego (‚Neapol, 21 kwietnia w nocy' str. 204—206 niniejszego wydania) i ostatniego (‚5 maja — o 6-ej z rana na statku' str. 231—2), co już zrozumieć trudno. Niepodobna też zgodzić się na tytuł, nadany utworowi w Pdr. »Dziennik z podróży po Sycylii«; zwiedzenie dwóch miast nie jest jeszcze podróżą po kraju tak, jak nikomu nie wpadnie na myśl twierdzić, że podróżował po Włoszech, zwiedziwszy np. w czasie świąt wielkanocnych Wenecyę i Padwę. Powyższemu tytułowi należałoby raczej dać formę więcej ogólną, a mniej określoną: »Dziennik sycylijskiej podróży« (wtenczas »podróży«, dziśbyśmy powiedzieli : »wycieczki«); woleliśmy jednak raczej wypisać na czele nazwę, której sam autor użył w pierwszym ustępie swego utworu: ‚Kart kilka', dodawszy od siebie tylko bliższe określenie »Z sycylijskiej podróży«, bez którego w tekście wobec dobrze znanej obu stronom treści »kart« snadnie obejść się mogło.

Odmianki tekstu.

str. 207 w. 1 ‚(biją) smagają' A.
» — » 23 ‚skaleczy(ć)' A.
» — » 25 ‚(i) z tem' A,
» 208 » 13 ‚(piski) krzyk' A.
» 210 » 19 ‚także (w sklepienie zagięte) zagięte sklepieniem' A.
» 212 » 13 ‚Z (prawej) jednej strony' A.
» — » 14 ‚(dziwnie) w równych' A.
» — » 20 ‚(słodkie) lube' A.
» 215 » 1 ‚(chmur) obłoków' A.
» — » 17 ‚(wejść i zniknąć) wśród tych różanych promieni' A.
» 216 » 13 ‚(wielu ludziom) niektórym' A.
» — » 14 ‚(inne) pali się' A.
» — « 15 ‚(z) Po każde(go)m plemieni(a)u' A.
» 217 » 4 ‚grób (jakiś) podobny' A.
» — » 31 ‚jed(en)no' A.

str. 218 w. 16 ‚smutne (obrzydliwe)' A.
» — » 26 ‚(strzemienia) konia' A.
» 219 » 10 ‚(niebo) pogoda' A.
» 220 » 3 ‚(z) bluszczu ...(z) róż' A.
» — » 11 ‚za (temi) kręgiem tych wzgórz(ami)ów' A.
» — » 12 ‚(mnie) mi' A.
» 221 » 7 ‚(od) przed te(go)m gorejące(go)m słońc(a)em' A.
» — » 27 ‚(wzdziera) wdziera' A.
» — » 30 ‚(sklepienie) ściana' A.
» 222 » 16 ‚(napi) wyryłem' A.
» 223 » 20 ‚(siedziałem) usiadłem' A.
« — » 23 ‚siatka (srebrna)' A.
» — » 24 ‚(niebieski) błękit' A.
» 225 » 3 ‚(kamiennej) brukowanej' A.
» — » 11 ‚(odkryć) ujrzeć' A.
» — » 12 ‚nad tą (pieczarą) jaskinią' A.
» — » 21 ‚(przepaści) rozłomy' A.
» 226 » 2 ‚Długich (fałdzistych) szatach' A.
« — » 8 ‚na (pła) równinę' A.
» — » 31 ‚gdy (wszedł) (wszedł)wchodził' A.
» 227 » 11 ‚(kwiat) samotny kwiatek' A.
» 228 » 16 ‚(piękniej) jaśniej' A.
» — » 19 ‚róż(e) wszystki(e) ch ...i zanieść (je) ich tobie' A.
» — » 23 (zatknięt) zapełnionej' A.
» 229 » 5 ‚(z kaszmirów) z kaszmirowych wezgłowiów' A.
» — » 20 ‚(rozm) inakszy' A.
» 230 » 11 ‚(zwierciadł) gładkości zwierciadeł' A.
» — « 20 ‚(była) jest' A.

---

str. 233.

TRZY MYŚLI.

Pdr. »Trzy myśli pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie zmarłym w Morreale 12 kwietnia 1840 roku. Nakładem Stefana

Szczęsnego, Bogdana Mielikowskiego». Paryż, przy ulicy de l' Echaudé Nr. 9, 1840, 12, str. XXII+64+1 nlb.

Rps wszystkich »Trzech myśli« nie dochował się; istnieją tylko dwa autografy: »Syn cieniów« i »Sen Cezary«. oba w albumach Delfiny Potockiej. Oba autografy różnią się znacznie od drukowanych utworów; poeta niezupełnie zadowolony z pierwszego rzutu, swoim zwyczajem przed oddaniem do druku, poprawiał je, zmieniał, mazał, dodawał, aż wreszcie nadał im postać, utrwaloną ostatecznie drukiem.

Nr. 20 Rps (A) 20·5× 12·5, str. 93, album opr. w fioletowy aksamit z wyciskami, wewnątrz podbity białą morą. Zawiera następujące autografy Zygmunta Krasińskiego:

a) str. 3—9. ‚Neapol 13 lutego 1840[1]. Czem zacząć tę książkę białą — pustą — dziewiczą?'

b) str. 24—29. [Syn cieniów].

c) str. 31—38: ‚Wiersz Kanarysa — 1819 r. pisany'.

‚Wierzę w nadzieję — w dobroć nieskończoną —'

d) str. 39 42 ‚20 czerwca — Rzym — 1840'.

‚Do Turków — także z Kanarysa'

‚Wiem — dla mnie — łańcuch — powróz zgotowany —'

e) str. 43—45. ‚Neapol 3-go lipca — 1840'.

‚Dwie piosnki'.

1. ‚Od łez moich się zaduszę...'
2. ‚Rankiem wieczorem na wyspy bezdroże'.

f) str. 47. Nalepiona kartka z autografem ‚Molo di Gaeta— 30 czerwca 1840'.

‚Ja cię nie żegnam przez to, co świętego...'

g) str. 49. Nalepiona kartka z autografem:

‚O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie...'

h) str. 52. ‚Roma — 23 nowembra 1840'

‚Tak więc ciągle z burz na burze...'

[1] Mogłaby zachodzić wątpliwość, jak czytać liczbę roku: czy 1840, czy też 1841, gdyż ostatnia cyfra zalana. Jeżeli jednak porównamy sposób pisania cyfry *1* i *0* na tem i na innych miejscach, to przyjdziemy do przekonania, że zalaną cyfrą jest *0* a nie *1*; dalsze zresztą daty pochodzą wszystkie z r. 1840.

Nr. 21 Rps (A) 20·5×12·5, str. 160, album opr. w fioletowy aksamit z wyciskami, wewnątrz podbity białą morą. Na grzbiecie przybita blaszka mosiężna z rytowanym napisem: *‚Copie de lettres'.*

Prócz 5 wierszy na wewnętrznej stronie okładki i 11 wierszy na str. 1 i str. 51 54, zawiera rps same autografy Z. Krasińskiego.

a) str. 1. ‚Gdzie czuciem i natchnieniem nie sposób...'

b) str. 3—6. ‚Neapol 17 lutego 1840 r'.

‚Znów żegnam ciebie — jak przeszłego roku —'

i ‚Ot! duch mój cały chyli się w świat szału ..'

c) str. 7—41. ‚Neapol luty — 1840 r.'

‚Fantazya konania'.

‚Może ja zasnął — umarłem już może ..'

Pierwszy rzut ‚Dnia dzisiejszego'.

d) str. 43—45. ‚Neapol 10 lutego 1840'

‚Do... '

In the stable nurs'd, in the kitchen brod

Byron'.

‚Przekleństwo podłym, przekleństwo tej babie...'

e) str. 55. ‚Ja ich nie liczę — ja tylko je czuję' (koniec wiersza 'Ledwiem cię poznał, już cię żegnać muszę)'.

f) str. 56—61. ‚Drezno — 18-go lipca'

‚Z nad wód, gdzie nigdy nie zaszumią burze...'

g) str. 63 — 80. ‚Frankfurt 1839 w sierpniu'

‚Rozpacz — Szyderstwo — Wiara,

Kto mi ją wróci, a z nią odda chwile...'

str. 83—160. »Dziennik z niemieckiego, z Jean Paul Emmellina wyjęty i tłumaczony. Freyburg — 17 augusta 1839«.

Tytuł zmyślony; w rzeczywistości jestto dziennik samegoż poety, obejmujący okres czasu od 2 stycznia do 10 lipca 1839, przepisany, jak z tytułu widać, 17 sierpnia t. r. we Fryburgu.

W »Dzienniku« znajdują się wplecione utwory:

h) str. 90 - 95. »Znasz, co namiętność? Czy ty wiesz, co piekło?«

i) str. 95—98. »Czyż wtedy z tobą raz ostatni byłem?«

k) str. 120—160. ‚Tu jak zwykle w Jean Paulu przerywa się nagle dziennik Cesara Alberti i zaczyna się ułomek.

Sen
Cesara Alberti

‚Cienie zewsząd w duszy mojej.' (Sen Cezary. wydany w »Trzech myślach« r. 1840).

Książeczka przedstawia kilka zagadek. Do str. 50 papier jednaki bez znaku wodnego (z wyjątkiem k. 1), wpisane są utwory z lutego 1840 i to w porządku odwrotnym: naprzód z 17 lutego, następnie z lutego bez ściślejszej daty, wreszcie z 10 lutego; widocznie wiersze zostały wpisane w jednym czasie bez względu na czas powstania. Od str 51 zmienia się papier, jest liniowany z marginesem po lewej, oznaczonym czerwoną, pionową linijką, ze znakiem wodnym: *J. Whatman 1837* (z tego samego papieru jest także k. 1 na czele albumu). Od str. 121 do końca znów inny papier bez linijek i znaku wodnego; czy taki sam, jak w części pierwszej — trudno orzec, na oko zdaje się być odmienny, ciemniejszy. Mamy tu wpisane utwory 1839 r., a nawet pierwszy wpis (str. 51—52) wyjątek z Korsarza (po ang.) ręką, jak się zdaje, Delfiny Potockiej, pochodzi z 1 września 1838; Wenecya. Następują dwa dalsze wpisy tej samej ręki (str. 53 i 54), a następnie koniec wiersza: ‚Ledwom cię ujrzał, już cię żegnać muszę' — koniec oczywiście dlatego, że poprzednia kartka (z początkiem) została wycięta, czego ślady można jeszcze w książeczce zauważyć. Następnie idą dwa utwory, w porządku chronologicznym (16 lipca i sierpień), a po nich ‚Dziennik 2 stycznia — 10 lipca 1839 roku.

A teraz pytanie, dlaczego utwory wcześniejsze, z r. 1839, wpisane są w drugiej części albumu, a utwory późniejsze z r. 1840, w pierwszej? — Czyżby w tym porządku miały być wpisane? Temu jednak sprzeciwia się naprzód owa data Delfiny Potockiej (1 września 1838) na str. 52, następnie pismo Krasińskiego, w obu częściach odmienne, pochodzące z lat 1840 (w I cz.) i (1839 (w II cz.). Zagadkę może rozwiązać tylko przypuszczenie, że album powstało z dwóch różnych książeczek, tj. z albumu r. 1839 (może zniszczonego ciągłemi podró-

żami tego roku), do którego przy nowej oprawie dołączono na początku k. 24 (str. 3–50); że przytem kartki czyste bez znaku wodnego dostały się na czoło książeczki, zamiast żeby były w tyle, po kartkach zapisanych, przyczyną mogła być albo nieuwaga introligatora albo wyraźna wola Delfiny, która sama tak zarządziła dla dogodności wpisującego nowe utwory. Kartka ze znakiem Whatmana dostała się tu zapewne przypadkiem i musiała być czysta, gdyż utwór pod *a)* z powodu pisma (tego samego, co w utworze: ‚Ot! duch mój cały...') należy do r. 1840. Przypuszczenie o powtórnej, późniejszej oprawie cz. II (z r. 1839) potwierdza też w zupełności okoliczność, że tu i ówdzie uszkodzono przy nowej oprawie znaki interpunkcyjne, a na str. 57 obcięto nawet w wierszu »Z nad wód, gdzie nigdy nie zaszumią burze« dwa wyrazy (‚com widział na ziem[i]' i ‚bo nie oddam ciebi[e]'). Czas oprawy albumu (Rps Nr. 21) można z pewnem podobieństwem do prawdy oznaczyć na pierwszą połowę lutego 1840. Oprawa obydwóch albumów (Rps Nr. 20 i 21) jest do najdrobniejszych szczegółów taż sama, nawet blaszka z napisem ‚*Copie de lettres*' musiała być pierwotnie także na Nrze 20 gdyż w tych samych odstępach na grzbiecie widoczne są jeszcze dziurki, w których tkwiły ćwieczki, przytwierdzające blaszkę do grzbietu. Widocznie kazała pani Delfina oba albumy w jednym czasie oprawić i następnie jeden (Nr. 21) po wpisaniu trzech utworów w lutym 1840 zatrzymała dla siebie, drugi (Nr. 20) wziął ze sobą poeta, ażeby wpisywać weń utwory, jakie w późniejszysh miesiącach tego roku miał jeszcze napisać.

Odmianki tekstu.

Syn cieniów.

str. 243 w. 7 ‚nic'; ‚nie' Pdr.
» — » 14 ‚padają'; ‚podają' Pdr.
» 245 » 5 ‚zastałem'; ‚zostałem' Pdr.
» 247 przed w. 1 czytamy w autografie następujące 4 zwrotki, przez autora przekreślone:

‚Życie jest drogą — co z głębin otchłani
Wiedzie na coraz powietrzniejsze szczyty.
Na dole Ciemność a w górze błękity —
W głębi błękitów gwiazda, życia Pani. —

Po drodze ciernie — i straszliwe Larwy —
Lecz niechaj pielgrzym do tej gwiazdy wzdycha —
Tam Jego szczęście i tam Jego pycha,
On (na niej) kiedyś wzdzieje (wiecznej wiosny) wie-
[cznych wiosen barwy.

Przez długie bole — przez wieków męczeństwa
Rozbierze siebie z szaty człowieczeństwa —
Ogień, co pali, krew własna, co krwawi
Śmiertelność jego wyżre i przetrawi —

Coraz on groźniej wschodząc patrzy w niebo
I coraz dumniej tą ziemią pomiata —
Drze się wschodami na piątra wszechświata —
Bogiem mu zostać — jest Boga potrzebą!'

str. 247 zam. w. 1 ‚Syn cieniów patrzy...' aż do str. 249 w. 9 ‚Ale złe przejście...' czytamy w autografie:

‚Syn cieniów patrzy w oddal — w błękit — w niebo —
Choć z ziemi rodem (tą) ziemią tą pomiata,
Drze się z jej nizin na piątra Wszechświata
Nektar dróg mlecznych — ust Jego potrzebą!

Przez długie klęski — przez wieków męczeństwa
On się rozbierze z szaty człowieczeństwa
(Ogień, co pali) Myśl, która gryzie, krew własna, co
[krwawi.
Śmiertelność z (serca) Niego wyżre (mu i) i przetrawi—

str. 249 w. 9 ‚Ale złe przejściem... doczesnej burzy' Pdr. ‚Złe przejściem tylko—tylko pyłem drogi— Jeśli piorunem — to (znikomej) nie wiecznej burzy'. A.

str. 249 w. 15 ‚Bo w gwiazd(y)ę nieba (zalsną tu na ziemi) przetworzy krąg ziemi!

(I on zabłyśnie przez świat na kształt tęczy)
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy' A.

» — po w. 16 przemazana zwrotka w A:

‚Co wszystkie łukiem spoiła przestrzenie
(Bo) Noc dolin wzięła w ramion swych promienie
A czoło górą w równi z słońcem trzyma
Tam, gdzie wre światło — a już nocy niema!'

» — w. 17 i 18: ‚Coraz więc dalej, o synu (ciemności) światłości
Stąpaj ku twojej zwitej z gwiazd koronie)
światów nieodkrytych stronie' A.

» — » 20 ‚na drogach' Pdr.; ‚na ścieżkach' A.

» — » 22 ‚coś przeczuł natchnieniem' Pdr.; ‚coś wyśpiewał pieniem' A.

» — » 25 ‚świeże' Pdr.; ‚całe' A.

» 250 » 4 ‚wre anioł' Pdr.; ‚i anioł' A.

» — zamiast w. 6 i 7:

‚Póki nie błyśnie, jak zorze, z ukrycia,
Póki nie wyjdzie, jak dziecię z powicia' A.

» — » 8 ‚Bądź znów' Pdr.; ‚Bądź (więc) ty' A.

» — » 14 ‚z lazurów' Pdr.; ‚z jasności' A.

» — po w. 17 przemazana zwrotka w A:

‚Znów będziesz wzdychał ty anioł, ty święty,
Do tego Boga, co jest niepojęty,
I za nim pójdziesz miłością niesiony
W świat inny — piękny — dobry — nieskończony' —

» — » 18 ‚za nim pójdziesz' Pdr.; ‚pójdziesz za nim' A.

» — » 22 ‚(tyś) boś' A.

» — » 23 ‚(dotąd) jeszcze' A.

» — » 26 ‚Ty na nie patrząc' Pdr.; ‚Stojąc nad niemi' A.

» 251 » 1—9 ‚Choć latasz wolny po światów prze-

|stworze

Ostatek bolu w swoim sercu gości.
Cień twoich skrzydeł przed tobą się toczy
Mgła niepamięci jeszcze ćmi ci oczy,
Dotąd ty wołasz do Boga: »o Boże!«

Aż poznasz pana jakoś ty poznany
I przejrzysz siebie a w tej samej chwili
(Dzieci) Noc niepamięci w tobie się prze-
[sili —' A.

str. 251 w. 14 ‚mijał' Pdr.; ‚minął' A.
» — » 15 ‚(Tyś był) Ten sam ty byłeś' A.
» — » 19 ‚W jednem wspomnieniu' Pdr.; ‚Jednem wspomnieniem' A.
» — zamiast w. 20 ‚Zlałeś się z sobą, przypadłeś do siebie' A.
» — » 30 ‚i wiecznie' Pdr.; ‚a wiecznie' A.
» 252 » 2 ‚a oprócz Ciebie' Pdr.; ‚(prócz jednego Ciebie) i oprócz Ciebie' A.
» — » 4 ‚stwarzaj niebo w niebie'; ‚stwarzaj wieczne niebo w niebie' Pdr. (jest pomyłką, gdyż wiersz o 2 zgłoski dłuższy, niż wszystkie inne); ‚i twórz niebo w niebie' A.

Sen Cezary.

» 253 tytuł: ‚Sen Cezary' Pdr.; ‚Sen Cezara Alberti' A.
» — w. 6 ‚wejść do niej, wstępuję ciasnymi wschody Pdr.; ‚wejść otwartą bramą — wstępuję wschodami' A.
» — » 8 ‚grube mury' Pdr.; ‚mury grube' A.
» 254 » 8 ‚cichy' A; w Pdr. brak.
» — » 11 ‚woła' Pdr.; ‚woła śpiewnie' A.
» — » 12 ‚przedemną. Zdało mi się' Pdr.; ‚naokoło mnie. Oparłem się na poręczach, by nie zemdleć z zawrotu głowy. — Zdało mi się' A.
» — » 15 ‚złotem i ciszą' Pdr.; ‚złotem, milczeniem i ciszą' A.
» — » 17 ‚poważne' Pdr.; ‚długie, poważne, pełne' A.
» — » 19 ‚z dolnego kościoła' Pdr.; w A brak.

str. 254 w. 20 ‚otoczyły mnie. A za każdym' Pdr.; ‚otoczyły mnie. Kościół dolny napełnił się brzmieniem i leje gdyby w czarę drugą potoki dźwięku do cudnej dzwonnicy. A za każdym' A.

» — » 29 ‚krzyk ich mowy' Pdr.; ‚ich krzyki, mowy' A.

» — » 30 ‚wszczynał, a czasem' Pdr.; ‚wszczynał, grzmoty huczały, a czasem' A.

» — » 31 ‚i szli coraz dalej' Pdr.; ‚i szli dalej, szli coraz dalej' A.

» 255 » 2 ‚krwawe' Pdr.; ‚jaskrawe' A.

» — » 3 ‚jak kołujące' Pdr.; ‚jak duże, kołujące' A.

» — » 9 ‚jakby za pogrzebem' Pdr.; ‚jak gdyby szło za pogrzebem' A.

» — » 11 ‚szabel' Pdr.; ‚połamanych szabel' A.

» — » 12 ‚dłoniach' Pdr.; ‚rękach' A.

» — » 16 ‚ślady... płynącą' Pdr.; ‚ślady krwią własną' A.

» — » 19 ‚kwiaty' Pdr.; ‚kwiatami' A.

» — » 21 ‚bez narzekania' Pdr.; ‚bez westchnień' A.

» — » 22 ‚śmierć tę samą' Pdr.; ‚śmierć zawsze tę samą' A.

» — » 27 ‚w poprzek' Pdr.; ‚na poprzek' A.

» 256 » 6 ‚oni bili się' Pdr.; ‚oni się bili' A.

» — » 9 ‚połyskami' Pdr.; ‚sinemi gwiazdami' A.

» — » 10 ‚skwarno' Pdr.; ‚skwarno i nieznośnie' A.

» — » 11 ‚ich miecze' Pdr.; ‚ich miecze, ich dzidy' A.

» — » 14 ‚I każden' Pdr.; ‚Każden' A.

» — » 15 ‚sieroto' Pdr.; ‚aniołku' A.

» — » 17 ‚i przepaść' Pdr.; ‚i że przepaść' A.

» — » 18 ‚jak rój białych aniołków' Pdr.; ‚jak stado białych gołębi' A.

» — » 21 ‚się rozpoczęła' Pdr.; rozpoczęła się' A.

» — » 24 ‚nie kląkł' Pdr.; ‚nie przyklął' A.

» — » 25 ‚nie (prosił) błagał' A.

» — » 26 ‚głosy' Pdr.; ‚głos' A.

» — » 27 ‚i bądźcie' Pdr.; ‚a bądźcie' A.

str. 257 w. 6 ‚A owym... westchnieniem' Pdr.; ‚A anioły owe blade rozemknęły powieki i rzekły z westchnieniem' A.
» — » 8 ‚i grób' Pdr.; ‚grób' A.
» — » 9 ‚miłości nieskończonej' Pdr.; nieskończonej miłości' A.
» — » 11 ‚jak stał... utopił go' Pdr.; ‚podniósł miecz i utopił go' A.
» — » 17 ‚zielonej' Pdr.; w A brak.
» — » 20 ‚jeszcze dotąd' Pdr.; ‚dotąd jeszcze' A.
» — » 24 ‚patrz, patrz' Pdr.; ‚patrz' A.
» — » 25 ‚od akordu' Pdr.; ‚od okropnego akordu' A.
» — » — ‚łochów' Pdr.; ‚grobów' A.
» — » 26 ‚co bije' Pdr.; ‚co uderza' A.
» — » 28 ‚wyżej podniósł się' Pdr.; ‚podniósł się wyżej' A.
» — » 29 ‚wciąż' Pdr.; w A brak.
» — » 30 ‚dźwiękiem' Pdr.; ‚głosem' A.
» 258 » 7 ‚szmer ruczajów w oddali' Pdr.; ‚szmer wody z oddali' A.
» — » 9 ‚lecącą' Pdr.; ‚płynącą' A.
» — » 11 ‚mój' Pdr.; w A brak.
» — » 12 ‚głosu' Pdr.; ‚głosu tego kochanego' A.
» — » 15 ‚białych' Pdr.; ‚i białych' A.
» — » 18 ‚ku wschodom' Pdr.; ‚na wschody' A.
» — » 24 ‚było' A; w Pdr. brak.
» — » 27 ‚przyciszanych' Pdr.; ‚przyciszonych' A.
» — » — ‚skargę' Pdr.; ‚skargi' A.
» — » 29 ‚rzekł' Pdr.; ‚zawołał' A.
» — » — ‚Cezara, Cezara' A; ‚Cezara' Pdr.
» 259 » 5 ‚wszędzie ...arkadach' Pdr.; ‚wszędzie pod sklepieniem, wszędzie u stóp i na szczytach kolumn i po arkadach' A.
» — » 8 ‚w powietrzu... w przestrzeni' Pdr.; ‚w powietrzu i mgła jakaś ledwo widzialna, jak rąbek przejrzysty, przesuwała się w przestrzeni' A.

str. 259 w. 14 ‚krzyżem krwi' Pdr.; ‚krzyżem krwi i koroną krwi' A.
» — » 15 ‚pod krzyżem' Pdr.; ‚pod koroną' A.
» — » 17 ‚zdało' Pdr.; ‚wydało' A.
» — » 18 ‚jakoby' A; jakby' Pdr.
» — » 20 ‚chwytam słuchem'; (chwytam)słuchem chwytam' A; ‚chwytam, słucham' Pdr.
» — » 21 ‚podobne' Pdr.; ‚błądzące w powietrzu' A.
» — » 31 ‚z organów' Pdr.; ‚organów' A.
» — » — ‚raz' Pdr.; ‚ale raz' A.
» 260 » 3 ‚I szli polegli, szli umarli' Pdr.; ‚I szli umarli, szli polegli' A.
» — » 6 ‚pęknięte oręże' Pdr.; ‚pęknięte krzyże i połamane oręże' A.
» — » 9 ‚i zaczęli' Pdr.; ‚i rzędem czarnym zaczęli' A.
» — » — ‚w stronę wielkiego ołtarza' Pdr.; ‚ku wielkiemu ołtarzowi' A.
» — » 10 ‚widzę' Pdr.; ‚stoi' A.
» — » 18 ‚i ważąc się' Pdr.; ‚(jasnemi oczęt) ważył się' A.
» — » 20 ‚ku nim' Pdr.; ‚ku nim, ku umarłym' A.
» — » 25 ‚z radości' Pdr.; ‚z radości i zmartwychwstały z szczęścia' A.
» — » — ‚na ziemię' Pdr.; w A brak.
» — » 29 ‚przesuwające się' Pdr.; ‚kwitnące' A.
» — » — ‚i gwiazdy nad niemi' Pdr.; ‚błyszczące, jak gwiazdy przesuwające się jak powiew wiosenny nad niemi' A.
» — » 31 ‚Aż' Pdr.; w A brak.
» — » — ‚wtedy' Pdr.; ‚i' A.
» 261 » 1 ‚i odetchnęli' Pdr.; ‚odetchnęli' A.
» — » 3 ‚usiadły ... bardzo blade' Pdr.; ‚na czarnym marmurze usiadły niewiasty cichie *(s)* łzy lejąc, a potem znów zdały się bardzo blade'A.
» — » 5 ‚poskładawszy' Pdr.; ‚poskładali' A.
» — » 7 ‚ale o nic' Pdr.; ‚i o nic' A.

str. 261 w. 8 ‚z bolu i znużenia' Pdr.; ‚z wielkiego znużenia' A.
» — » 10 ‚mgły... wiły się' Pdr.; ‚mgły bladawe zstępowały z sklepień i wiły się' A.
» — » 12 ‚jedne za drugą... a im ciemniej' Pdr.; ‚jedne po drugich – owe tony tkliwe i słodkie cichły pod ciężarem akkordów grzmiących w organach. — A im ciemniej' A.
» — » 16 ‚mrok szary — aż przestrzeń' Pdr.; ‚noc szara, kilką tylko gromnicami oświeconą — aż przestrzeń' A.
» — » 18 ‚huku' Pdr.; ‚dźwięku' A.
» — » 20 ‚Ona (sama) jak słońce' A.
» — » 21 ‚i drżący' Pdr.; ‚drżący' A.
» — » — ‚drzewo' Pdr.; ‚młodziuchne drzewo' A.
» — » 22 ‚stanęła' Pdr.; ‚stanąwszy' A.
» — » 23 ‚sennemi' A; ‚samemi' Pdr.
» — » — ‚i pojrzała' Pdr.; ‚pojrzała' A.
» — » 24 ‚dyamentu' Pdr.; ‚dyamentu i lazur niebios unosił się koło skroni jej' A.
» 262 » 1 ‚ale płynąc' Pdr.; ‚ale jak słup jasności płynąc' A.
» — » 6 ‚czemu' Pdr.; ‚czemuż' A.
» — » 11 ‚gromnica' Pdr.; ‚gromnica w kościele' A.
» — » 13 ‚śpiewający' Pdr.; ‚śpiewający zwolna' A.
» — » 15 ‚wezgłowiach — niech ostygną' Pdr.; ‚wezgłowiach — niech te sklepienia wam) lekkiemi wam będą — niech ostygną' A.
» — » 16 ‚serca' Pdr.; ‚myśli' A.
» — » 17 ‚na was i' Pdr.; brak w A.
» — » 19 ‚wam; bo Pan czuwa' Pdr.; ‚wam — ta śmierć zbawieniem — Pan czuwa' A.
» — » 20 ‚trumny... miną' Pdr.; ‚trumny, Pan wskrzesi was, gdy chwile przeznaczone miną. (I przebudzicie się z bronią w ręku — I powstaniecie z gwiazdą jutrzenki na czole, wy i siostry wasze, wszyscy aż do ostatniego, boście

(wszyscy) poszli wszyscy za Panem do grobu. — Słowik na mogiłach ziemi waszej śpiewać wam pieśń powrotu będzie!)' A.

str. 262 w. 22 ‚stało się' Pdr.; ‚nastąpiło' A.
» — » 23 ‚co pierwej' Pdr.; w A brak.
» — » 26 ‚Patrz... ziemi' Pdr.; ‚Oto ślad po nich (jeszcze jeden) ostatni na ziemi!' A.
» — » 28 ‚(I nagłem) I naglem' A.
» — » — ‚modrych' Pdr.; ‚szarych' A.
» — » 29 ‚w samym środku ich jakoby obraz' Pdr.; ‚a na ich tle modrem jakoby obraz' A.
» — » 31 ‚postać niewieścią' Pdr.; ‚postać niewieścią w bieli' A.
» 263 » 1 ‚z smutku wiecznego wyrazem na czole' Pdr.; ‚z wyrazem smutku nieskończonego na czole. I smutek był jakoby jej życiem jedynem' A.
» — » 3 ‚płynęły, takie białe — Jej wzrok' Pdr.; ‚płynęły, stapiając się z jej kibici kształtem' A.
» — » 4 ‚przestrzeni. — I dumny' Pdr.; ‚przestrzeni I ten wzrok zdawał sie wiecznem pożegnaniem światu I dumny' A.
» — » 5 ‚choć łzawy... choć obarczone' Pdr.; ‚choć mglisty. — I podniesione to czoło, choć obarczone' A.
» — » 8 ‚strzeż jej, Cezara' Pdr.; ‚Cezara, Cezara, strzeż jej' A.
» — » 9 ‚polegli' Pdr.; ‚umarli' A.
» — » — ‚Ona jedna ocalała na ziemi. A gdym drugi raz spojrzał' Pdr.; ‚Ona jedna ocalała, by piękność tego rodu nie zaginęła całkiem na ziemi. — Z tysiąców dusz ta jedna dusza, ten cień ostatni błąka się, jeszcze dotąd z tej strony grobu. A gdym drugi raz spojrzał' A.
» — » 12 ‚nieznajomy' Pdr.; ‚nieznany' A.
» — » 14 ‚stroskane' Pdr.; ‚bezludne' A.

263 w. 14 ‚przesłonionych' Pdr.; ‚niewidzialnych' A.
» — » 15 ‚(suchych) zżółkłych' A.
» — » 16 ‚jakiś' Pdr.; ‚jakiś biały' A.
» — » — ‚zbroczony... panią swoją' Pdr.; ‚zbroczony, piersią zranioną przecina chmury, prowadząc panią swoją. —' A.
» — » 19 ‚smętna' Pdr.; ‚smutna' A.
» — » 20 ‚widna ciągle... w milczeniu' Pdr.; ‚widna ciągle, ciągle przedemną, zawsze błądząca, zawsze w milczeniu' A.
» — » 21 ‚wiecznie. I gdzie ona pójdzie' Pdr.; ‚wiecznie — i zdało mi się żem nigdy piękniejszej nie widział na ziemi — i coraz bliżej jej stąpam — i gdzie ona pójdzie' A.
» — » 24 ‚z nią razem! I zdało mi się' Pdr.· ‚z nią razem! A głos anielski, co mnie wiódł długo, już ucichł. Jej milczenie jedynym głosem moim — jej duma jedyną pychą — jej piękność niebem jedynem. I zdało mi się' A.
» — » 26 ‚Czasem widzę' Pdr.; ‚Zdało mi się, że czasem widzę' A.
» — » 27 ‚za chmurami, czasem księżyc' Pdr.; ‚za chmurami — czasem gwiazd kilka, czasem księżyc' A.
» — » 28 ‚gór... w górze' Pdr.; ‚gór. — Zdało mi się, że słyszę poza mgłą miast dalekich gwary, to znowu huk morza, to znowu w górze' A.
» — » 30 ‚w dole... płacz' Pdr.; ‚w dole, w przepaści, płacz' A.
» 264 » 4 ‚za nią. Zmierzch' Pdr.; ‚za nią, tylko pójdę za nią. — Zmierzch' A.
» — » 6 ‚Ona' Pdr.; ‚A ona' A.
» — » 8 ‚Cezara (Cezara)' A.
» — » 9 ‚z mgły śnieżną dłoń' Pdr.; ‚z mgły, co ją obwiewa, śnieżną rękę' A.

str. 264 w. 11 ‚idziem' Pdr.; ‚idziem razem' A.
» — » 13 ‚Gdzieś słońce... a idziem' Pdr.; ‚Gdzieś grób ten sam czeka na nas — gdzieś słońce to samo świeci dla nas — a idziem' A.
» — » 20 ‚coraz większy także! I nie pomnę gdzie' Pdr.; ‚coraz większy także!
Nieraz wołam — lecz ona nie słyszy. — Nieraz łza nabrzmiewa mi w oku — lecz ona nie widzi. — Nieraz dreszcz śmiertelny pierś moją zdejmie i czoło mi kamienieje — lecz ona się nie zatrzyma! I nie pomnę kędy' A.
» — » 23 ‚żem ujrzał' Pdr.; ‚żem pod wieczór ujrzał' A.
» — » — ‚ponad mgłę wymknięty' Pdr.; ‚ponad mgłą sterczący' A.
» — » 24 ‚I duch... człowieka' Pdr.; ‚I stał tam duch jakiś, samotny, podobny całkiem do człowieka — do czerstwego, starego człowieka'A.
» — » 26 ‚bezpiórne' Pdr.; ‚długie, bezpiórne' A.
» — » 27 ‚A siedząc... i zaśpiewał' Pdr.; ‚A siedząc nad przepaścią, trzymał w ręku harfę czarną o jednej strunie tylko i śpiewał spokojnym głosem' A.
» — » 29 ‚Wstrzymaj się... śmierci' Pdr.; ‚Młody, niedoświadczony, wstrzymaj się u stóp mojej skały — bo tu granica między światem życia a doliną śmierci —' A.
» — » 31 ‚osłabnie' Pdr.; ‚się rozwiąże i osłabnie' A.
» 265 » 1 ‚A jęk... ogarnął' Pdr.; ‚I zdało mi się, że tknął ową strunę, a żelazny jęk się rozległ i (zdjął) strach mnie ogarnął:
(Opuść, opuść tę, która nie ożyje nigdy — piękność jej)' A.
» — » 3 ‚Opuść' Pdr.; ‚Opuść, o opuść' A.
» — » 4 ‚gdy spojrzy' Pdr ; ‚kiedy czasem spojrzy' A.
» — » 5 ‚poda — bo iskry' Pdr.; ‚poda — bo znaku nadziei niema na tem czole — bo iskry' A.
» — » 9 ‚A postać stanęła i obróciła' Pdr.; ‚A po-

stać stanęła — zdało się, że słyszy słowa ducha — stanęła i obróciła' A.

str. 265 w. 9 ‚Wszystkie sny' Pdr.; ‚Wszystkie boleści, wszystkie sny' A.

» — » 13 ‚na niej... Wracaj' Pdr.; ‚na jej rysach.— Nie patrz! uciekaj drogą, którąś przybył — (Co zmartwychwstać nie może, niechaj cię dłużej nie łudzi) — Wracaj' A.

» — » 15 ‚ludzi żywych. A ja' Pdr.; ‚(braci) ludzi w słońca promieniach. — A ja' A.

» — » 16 ‚śpiew mój bez nadziei' Pdr.; ‚(mój) śpiew mój ciężki, długi, bez końca, bez nadziei'A.

» — » 17 ‚na tej strunie' Pdr.; ‚na tej jednej strunie' A

» — » — ‚przebrzmiawszy, pękły' Pdr.; ‚przebrzmiawszy, odwiązały się, a niektóre pękły' A.

» — » 18 ‚razem niegdyś' Pdr.; ‚niegdyś razem' A.

» — » 19 ‚odwagą' Pdr.; ‚nadzieją' A.

» — » 20 ‚nicością... powstał' Pdr.; ‚nicością! Lecz ja na postać tylko, na postać patrzałem — (na to podniosłe czoło, białe, czyste, dumniejsze z konających wspomnień niż inne z rosnących nadziei!

I zdało mi się wtedy że) A wtedy ów duch powstał' A.

» — » 21 ‚rozcina' Pdr.; ‚rozciął' A.

» — » 22 ‚(nieskończone) wielkie' A.

» — » 23 ‚próchen, koni szkielety' Pdr.; ‚próchen — w piasek wbite ornaty, płaszcze, korony, i miecze i siodła — i koni szkielety' A.

» — » 25 ‚ubranych... siodeł' Pdr.; w A brak.

» — » 27 ‚i ruiny' Pdr.; ‚ruiny' A.

» — » — ‚na brzegach' Pdr.; na brzegu' A.

» — » 28 ‚morza — i chmury' Pdr.; morza — i kłęby śniegu chodzące jak olbrzymy po bryłach lodu — i chmury' A.

» — » 29 ‚ocean' Pdr.; ‚ocean w górze' A.

» — » — ‚na niebie' Pdr.; ‚na wieki' A.

str. 265 w. 30 ‚A duch... tam na tysiącach' Pdr.; ‚A duch, wstrząsłszy skrzydła, wskazał harfą te milczące przestrzenie i rzekł: »Wybieraj!« A w tej samej chwili zdało mi się, że po drugiej stronie skały rozwiodła się zieloność i błękit zaświecił. — Tam świat ludzi żywych! (W jednem mgnieniu oka roztoczył się przedemną). Tam na tysiącach' A.

» 266 » 2 ‚wież' Pdr.; ‚wież bielejących' A.

» — » 4 ‚żywe' Pdr.; ‚szarego' A.

» — » 5 ‚oczym odciągnął' Pdr.; ‚odciągnąłem oczy' A.

» — » 6 ‚postaci. I zdało mi się' Pdr.; ‚postaci. A twarz ta zdała mi się coraz bardziej pięknieć i szlachetnieć lecz zarazem i konać! I zdało mi się' A.

» — » 7 ‚zebrawszy' Pdr.; ‚postać zebrawszy' A.

» — » — ‚ona' Pdr.; w A brak.

» — » 9 ‚ruin' Pdr.; ‚ruin, do tego morza lodów' A.

» — » 10 ‚swego' Pdr.; ‚swojego' A.

» — » — ‚rozemdleć się i zniknąć' Pdr.; ‚zniknąć na wieki' A.

» — » 11 ‚duch szczytu' Pdr.; ‚duch rzekł ze szczytu' A.

» — » 12 ‚rzekł do mnie... A jam poszedł' Pdr.; ‚rzekł do mnie: »Ostatni raz wybieraj!« I tknął strunę — (ona (zabrzękła) zagrzmiała jako krzyk umierającego świata.) W tej samej chwili zdało mi się, że postać odchodzi odemnie. — A jam poszedł' A.

» — » 14 ‚za tą' Pdr.; ‚za nią' A.

» — » — ‚nigdy' Pdr; ‚nigdy, za świętą moją' A.

» — » 15 ‚cmętarze (I znów idę z nią — i znów jestem przy niej. — I wiem teraz, kędy koniec drogi mojej — wiem, że na wielkiej mogile!) Śnieg leżący' A.

» — » 17 ‚padł... Ledwo' Pdr.; ‚padł, plusnął krwią i skonał. — Białe jego skrzydła wśród

umarłych sępów rozciągnione leżą — ona wśród zawiei znika — Ledwo' A.

str. 266 w. 18 ‚dostrzedz mogę' Pdr.; ‚mogę dostrzedz' A.

» — » — płynących' Pdr.; ‚rozpuszczonych' A.

» — » 19 ‚daremno... I sen mój' Pdr.; ‚Raz ostatni poszukam jej dłoni (w cie) wśród cieniów — tę dłoń ścisnę raz jeszcze — a potem jej, którąm ukochał, nie będzie już ze mną! Zostawi mnie samym wśród gruzów — samym wśród umarłych na zawsze! I sen mój' A.

» — » 22 ‚męki rozdziału, wszystkie próżnie' Pdr.; ‚męki pożegnania, wszystkie boleści zgonu, wszystkie próżnie' A.

» — » 23 ‚że ich... oszukała' Pdr.; ‚że postać Chrystusa oszukała ich' A.

» — » 24 ‚oni już się' Pdr.; ‚oni się już (się)' A.

» — » — ‚i że ta... na brzegach' Pdr.; ‚i że postać tej, którąm kochał, mnie oszukała także — bo ona też już nie powróci nigdy! I usiadłem na brzegach' A.

» — » 27 ‚prosiłem' Pdr.; ‚i prosiłem' A.

» — » — ‚by wyszła ze mnie' Pdr.; by mnie opuściła' A.

» — » 29 ‚w ręku' Pdr.; ‚w dłoniach' A.

» — » 30 ‚z harfą' Pdr.; ‚z harfą czarną' A.

» 267 » 2 ‚ze mnie... usiadłszy' Pdr.; ‚ze mnie! On tylko jeden żywy w tej nieskończoności zmierzchu — (i milczenia) — on jeden tylko i ja. — I on usiadłszy' A.

» — » 3 ‚śnieżnem' Pdr.; ‚lodowatem' A.

» — » 6 ‚zerwało się' Pdr.; ‚porwało się' A.

» — » 7 ‚nad' Pdr.; ‚ponad' A.

» — » 9 ‚kości i z głębi ziemi' Pdr.; ‚kości, że z ruin leżących, że z głębi ziemi' A.

» — » 10 ‚słowo' Pdr.; ‚pytanie' A.

» — » 17 ‚anielski' Pdr.; ‚kochany' A.

str. 267 w. 17 ‚co mi śpiewał' Pdr.; ‚co mi na wzór słowika śpiewał' A.
» — » 18 ‚odezwał się' Pdr.; ‚ozwał się' A.
» — » 19 ‚czy za tem' Pdr.; ‚czy tam, (tam) za tem' A.
» — » 26 ‚połowy... Uczułem' Pdr.; ‚połowy? Patrz (I) Ona powraca, bo śmierć jej (tylko) była tylko złudzeniem. — I ty zbawiony, bo ona ci odda życie twoje! Jak nowonarodzona gwiazda postać wschodziła z kończyn widnokręgu. — (Twarz) Wzrok jej obrócon, ręce wyciągnięte ku mnie — Woń fiałków płynie (jaskółki) złote jaskółki wiją się przed nią łańcuchem — Gdzie przeleci, tam w dole znikają lody i wykwita błękit, tam w górze mgła się zwija i wykwita światło. — Uczułem' A.
» 268 » 2 ‚męże... zmartwychwstających' Pdr.; ‚męże, naród ten cały... *(2 rzędy kropek)* Tu jak zwykle Jean Paul przerywa i na punktach kończy' A.

Legenda.

» 275 » 11 ‚wnątrz'; ‚wnętrz' Pdr. i W^2.
» 276 » 13 ‚białe płaszcze'; ‚i białe płaszcze' Pdr. i W^2.
» 277 » 26 ‚ku niebu' W^2; ‚ku niemu' Pdr.
» 279 » 21 ‚rękę' W^2; ‚ręką' Pdr.
» 280 » 1 ‚Głowa' W^2; ‚Głowo' Pdr.

---

str. 285.

FANTAZYA ŻYCIA.

Nr. 22 Rps (A) 20·5×13·5, 3 luźne arkusiki listowego papieru z wyciśniętą na sucho koroną i pod nią »Jeziorna«, ostatnia kartka pusta; arkusiki włożone w arkusik mniejszy, 18·5×12·5, na którym tytuł ręką poety: »Fantazyia życia 1841—42«, powtórzony na pierwszym arkusiku: ‚Fantazyia życia'. Jest to odpis na czysto z nielicznemi poprawkami, doko-

nany, o ile z pisma widać, na cztery zachody. Na ostatniej, niezapisanej karcie napisała ta sama ręka liczbę *2*; widocznie więc, dochowany poemat stanowi część pierwszą i poeta zamierzał jeszcze napisać część drugą, do czego jednak nie przyszło.

Początek utworu (bez tytułu) znany był dotąd z albumu Delfiny Potockiej.

Nr. 23 Rps (w części K, w części A) 33·5×25, k. 55, Album Delfiny Potockiej, opr. w czarny aksamit, wyłożony wewnątrz żółtą morą, z rzeźbionemi ramkami drewnianemi; na przedniej okładce rzeźbiona w drzewie korona z 9 pałkami, pod nią tarcza drewniana, a na niej wyrzeźbiona gotycka litera *D*.

a) k. 1. Fotografia Z. Krasińskiego na łożu śmiertelnem z wierszami u dołu, ręką Delfiny Potockiej:

‚Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię'.

b) k. 2. ręką Delfiny Potockiej:

‚Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen'.

poniżej tą samą ręką:

‚I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,
Jako dyament, w brudnym zawarty kamieniu'.

c) k. 3. Ręką Z. Krasińskiego:

‚Ziemskości cień
To ducha noc...'

d) k. 3. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Módl ty się za mnie, gdy przedwcześnie z rozpaczy zginę *(s)*'.

e) k. 4. Ręką Maryi z Krasińskich Edwardowej Raczyńskiej (nalepiona kartka):

‚Z pomiędzy wybranych raz jeszcze wybrany'.
(8 wierszy Pola do Z. Kras.).

f) k. 5—5'. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę...'.

g) k. 6—6'. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Czyż z tobą wtedy raz ostatni byłem...'

h) k. 7—8'. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Znasz co namiętność? Czy ty wiesz, co piekło?'

i) k. 9. Dwa autografy wiersza:

‚O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie'.

Jeden wpisany do albumu, drugi na kartce, wlepionej poniżej.

j) k. 9—10'. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Do duchów — przy świetle księżyca.
Ja was wyzywam, duchy i anieli...'

k) k. 11. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Tak więc ciągle z burz na burze...'

l) k. 11'. Ręką Z. Krasińskiego: ‚Na Franceskę Szeffera'.

Potem ręką Delfiny Potockiej:
‚I w piekle nie jest bez Boga opieki...'

m) k. 12. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Kiedy kwiaty przyszłą wiosną...'

n) k. 12'. Ręką Delfiny Potockiej: ‚Do kobiety'

‚Choć serca znęcisz skrwawych ócz kryształem...'

o) k. 13. Ręką Delfiny Potockiej: ‚Do Beatr...

Darmo świat ziemski pląsem mnie otoczy...'

p) k. 13'—14. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Myślałem nieraz — przez znak dotykalny...'

r) k. 16. Autograf Z. Krasińskiego (nalepiona kartka):

‚Cośmy kochali tak razem...'

s) k. 18—19'. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Świat ten świątynią i ze krwi i z błota...'

t) k. 20. Autograf Z. Krasińskiego (nalepiona kartka):

‚Nadgrobek Z. K.'
‚O Lindo moja, jeśli zginąć trzeba...'

u) k. 20'—22'. Ręką Delfiny Potockiej:

‚Im dalej idę, tem się okolica...'

w) k. 25—26. Ręką Maryi z Krasińskich Edwardowej Raczyńskiej:

‚Jak kawał lodu skrzepło serce moje...'

x) k. 26. Tąż samą ręką

‚Ach, mętne krwią i łzami pędzą życia fale...'

y) k. 27—29' Tąż samą ręką: ‚Freiburg.'

‚Troje nas było w tym gockim kościele...'

z) k. 30. Ręką Delfiny Potockiej wypis z Campanelli ($5^1/_2$ wiersza).

a') k. 31 – 35. Nieznanej ręki kopia testamentu Ferdynanda Filipa d' Orléan z d. 9 kwietnia 1840.

b') k. 36—36'. Ręką Maryi z Krasińskich Edwardowej Raczyńskiej:

‚Czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie...'

c') k. 37—38. Ręką Delfiny Potockiej Zdania polskie (2) i francuskie (3).

d') k. 39—39'. Ręką Maryi z Krasińskich Edwardowej Raczyńskiej:

‚Niech moja dusza będzie cicha — czysta...'

k. 40 aż do końca puste, z wyjątkiem 54, na której ręką Delfiny Potockiej zapiski o śmierci różnych osób, m. i. Z. Krasińskiego i Chopina.

Włączona kartka 22×14, na niej ręką Delfiny Potockiej:

‚Listku, dziś suchy, przypomnij mi strony...'

Przy niej sucha roślinka (złotowłos, *Adiantum capillus Veneris)*, obwinięta w cienki papier.

Odmianki tekstu.

str. 290 w. 1 ‚Polszcze' K; w A zamiast wyrazu jest pauza.

» 296 » 3 ‚Wiem — (wszyscy) na niej wszyscy' A.

» — » 9 ‚(Myśl) Krew i myśl' A.

» 297 » 11 (Wstań twórczości woli) Wstań potęgo woli' A.

str. 299.

PRZEDŚWIT.

Pdr. »Przedświt«. Paryż 1843, 12, str. XXI+54.

W² »Przedświt«. Edycya druga pomnożona nowemi poezyami Konstantego Gaszyńskiego. Paryż. W księgarni Polskiej przy ulicy de Lille N. 7, 1845, 12, str. XXI+85+1 nlb. (»Przedświt«, str. XXI + 54).

W³ »Przedświt«. Edycya trzecia. Paryż W księgarni Polskiej przy ulicy Seine-Saint-Germain, 20, 1851, 12, str. XXVIII + 63.

Autograf całego utworu nie istnieje; dochował się tylko brulion wstępu, obecnie w posiadaniu Wł. Mickiewicza (Muzeum Ad. Mickiewicza w Paryżu). Są to dwa arkusiki cienkiego, dziś pożółkłego papieru 21·5×16 i kartka gładkiego, bardziej jeszcze pożółkłego papieru 21·7×17·4 (bez znaku wodnego). Arkusze numerowane stałym zwyczajem Z. Krasińskiego z lewej strony, 1, 2, 3. U góry pierwszej stronicy ręką poety: ‚Początek wstępu', tamże z boku wzdłuż ręką Gaszyńskiego: ‚Przedmowa do Przedświtu'.[1]

Odmianki tekstu.

str. 303 w. 21 ‚(interesów) spraw' A.
» — » 29 ‚(kładzie) włoży' A.
» 304 » 20 ‚A lat niewiele (potem) później' A.
» 305 » 10 ‚coraz wyższym chrześcijaństwa wzrostem' Pdr.; ‚chrześcijaństwa coraz wyższym wzrostem' A.
» — » 16 ‚jedną cegłą więcej' Pdr.; ‚cegłą jedną więcej' A.
» — » 17 ‚oni' Pdr.; w A brak.
» — » — ‚przekleństwem' Pdr.; ‚przekleństwami' A.
» 307 » 1 ‚(w sobie sama) rozerwana' A.

[1] Opis i porównanie tekstu drukowanego z autografem zawdzięczam prof. drowi J. Kallenbachowi, któremu za tę uprzejmość szczere składam podziękowanie.

str. 307 w. 10 ‚ród Encyklopedystów francuskich' Pdr.; ‚Encyklopedystów francuskich ród' A.
» 308 » 7 ‚Ojca (tego)' A.
» — » — ‚w niebiesiech' Pdr.; ‚w niebie' A.
» — » 28 ‚z zmartwych'; ‚z marłych' A; ‚ze zmartwych' Pdr.
» 310 » 8 ‚teraz Pdr.; ‚coraz' A.
» — » 12 ‚włoski toż samo i hiszpański toż samo' Pdr.; ‚włoski to samo i hiszpański też' A.
» — po w. 13 znajduje się w A kreska, a pod nią notatka autora (polecenie dla Gaszyńskiego): ‚Znów tu gwiazdkę połóż i odstęp znaczny; następnie to, co u ciebie: ‚Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości...' i dalej tak samo aż do końca. Dwizę tylko na początku samym przedmowy tej trzyczęściowej teraz połóż, jak to sam tu uczyniłem. — W przepisywaniu tylko proszę cię na kreski uważaj owe moje, bo bardzo potrzebne — i na pewne słowa, które trzeba dużą literą zaczynać. Jeśliś już posłał do Paryża manuskrypt, to zaraz poszlij za nim przepisane te dwie pierwsze wstępu części'.

(Na tem się kończy autograf paryski).

» 311 » 9 ‚na' W^3; w Pdr. i W^2 brak.
» 346 » 1 ‚w swej prawicy' W^2 i W^3; ‚swój w prawicy' Pdr.
» 352 » 6 ‚wieczną' Pdr., W^2; ‚wiecznej' W^3.
» 364 » 7 ‚W wieczny ból i trud' W^3; ‚W ból — karę i trud' Pdr. i W^2.
» — » 9 ‚wschód' W^3; ‚wchód' Pdr. i W^2.

BIBLIOTEKA Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej W KRAKOWIE

TREŚĆ TOMU IV.

Wanda		str.	1
Noc letnia		»	59
Pokusa		»	108
Herburt		»	133
Ułamek z poematu		»	187
Z sycylijskiej podróży kart kilka		»	201
Trzy myśli		»	233
Fantazya życia		»	285
Przedświt		»	299
Dodatek krytyczny		»	367
»	» Wanda	»	369
»	» Noc letnia	»	379
»	» Pokusa	»	393
»	» Herburt	»	393
»	» Ułamek z poematu	»	396
»	» Z sycylijskiej podróży kart kilka	»	397
»	» Trzy myśli	»	399
»	» Fantazya życia	»	417
»	» Przedświt	»	421